

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/175

1962



• « La Culture » • Revue mensuelle •

K. A. JELEŃSKI : **BEZDROŻA KOMUNIZMU**

M. HŁASKO : **W DZIEŃ ŚMIERCI JEGO**

J. MIEROSZEWSKI :

NA RUINACH « PRZEDMURZA »

A. IWAŃSKA :

MEKSYK

SPIS RZECZY

K.A. Jeleński:	<i>Bezdroża komunizmu</i>	3
Leopold Łabędź:	<i>Deutscher — prorok i historyk</i> (dok.)	26
Alicja Iwańska:	<i>Meksyk</i> (1)	41
Marek Hlasko:	<i>W dzień śmierci Jego</i>	61

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Na ruinach „przedmurza”</i>	99
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	108

SĄSIEDZI

J. Ł.:	<i>Kijów o „Antologii”</i>	117
Zygmunt Markiewicz:	<i>Początki literatury ukraińskiej</i>	120

KSIĄŻKI

Tytus Komarnicki:	<i>Owoc pracowitego żywota</i>	122
Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Wrześniowa obrona Warszawy</i> ..	128
Michał Sambor:	<i>Thomas Merton o Pasternaku</i>	135
Tymon Terlecki:	<i>Pokolenie katastrofy</i>	142
Tymon Terlecki:	<i>Polski Malte</i>	145
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	150



I.M. Bocheński, O.P., A. Kawal- kowski, I. Kowalczewski, M.A. Krystyniak, J. Niemojowski, W. Skiba, D.I. Bienkowska:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
—	<i>Komunikaty</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Mai — Mai

1962

INSTYTUT



LITERACKI

POSZUKIWANIE

P. BAKENROTH z Izraela poszukuje Wiktora MATULIŃSKIEGO, ur. i zam. w Łodzi, który uratował mu życie w obozie koncentracyjnym w GUSEN (Austria).

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

S. i W. Tylkowsy, Toronto Ont. (Kanada) 49,00 NF
Fr. Strociak, Chicago Ill. (USA) po raz czwarty 14,70 „
Antoni Siemak, San Gabriel, Cal. (USA) po raz trzeci 4,90 „

DZIĘKUJEMY

NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Hanna Chylińska, Toronto, Ont. (Kanada) 13,00 „

FUNDUSZ WYDAWNICZY STAWAR PO ROSYJSKU

Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada) 46,50 „
H. Dolatowski, Knutange (Moselle) 15,00 „

DZIĘKUJEMY

◆
Z powodu braku miejsca dokończenie dokumentów pt. „Zagłada getta warszawskiego” zostanie zamieszczone w numerze czerwcowym.

REDAKCJA

Bezdroża komunizmu

Nie ma dziś — po XXII Zjeździe — w żadnym kraju oficjalnego organu partii komunistycznej, który by mógł sobie pozwolić na ogłoszenie *in extenso* przemówień i artykułów wszystkich przywódców partyjnych. „Prawda” cenzuruje Chińczyków i Albańczyków, ale również Gomułkę i Togliattiego. Chińczycy cenzurują wszystkich poza Albańczykami. Albańczycy obrzucają wyzwiskami „Pana Chruszczowa” (sic). Thorez polemizuje z Togliattim, nie wymieniając go, ale *Humanité* argumentów Togliattiego nie zamieszcza. Albańczycy stali się co prawda heretykami dla Moskwy, ale Pekin wychwala czystość ich marksizmu-leninizmu, Chruszczow zaś udaje że nie dostrzega herezji Chińczyków. Dwudziesty drugi Zjazd obalił mit jedności obozu komunistycznego. Spektakularna przeprowadzka zwłok Stalina, ogłoszenie nowej listy jego zbrodni, która stokrotnie przerasta rewelacje „tajnego” przemówienia Chruszczowa na XX-ym Zjeździe, zdezorientowały zachodnich komentatorów. Nie dostrzegli oni że kluczem, gwoździem XXII-go Zjazdu (gwoździem do trumny ideologii?) były nie tyle elementy gwałtownej „destalinizacji”, co właśnie rozbicie jedności obozu, widmo policentryzmu. Dramatyczne aspekty destalinizacji są konsekwencją zasadniczego chińsko-sowieckiego sporu, który doprowadził do uwidocznienia rozłamu wewnętrznego bloku. Atakując Albańczyków, Chruszczow przeciwstawił się teom swoich chińskich rywali. Atakując cień Stalina, Chruszczow starał się ostatecznie skompromitować grupę „antypartyjną”, która wewnątrz sowieckiej Partii popiera — czy popierała — tezy chińskie. W ciągu czternastu dni — od 17 do 31 października 1961 roku — Chruszczow zadał śmiertelne bodaj ciosy dwom aspektom komunizmu, które nadawały jego ideologii charakter sakralny, magnetycznie przyciągały zwolenników, fascynowały wrogów: jednym z nich jest mit konieczności historycznej, drugim mono-

lityzm obozu. Jeśli się na to zdecydował, to niewątpliwie dlatego że był do tego zmuszony, dlatego że stanął przed zasadniczym wyborem, a raczej dlatego że musiał ponieść konsekwencje dokonanego już dawniej wyboru. Jakież jest ten wybór? Chruszczow wybrał *na wewnątrz* przystosowanie się Partii do potrzeb rozwojowych współczesnego społeczeństwa przemysłowego (1); *na zewnątrz* koegzystencję pokojową.

Komunizm sytych i komunizm głodnych?

Ideologia komunistyczna posiada elementy determinizmu i elementy woluntaryzmu. Schemat historyczny Marksa z nieuniknionym „kresem historii” — nadejściem ery komunizmu — ma charakter zasadniczo deterministyczny. Element woluntaryzmu jest wkładem Lenina, który rewolucję uzależnia od akcji Partii — „awangardy proletariatu”. Innymi słowy, komunizm nadejście „tak czy owak”, ale raczej „tak” niż „owak”. Monolityzm komunizmu światowego, centralizm poszczególnych partii — to wyraz nacisku na element woli. Koegzystencja pokojowa, to na płaszczyźnie ideologicznej przesunięcie nacisku na determinizm, automatyzm historycznego rozwoju. Światowy ruch komunistyczny podporządkowujący wszelkie inne względy akcji rewolucyjnej, nie odpowiada dziś polityce sowieckiej. Polityka zagraniczna Chruszczowa, nakreślona już na XX-ym Zjeździe w lutym 1956 i sprecyzowana na konferencji moskiewskiej 81 partii komunistycznych w listopadzie 1960, ma na celu na długą metę obliczone „obłężenie” kapitalizmu, który jego zdaniem już traci teren na korzyść komunizmu. Związek Sowiecki stara się nie tylko wzmocnić swój gospodarczo-wojskowy potencjał, ale również wkroczył po raz pierwszy na drogę racjonalnego przystosowania się do wymagań ery wysoko rozwiniętych społeczeństw przemysłowych, co go zmusza w pierwszym rzędzie do usunięcia wyników z ideologicznych przesądów sprzeczności

(1) Racjonalizacją ideologiczną tej decyzji jest „zbudowanie baz materialnych komunizmu w ZSSR” w ciągu dwudziestu lat. Po sloganie Stalina „socjalizm w jednym kraju”, mamy slogan Chruszczowa „komunizm w jednym kraju”. Powiększenie produkcji dóbr konsumpcyjnych o 400%, akumulacja środków pozwalających na zapewnienie każdemu pracownikowi jednego bezpłatnego posiłku dziennie, darmowy charakter mieszkań i transportu — wszystko w ciągu 20 lat — wyklucza oczywiście jakąkolwiek poważną pomoc gospodarczą „bratnim krajom”. (Pomijam groźne zdanie Programu, że „komplikacje życia międzynarodowego i związana z nim potrzeba powiększenia wydatków na zbrojenia może zahamować plany budowy dobrobytu ludu”). Marksiści mógłby widzieć w tej zasadniczej decyzji „budowy komunizmu w jednym kraju” (zapewnienia dobrobytu własnej ludności) kosztem „równoległej budowy komunizmu w krajach socjalistycznych” (intensywnej pomocy gospodarczej krajom bloku sowieckiego) *infrastrukturę* rozbicia monolityzmu światowego ruchu komunistycznego.

paraliżujących rolnictwo (2), oraz do uwzględnienia rosnących wymagań konsumpcyjnych ludności. Mutacja społeczeństwa sowieckiego w „społeczeństwo przemysłowe” przy jednoczesnym zachowaniu monopolu władzy przez partię komunistyczną wymaga spokoju i czasu. Skądinąd, zmniejszenie napięcia na płaszczyźnie międzynarodowej ma, zdaniem Chruszczowa, osłabić Przymierze Atlantyk, zniszczyć jego wewnętrzną spójność i wolę oporu, podczas gdy kraje „Trzeciego Świata” — nowe, niepodległe państwa Afryki i Azji — siłą rzeczy ciężką będą w stronę bloku komunistycznego. Nowa ta polityka związana jest oczywiście z obawą skutków ewentualnej wojny atomowej. Zmuszony do ideologicznego uzasadnienia pokojowej koegzystencji, Chruszczow oświadczył że wkraczamy w nowy okres historii, w którym nie imperializm, a światowy system komunistyczny staje się siłą decydującą w kształtowaniu rozwoju historycznego. Lenin twierdził w swojej teorii imperializmu, że wojny między imperialistycznymi mocarstwami o panowanie nad światowymi rynkami są nieuniknionym wynikiem monopolistycznych dążeń kapitalizmu. Chruszczow przyznaje, co prawda, że dążność do wojen leży w samej naturze imperializmu, ale dodaje, że w praktyce siła obozu komunistycznego może wojny uniemożliwić. Słowami Chruszczowa, „wojna nie jest nieodzownie nieunikniona”, kapitalizm może istnieć bez powodowania wojen, obóz komunistyczny może dzięki swej sile narzucić kapitalistom pokojową koegzystencję. Konsekwencją tego założenia jest dalsze, rewizjonistyczne w swej naturze twierdzenie Chruszczowa, że ruchy komunistyczne mogą osiągnąć władzę drogą pokojową i parlamentarną.

Schematycznie, stanowisko sowieckie można wyrazić następująco: „Czas pracuje na naszą korzyść. Po co narażać się na ryzyko wojen i gwałtownych przewrotów?”. Chińczycy godzą się ze stwierdzeniem, że stosunek sił w skali światowej przesunęła się na korzyść komunizmu, ale wyciągają z tego stwierdzenia wnioski odwrotne. Twierdzą oni, że „imperializm” nie rnie sam w gruzy i że partie komunistyczne muszą nadal dążyć do władzy metodami rewolucyjnymi. Stanowisko chińskie zostało sprecyzowane w słynnym pamflecie jugosłowiańskiego przywódcy komunistycznego Edwarda Kardelja pt. „Socjalizm i wojna” w sierpniu 1960. Oto, zdaniem Kardelja, co na ten temat myślą Chińczycy:

(2) Odpowiednikiem ideologicznym jest tu odparcie tezy Stalina, że kolchoz jest niższą od sowchozu formą własności społecznej, a również ogłoszone na Zjeździe ustanowienie „państwa całego ludu” i „partii całego ludu” w miejsce Państwa „dyktatury proletariatu” i Partii „awangardy proletariatu”. Stanowi to równouprawnienie sowieckich chłopów, dotychczas określanych jako „klasa spontanicznie reakcyjna”, której potrzeby można było uwzględniać dopiero po zaspokojeniu wszystkich potrzeb przemysłu.

„Koezystencja jest niemożliwa, gdyż wojna jako rozwiązanie rewolucyjne w międzynarodowej walce klas jest nieunikniona. Ponieważ taka wojna byłaby sprawiedliwa, nie należy rozsiewać iluzji na temat pokoju i współlistnienia. Przeciwnie, powinniśmy się przygotowywać do takiej wojny w której byłibyśmy silniejsi, w której poświęcenie byłoby warte wyniku i która zakończona byłaby zwycięstwem socjalizmu na całym świecie”.

Dylemat sowiecki w polemice z Chińczykami jest oczywisty: przeciwstawiać się ich „awanturniczemu” i „ryzykanckim” skłonnościom, zachowując pozory ideologicznej jedności i nie dopuszczając do zerwania między Moskwą i Pekinem. Kardelj nie podlega tym ograniczeniom, toteż oskarżenia jego idą o wiele dalej. Twierdzi on, że nawet wojny wywołane przez „kraje socjalistyczne” mogą mieć charakter reakcyjny, gdyż mogą służyć do narzucenia innym krajom „wstecznych form politycznych”. Sam fakt odrzucenia tezy Chruszczowa, że wojny można uniknąć, może, jego zdaniem, doprowadzić do wojny. Kardelj oskarża Chińczyków o posługiwanie się „ruchem pokoju” w celach wyłącznie taktycznych, podczas gdy pokój jest nieodzownym warunkiem budowy socjalizmu. Oskarża ich również o „wąski nacjonalizm” w konfliktach z Indiami i Indonezją (dając do zrozumienia że w chińskiej retoryce internacjonalizmu wiele jest hipokryzji) oraz twierdzi, że „komuny ludowe” są formą nie mogącą mieć zastosowania w innych krajach socjalistycznych. Ale prawdziwą rewelacją w tekście Kardelja jest jego teza, że zwycięstwo socjalizmu nie przyniosłoby automatycznie pokoju światowego i że nie należy wykluczać możliwości wojen między socjalistycznymi krajami nawet po likwidacji kapitalizmu.

Nie brak wypowiedzi chińskich komunistów, które potwierdzają interpretację Kardelja. „Współcześni rewizjoniści przesadzają spustoszenia ewentualnej wojny atomowej i błagają o pokój za każdą cenę” — pisał pekiński „Dziennik Ludu” z 25 czerwca 1960.

Nie ma zatem wątpliwości że, podobnie jak Chińczycy polemizują z Chruszczowem pod pretekstem wymyślenia Jugosławianom, Chruszczow miał Chiny na myśli, gdy stwierdził w swoim przemówieniu z 27 października:

„Niektórzy nas atakują, oskarżając nas o rzekome upraszczanie czy łągodzenie w naszej ocenie międzynarodowej atmosfery, kiedy podkreślaliśmy potrzebę pokojowego współlistnienia w obecnych warunkach. Mówią nam oni, że ten kto nalega na pokojowe współlistnienie wykazuje rzekomo, że nie docenia esencji imperializmu a nawet, że stacza się do sprzeczności z leninowską oceną imperializmu”.

Podkreśliwszy na nowo swą wiarę w zwycięstwo komunizmu bez wojny, na skutek obecnego rozwoju światowego układu sił, Chruszczow potępia dalej

„...tych beznadziejnych dogmatystów, którzy wkuli ogólne formuły

o imperializmie i uparcie odwracają się od życia... Takie jest stanowisko dotąd bronione przez konserwatywnego dogmatystę Mołotowa. On i jemu podobni nie rozumieją zmian w atmosferze światowej i nowych zjawisk życia. Pozostali w tyle za wypadkami i od dawna stanowią hamulec i balast...”.

Różnice pomiędzy Rosją i Chinami nie ograniczają się do zasadniczej oceny pokojowego współlistnienia. Chińczycy przeciwstawiali się również sowieckiej polityce pomocy państwom i przywódcom politycznym niekomunistycznym w Azji i Afryce. Mamy tu do czynienia z jeszcze jedną innowacją Chruszczowa, który stwierdził na XX Zjeździe, że nowe państwa na dawnych terytoriach kolonialnych (uważane przez Stalina za „pół-kolonie”) są istotnie politycznie niepodległe i że należy udzielić im technicznej i gospodarczej pomocy, celem doprowadzenia ich przynajmniej do neutralizmu, a w miarę możliwości narzucenia im orientacji antyzachodniej. Ocena „narodowej burżuazji” jako siły postępowej nie jest oczywiście nowa w ruchu komunistycznym. Lenin widział jednak dwa etapy w roli narodowej burżuazji: etap postępowy, antyimperialistyczny, zanim mocarstwo kolonialne zmuszone zostanie do wycofania się z danego kraju, oraz etap reakcyjny, antykomunistyczny, z chwilą gdy narodowa burżuazja przejmie władzę w swoje ręce. Innowacją Chruszczowa jest poparcie narodowej burżuazji nie tylko w pierwszym, ale również i w drugim etapie. Najlepszym przykładem jest pomoc udzielana Nasserowi bez względu na fakt, że członkowie egipskiej partii komunistycznej są przez żołdaków Nassera w najohydniejszy sposób torturowani w obozach koncentracyjnych. Wrogość chińskich komunistów do tej polityki jest tym bardziej zrozumiała że odczuli oni na własnej skórze skutki podobnej koncepcji Stalina: poparcia Kuomintangu przez Komintern w latach dwudziestych. Na tym terenie Chińczycy opierają się na własnych przeszłych doświadczeniach: twierdzą oni, że ruchy komunistyczne muszą mieć najszerszą swobodę działania, że nie powinno się ich zmuszać do udzielania poparcia partiom nacjonalistycznym, że winny one dążyć do rewolucyjnego zdobycia władzy, nawet gdyby groziło to wybuchem wojny. Nawet za cenę ryzyka wojny — tu nawracamy do pierwszej różnicy zdań — światowy obóz komunistyczny winien przy tym całą swą siłą popierać ruchy komunistyczne w byłych terytoriach kolonialnych.

Absurdem byłoby oczywiście wyciągnięcie z powyższej analizy schematycznych wniosków, że istnieje dziś komunizm „pokojowy, pragmatyczny i europejski” pod przywództwem Moskwy i komunizm „agresywny, ideologiczny i azjatycki” pod przywództwem Pekinu. Arbitralny podział polityki bloku komunistycznego na „elementy ideologiczne” i „elementy nacjonalistyczne”, czy „interesu państwowego” stanowi największą przeszkodę w obiektywnej ocenie tej polityki. Wiadomo, że Zachód przez lata utożsamiał Związek Sowiecki z Kominternem,

uważając go nie tyle za państwo, co za centralę międzynarodowej dywersji, zmierzającej do rewolucji światowej. „Wojna patriotyczna” i odkrycie Custine’a przez Amerykanów przechylily absurdalnie szalę w odwrotnym kierunku: Stalin stał się następcą nie Lenina a Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, Związek Sowiecki spadkobiercą Imperium carów i panslawizmu. Obie te oceny kursują dziś równolegle, ale mało kto rozumie że „interes państwowy” czy „narodowy” jest zawsze i wszędzie funkcją nie tylko geografii, historii, wzorów kulturalnych, ale również ideologii klasy rządzącej. Pisząc o Rewolucji Francuskiej, Albert Sorel zwrócił uwagę na fakt, że rewolucjoniści zawsze identyfikują swą ideologię z „narodową racją stanu”. Odnosi się to jeszcze bardziej do komunistów.

Otóż ideologia Moskwy i ideologia Pekinu są nadal identyczne. I tu i tam przywódcy polityczni rozumują w kategoriach mniej lub bardziej popularnie interpretowanego marksizmu; i tu i tam odległym ich celem jest „społeczeństwo komunistyczne”; i tu i tam pokutują resztki internacjonalizmu. Tyle że w odmiennych warunkach społecznych, identyczne ideologiczne założenia doprowadzają do odmiennych, jeśli nie sprzecznych ze sobą, racjonalizacji. Chińczyków stać — ze względu na ich wciąż jeszcze niski stopień rozwoju gospodarczego, na ludzkie masy które reprezentują i na ich przyrost demograficzny — na ryzyko, którego Związek Sowiecki woli już dziś uniknąć (3).

Komunizm ideologów i komunizm pragmatyków?

Oto po krótkce przyczyny, dla których Chruszczow zmuszony był do pozbycia się tak cennego atutu jakim był monolityzm obozu. Przejdźmy teraz do drugiego ciosu zadanego przez Chruszczowa ideologii komunistycznej: do obalenia mitu konieczności historycznej. Tajne przemówienie Chruszczowa na XX Zjeździe podważyło co prawda ten mit, ale go nie obaliło. Komuniści dowiedzieli się z niego, że Stalin był krwawym tyranem, że zaskoczyła go niemiecka inwazja i że to nie on wygrał drugą wojnę światową. Ale ówczesne „rewelacje” Chruszczowa nie stały w zasadniczej sprzeczności z „ezoteryczną” wersją roli Stalina „krwawego akuszerza rewolucji”, współczesnej wersji wielkich carów, za cenę milionów żyć ludzkich — gdyż innej drogi nie było — budującego sowiecką potęgę przemysłową. Jest to znana wersja Izaaka Deutschera, którą podzielali po kryjomu co bystrzejsi komuniści, którą miał na myśli Aleksiej Tołstoj pisząc swego „Piotra Wielkiego”. Stalin, co prawda już nie „ojczulek” ani „słoneczko”, ale przecież (a bodaj wygląda

(3) W wywiadzie udzielonym Adżubejowi, Kennedy stwierdził, że w wypadku światowej wojny atomowej największe ryzyko poniosłyby Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki, właśnie dlatego, że są krajami najpotężniejszymi, które należałoby w pierwszym rzędzie sparaliżować.

to twardziej, poważniej) wielki budowniczy komunizmu, nadal leżał woskowo blade w moskiewskim mauzoleum obok Lenina, nadal o jego chwale świadczyły miasta, place, ulice. Cóż z tego, że Ludwik XI był trucicielem i rabusiem, jeśli zjednoczył na nowo Francję? Wyrzucony na XX Zjeździe z naiwnej hagiografii, wydawało się że Stalin wkroczył na pewniejszych podstawach do historycznej legendy.

Nikt nie przypuszczał, że XXII Zjazd będzie zjazdem upiorów. Po nowym programie Partii z jego pseudo-utopią, zachodni specjaliści spodziewali się, że uczestnicy Zjazdu zajmą się wyłącznie przyszłością. Tymczasem Ararat przyszłości błyskawicznie przemienił się w Łysą Górę, na którą spadły chmury krwawych zjaw.

Zaczęło się na pozór całkiem niewinnie. W raporcie złożonym w imieniu Centralnego Komitetu, Chruszczow zacytował co prawda po raz pierwszy urywek z „testamentu” Lenina, w którym Lenin żądał usunięcia Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego Partii, ale nie wymienił żadnych „nowych” zbrodni Stalina i nawet zdawkowo uczcił „Wodza” („Oczywiście, Stalin położył wielkie zasługi dla Partii i ruchu komunistycznego i oddajemy mu należny szacunek”). W miarę jednak jak opór chiński w rozgrywce albańskiej stawał się coraz wyraźniejszy, w miarę jak Zjazd przekształcał się w arenę, na której Chruszczow dążył do zlikwidowania tego oporu, należało w pierwszym rzędzie uniemożliwić jakąkolwiek pokusę solidarności z Chińczykami wewnątrz partii sowieckiej. Aby tego dokonać, należało ostatecznie zdyskredytować grupę „antypartyjną”. Zaś atak na Mołotowa, Kaganowicza, Malenkowa, Woroszyłowa otworzył już nie puszkę Pandory, a wrota piekieł przeszłości.

Szef KGB, Szelepin, ujawnił nową długą listę ofiar Stalina, na której figurują Postyszew, Kosior, Eiche, Rudzutak, Chubar, Krylenko, Unslicht, Bubnow, Łomow, Jakir. Ale nie wystarczy żadna lista. „Usłyszeliście przemówienie towarzysza Szeleпина” — stwierdził Chruszczow. „Ujawnił on wiele na tym zjeździe, ale oczywiście nie powiedział wszystkiego. Tysiące całkowicie niewinnych ludzi zginęło, każdy z nich ma własną historię. Wielu przywódców partyjnych, mężów stanu, wodzów wojskowych zostało zamordowanych...”. Morderstwa nie tylko okrutne, ale również marnotrawne. Malenkow został oskarżony o zdziesiątkowanie partii białoruskiej wr. 1937, o wprowadzenie wraz z Jeżowem i Berią krwawego zamętu w Armenii. Kaganowicza oskarżono o bezmyślne, sadystyczne czystki w republikach rosyjskiej i ukraińskiej, o masowe areszty i osadzenie w obozach i więzieniach najlepszych kolejarzy i robotników transportowych. To już nie terror nowego Iwana Groźnego, to już nie „krwawy budowniczy” Deutschera. Ten Stalin, ten jego system, bliższy jest wersji Stawara, według której stalinizm był nie tylko okrutny, ale bezmyślny i marnotrawny i niemal nie doprowadził do demograficznej katastrofy. Nic dziwnego że

raz jeszcze — tym razem mimowoli w kierunku prawdy — zmieniając wersję historii, trzeba było zadać ostateczny cios mitologii. Inicjatywę ciosu zlecono starej działaczce partyjnej, D.A. Łazurkinie, która jest członkiem partii od r. 1902. Stara, na pewno dzielna i szlachetna, pani wywiązała się z polecenia wzorowo, tragedię i komizm mieszając w godnych XXII Zjazdu szerspirowskich proporcjach. Wzorowe jest jej życie. Aresztowana — oczywiście bez cienia podstaw — w r. 1937, spędziła dwa i pół lat na Łubiance, rok w obozie pracy, szesnaście lat na „posiedzeniu”: przez cały czas wierzyła w Stalina, kłócąc się ze współwięźniami. Oczywiście otworzyły jej nie własne doświadczenia, a „tajne” przemówienie Chruszczowa. Oto jej wystąpienie na XXII Zjeździe:

„Uważam że nasz wspaniały Włodzimierz Iljicz, ten najbardziej ludzki człowiek, nie powinien leżeć koło tego osobnika, który, nawet jeśli się przed r. 1934 zasłużył, obok Lenina nie powinien leżeć”.

Przerywa jej tu głos Chruszczowa: „Słusznie!”.
Więc Łazurkina dalej:

„Zawsze noszę Iljicza w moim sercu, zawsze, towarzysze, w najtrudniejszych chwilach... i właśnie wczoraj naradzałam się z Iljiczem, stał przede mną jak żywy i powiedział: nieprzyjemnie mi leżeć koło Stalina, który tak zaszkodził partii”...

Nazajutrz wyrzucono Stalina z Mauzoleum.

W swym niezmiernie wnikliwym artykule w grudniowym numerze „Kultury”, Borys Lewickij postawił słuszną, moim zdaniem, tezę, że poprzez rozdmuchanie sprawy grupy antypartyjnej pragnął Chruszczow „postawić znak równania między wrogami partii, a potężną grupą biurokracji sowieckiej, niezdolnej dziś do przystosowania się do wymagań nowej fazy rozwojowej w Sowietach”. Ale między dylematem wewnętrznym Chruszczowa i jego dylematem zewnętrznym istnieje ścisły związek. Modernizacja socjo-techniczna Związku Sowieckiego wymaga czasu i pokoju, jest jedną z głównych przyczyn konfliktu chińsko-sowieckiego. W przededniu XXII Zjazdu Mołotow zaatakował Chruszczowa właśnie na płaszczyźnie światowej polityki komunizmu. Oto jak Satjukow zreferował na XXII Zjeździe ten list Mołotowa do Komitetu Centralnego:

„Mołotow twierdzi że nowy program jest rzekomo antyrewolucyjny w duchu... Mołotow oświadcza, proszę sobie wyobrazić, że projekt programu nie wiąże budowy komunizmu w ZSSR z perspektywami walki klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, z perspektywami rewolucji socjalistycznej w skali światowej... Mołotow posuwa się aż do potwornego stwierdzenia że Projekt Programu pomija trudności walki, dążąc do przekonania Partii i narodu że dalszy postęp w kierunku komunizmu będzie miał miejsce bez walki rewolucyjnej... Mołotow twierdzi, że Projekt Programu zawiera pacyfizm, a nawet rewizjonizm...”

Losy rewolucyjnego mitu

Dwudziesty drugi Zjazd ujawnił szereg tendencji, które od pewnego już czasu powodowały stopniowe załamywanie się mitu komunizmu sowieckiego wśród postępowych intelektualistów europejskich. Miejsce tego mitu zaczyna zajmować nowy mit rewolucji ludów Afryki i Azji, pokrywający się do pewnego stopnia z mitem komunizmu chińskiego.

Najbardziej charakterystyczna jest tu Francja. Obiektywne znaczenie tego procesu nie jest może duże, tym niemniej upór z jakim znaczna część najświetniejszych inteligencji naszych czasów wykazywała stoicką wprost solidarność moralną ze stalinizmem, sprawiał duże wrażenie. Potęgował apokaliptyczną atmosferę dziesięciolecia 1945-1955. Aby zrozumieć dlaczego upór ten (czy w ówczesnym języku „zaangażowanie”) zmienił w ciągu ostatnich paru lat swój przedmiot, należy najpierw stwierdzić że dla kół, o których mowa, zainteresowanie polityką wynika z głodu do uniwersalizmu i autentyzmu. Intelektualista typu Sartre’a odrzuca z nienawiścią społeczeństwo burżuazyjne, z którego pochodzi, nie tylko dlatego że jest to społeczeństwo niesprawiedliwe, ale jeszcze bardziej dlatego że jest zakłamane. Nadzieję zagłady tego społeczeństwa widział on w zwycięstwie proletariatu poprzez rewolucję, której narzędziem miała być partia komunistyczna, czerpiąca z kolei znaczną część swej siły z potęgi Związku Sowieckiego. Konsekwencją była identyfikacja proletariatu z partią komunistyczną, partii komunistycznej ze Związkiem Sowieckim. Jak dalece intelektualista „postępowy” orientował się w stalinowskiej rzeczywistości, to już kwestia jego odwagi moralnej, gdyż w jego przekonaniu nie można było w żadnym wypadku jedną miarą mierzyć zbrodni i ucisku po stronie sił „rewolucyjnych” i po stronie sił „kontr-rewolucyjnych”. Toteż tłumaczenie „rozczarowania”, czy ściślej upadku zainteresowania Związkiem Sowieckim ze strony tego typu intelektualistów rewelacjami Chruszczowa na XX Zjeździe, czy nawet interwencją sowiecką na Węgrzech, wydaje mi się powierzchowne. Myślę, że w grę wchodzi proces o wiele głębszy i mniej świadomy. Pochłonięty nienawiścią do burżuazji, postępowy intelektualista nie widzi, że mutacja socjo-ekonomiczna, przez którą przechodzi jego własne społeczeństwo zwolna zmienia samą jego bazę; że zarówno burżuazja jak proletariatusz zaczynają nabierać wspólnych cech „społeczeństwa masowego”; że inaczej już zaczyna wyglądać nadbudowa, inny ma wyraz ideologiczny i kulturalny. Interpretuje on pewne związane z tą mutacją tymczasowe przejawy, jak atomizację proletariatu zachodniego, przejście przez klasę robotniczą drobno-burżuazyjnego stylu życia „sukcesem neokapitalizmu”. W ewolucji związanej z przejściem na wyższy stopień rozwojowy społeczeństwa przemysłowego, orientuje się

jednak postępowy intelektualista na tyle, aby stawić nieświadomy emocjonalny opór wobec Związku Sowieckiego angażującego się w kierunku technicznego postępu i automacji. Postępowy intelektualista jest manichejczykiem. Fascynował go twardy, koncentracyjny system Stalina. W samym absurdalnym okrucieństwie tego systemu widział paradoksalną gwarancję: tak okrutny system można przyjąć tylko pod warunkiem, że niesie obietnicę rewolucji światowej (nie zdając sobie sprawy że przyjmował go — z daleka — tylko on i jemu podobni). Związek Sowiecki reformujący biurokrację, powracający do elementarnej praworządności w celu „dogonienia Ameryki”, to nie może nikogo interesować.

W tym samym okresie, w którym proletariaty zachodni przystosowywały się do warunków nowego społeczeństwa przemysłowego tracąc powojenny zapał rewolucyjny i w którym Związek Sowiecki desakralizował się destalinizując, zarysował się w historii nowy motyw gwałtownego przewrotu, związany z dążeniem ludów Afryki i Azji do wyzwolenia spod ucisku kolonialnego, do niepodległości. Postępowy intelektualista francuski, od końca wojny wyżywający swe rewolucyjne nostalgiczne jedyne na łamach miesięczników, zetknął się po raz pierwszy z bohaterską nieraz, upartą i codzienną walką podziemną bojowników FLN-u. W walce tej francuska partia komunistyczna, służąc oczywiście międzynarodowej dyplomacji Związku Sowieckiego, częstokroć opowiadała się po stronie rządu francuskiego, głosując za kredytami wojskowymi w parlamencie, z reguły zaś zachowywała neutralność. Postępowy intelektualista stwierdzał jednocześnie ze zdumieniem że „masy robotnicze” na Zachodzie nie przejawiają żadnej głębokiej solidarności z rewolucyjną walką niepodległościową ludów eks-kolonialnych, że proletariaty zachodni interesują jedynie problemy związane z jego własnym poziomem życia. Wszystkie te rozczarowania Związkiem Sowieckim, partią komunistyczną i zachodnim proletariatem doprowadziły lewe skrzydło postępowej inteligencji francuskiej do przrzucenia swych mesjanicznych nostalgii na ludy kolorowe. W miesięczniku Sartre'a „Les Temps Modernes” od paru już lat komunizm przestał być głównym tematem, a miejsce jego zajęła walka algierskich patriotów oraz rewolucja kubańska. Chiński system komun ludowych wywołał, jak wiadomo, bezkrytyczny zachwyt Simone de Beauvoir. W swej przedmowie do książki zmarłego niedawno rewolucjonisty algierskiego (nawiasem mówiąc Murzyna antylskiego) Frantza Fanon, Sartre ze zwykłym sobie szczerem i bezpośrednim zapałem ostrzega ludy Afryki i Azji, że Europa jest zgnięta, trędowata, zaraźliwa, że powinny one walczyć i trzymać się najdalej od białych (nie od kapitalistów: od białych). Widzimy więc na lewym skrzydle postępowej inteligencji francuskiej psychiczną mutację: miejsce proletariatu zajęły ludy kolorowe, idealną ojczyzną stała się Kuba Fidel Castra, uniwersalnym opiekunem i narzędnikiem nowej rewolucji nie jest już Zwią-

zek Sowiecki, a Chiny. Dla ścisłości należy dodać, że chodzi tu o drobny odcinek dawnej grupy pro-stalinowskiej inteligencji (najstarszy politycznie, najbardziej prestiżowy intelektualnie). Na „prawym” skrzydle tej inteligencji, związanym z P.S.U i z „France-Observateur”, solidarność z dążeniem ludów kolonialnych do niepodległości nie nabiera tych cech mesjanicznych, destalinizacja w Związku Sowieckim obserwowana jest z nadzieją, ale i tutaj również komunizm stracił cechy mitologiczne. W powyższych uwagach chodziło mi o wykazanie, na charakterystycznym przykładzie, jak destalinizacja wewnętrzna i zaangażowanie się po stronie pokojowego współistnienia w skali światowej osłabiło mit rewolucyjny Związku Sowieckiego, oraz jak podobny mit krystalizuje się na nowo wokół walk niepodległościowych ludów eks-kolonialnych i wokół Chin. Teoretycznie, krystalizacja ta ma największe szanse w samej Afryce i Azji; przykład Kuby zaś wykazuje, że ma je na pewno w krajach Ameryki Południowej.

Policentryzm: od faktów do koncepcji

Dwudziesty drugi Zjazd stanowić będzie, moim zdaniem, w historii ruchu komunistycznego datę najbardziej doniosłą od czasu rewolucji 1917 roku. Przemian, które uwidocznił nie można sprowadzić do reakcji przeciw stalinizmowi. Od zarania ruchu komunistycznego — a przynajmniej od wprowadzenia przez Lenina w r. 1902 zasady „centralizmu demokratycznego” — komunizm miał zawsze cechy monolitycznego uniwersalizmu. Dla prekursorów, dla rewolucjonistów, nawet dla stalinowskich aparatczyków, nie ulegało nigdy wątpliwości, że zwycięstwo komunizmu w skali światowej będzie równoznaczne z końcem nacjonalizmów, z nastaniem uniwersalnego społeczeństwa i realizacją wizji Marksa, który przewidywał, że z chwilą zwycięstwa rewolucji nowe siły społeczne (*Gesellschaft*) zastąpią obumarłe siły państwa (*Staat*). Przekonanie to jest tak silnie zakorzenione nawet u przeciwników komunizmu, że stoi ono u podstaw rozumowania zwolenników unilateralnego rozbrojenia i sloganu anglo-amerykańskich skrajnych pacyfistów „Better red than dead”. Slogan ten oparty jest oczywiście na założeniu, że wystarczyłoby aby świat kapitalistyczny stał się „czerwony”, aby ewentualność wojny była wykluczona. Jugosłowiański komunista Kardelj stwierdza dziś, że zwycięstwo socjalizmu w skali światowej bynajmniej nie zapewniłoby automatycznie światowego pokoju, że wojna, czy wojny, między socjalistycznymi krajami nie są bynajmniej wykluczone i że trudno zrozumieć w jaki sposób współczesny marksista może ulec „tak wielkiej iluzji” (4). Historia stopniowego

(4) W swoistym języku, podobną myśl wyraża „Prawda” z 7.XII. 1961, zarzucając Mołotowowi, że z „proletariackiego internacjonalizmu” chciałby wykluczyć „niezbędny patriotyzm socjalistyczny”.

wykruszania się, erozji, międzynarodowych założeń ruchu komunistycznego, przerasta oczywiście ramy tego artykułu. Wystarczy przypomnieć tu, że założyciele „Związku Socjalistycznych Republik Rad” byli święcie przekonani, że każdy kraj z nimi sąsiadujący przyłączy się do nich z entuzjazmem z chwilą zwycięstwa rewolucji i że aneksja państw bałtyckich była ostatnim, potwornie karykaturalnym, zastosowaniem tej zasady. Stalinowska koncepcja „demokracji ludowych”, mimo że teoretycznie tymczasowa, stanowiła tu już faktyczny wyłom. Za Stalina jednak, przynajmniej monolityzm Partii nie ulegał żadnej wątpliwości. Stalin nigdy nie pozwolił aby komunistyczna Międzynarodówka czy Kominform były czymkolwiek innym niż wykonawczymi organami polityki Związku Sowieckiego. Chruszczow zmuszony był od r. 1957 do zwołania już trzech konferencji przywódców partii komunistycznych: w związku z czterdziestolecie rewolucji październikowej, później w Bukareszcie i wreszcie znów w Moskwie w listopadzie 1960.

Pierwszym wybuchem „policentrycznego wulkanu”, którym staje się dziś komunizm światowy, były w r. 1956 rewolucja węgierska i polski przewrót październikowy. W odpowiedzi na te wypadki, przywódcy sowieccy starali się opracować nowy system ideologicznej jedności, w którym poszczególne partie korzystałyby z pewnej autonomii. W tym okresie właśnie Togliatti rzucił nowe hasło „policentryzmu”. Hasło to zostało zarzucone i podciągnięte pod ogólną herezję „rewizjonizmu”, nie dlatego że potrafiono narzucić na nowo zasadę monolityzmu, ale że tarcia sowiecko-chińskie nadawały mu charakter szczególnie niebezpieczny. Przebieg XXII Zjazdu wykazał, że rysów w jedności nie da się już dziś zakłajstrować. Nie mówiąc o wyzywającym stanowisku Chin, partie północno-koreańska i wietnamska powstrzymały się na XXII Zjeździe od potępienia Albańczyków. Wewnątrz partii indyjskiej i indonezyjskiej zarysowują się na tym tle poważne rozłamy. We włoskiej partii komunistycznej XXII Zjazd wywołał niezmiernie żywe i drastyczne dyskusje. Oficjalny organ włoskiej młodzieży komunistycznej „Nuova Generazione” stwierdza wyraźnie, że trzeba będzie lada dzień zrehabilitować Trockiego. W obliczu tak wielkiego zaburzenia Togliatti nawraca do swego zarzuconego hasła policentryzmu, co wywołuje niezmiernie ostrą polemikę ze strony partii francuskiej. Nawiasem mówiąc, rozłam ideologicznego monolityzmu wydaje się jeszcze bardziej niebezpieczny dla tych partii komunistycznych, które nie są u rządów. Tam, gdzie partie komunistyczne rządzą, zwłaszcza jeśli sąsiadują ze Związkiem Sowieckim, ich zależność od „Centrali” jest tak złożona i podstawowa, że ideologia stanowi zaledwie jedno ze wspólnych ogniw. Można to było zaobserwować na przykładzie polskiego Października: powiązania polityki międzynarodowej, systemu obronnego, gospodarki, okazały się silniejsze od ideologicznego konfliktu. Dla partii zachodnio-europejskich natomiast, zależność ideologiczna od Moskwy jest

jedynym ogniwem, osłabienie tego związku może mieć nieobliczalne skutki.

Za wcześniej dzisiaj jeszcze na poważne rozważenie możliwych implikacji międzynarodowych policentryzmu i rozłamu chińsko-sowieckiego. Można najwyżej zaryzykować wniosek, że w polityce, podobnie jak w gospodarce, demograficzny punkt widzenia jest stosunkowo najpewniejszy. Z początkiem XX wieku Wilhelm II ostrzegł przed „żółtym niebezpieczeństwem”, a proustowska Oriane de Guermantes tłumaczyła swe roztargnienie przy obiedzie odpowiadając Edwardowi VII: „Sire, la Chine m'inquiète”. Trudniej było przewidzieć konflikt rosyjsko-chiński w ramach komunistycznego imperium, a przecież zapowiedział go na łamach „Preuves” Franz Borkenau w r. 1951. Od tego czasu rojenia o tym konflikcie stały się jednym z motywów przewodnich „proroków na długą metę”, przepowiadających anty-chiński alians sowiecko-amerykański. Co prawda i na tym terenie istnieje prekursor: Jan Ulatowski, który nie wątpił w istnienie tajnego paktu Roosevelt-Stalin, który w „zimnej wojnie” widział iluzoryczną grę cieni ku otumanieniu ludów, na obraz platońskiej groty i który przeprowadzał swe rozumowanie z oszałamiającą logiką. Nieprzewidzianymi drogami historia dogania cesarza Niemiec, księżnę de Guermantes, Borkenaua i Ulatowskiego. John Strachey w serii artykułów w „Observerze” twierdzi ostatnio, że jedynie układ amerykańsko-sowiecki wykluczający wojnę atomową może zbawić świat od zagłady. Zdaniem Stracheya, do układu tego dojdzie w latach 1970-tych, kiedy sześć lub siedem mocarstw będzie już dysponować poważnym uzbrojeniem atomowym.

Policentryzm a Polska

Zaangażowani w racjonalizację sowieckiego życia, szukający zgodnych z systemem politycznym socjo-technicznych formuł przejścia do wyższej formy organizacyjnej społeczeństwa przemysłowego, popularnie zdecydowani na „dogonienie Ameryki”, a więc wydawałoby się, rozsądni pragmatyci, przywódcy partii komunistycznej Związku Sowieckiego wypracowali nowy program partyjny, w którym kładą akcent nie na praktykę, a na ideologię, nie na reformy współczesne, a na przyszłe cele, nie na osiągalny dobrobyt, a na złoty wiek Utopii. Paradoks jest tylko pozorny. Zdaniem Manheima „ideologie są fikcjami umysłowymi, których funkcja polega na przysłanianiu prawdziwej natury społeczeństwa. Służą one tym, którzy dążą do stabilizacji porządku społecznego”. Znaczny stopień fermentu społecznego w Związku Sowieckim sprawia, że w tym wypadku należałoby położyć nacisk na aspekt polityczny porządku społecznego. Jak słusznie zauważył w „Kulturze” Borys Lewickij „chodzi przecież o to, aby nieuniknione rozszerzenie zakresu wolności obywatela sowieckie-

go nie zagroziło panowaniu partii". Dlatego też trzeci z kolei program Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego, ogłoszony w lipcu 1961, kładzie tak wielki nacisk na ideologię, na przyszłość, na aspekt utopijny komunizmu. Nacisk ten, to nieświadoma może, z góry udzielona odpowiedź na pytanie: jeśli rzeczywiście chodzi chodzi nam tylko o wytworzenie swoistej formuły *Welfare State'u*, to czy racjonalizacja naszego życia społecznego nie wymagałaby również pewnej formy demokratyzacji politycznej? Jednym słowem: mimo że główne ich zainteresowania są pragmatyczne, ideologia jest sowieckim komunistom konieczna jako usprawiedliwienie zachowania monopolu władzy.

Przywódcy polskiej partii komunistycznej są w tym dziwnym i wyjątkowym położeniu, że tego usprawiedliwienia „ideologicznego” w praktyce nie potrzebują. Usprawiedliwienie ich monopolu władzy ma charakter geopolityczny, do którego w dodatku naród polski jest tradycyjnie przyzwyczajony. Rozumowanie to jest znane wszystkim i zawiera elementy negatywne (Związek Sowiecki nie pozwoliłby w Polsce na inną formę rządu) i ich pozytywną racjonalizację (argument Ziem Zachodnich). W dodatku większość Polaków jest zgodna w ocenie, że od Października 1956 Polska ma najlepszą praktycznie możliwą formę rządu komunistycznego.

Od października 1956 aż do roku 1961 komunizm polski nie tylko ideologii nie potrzebował, ale się jej obawiał. Marksizm instytucjonalny został w Polsce w okresie stalinizmu tak doszczętnie skompromitowany, że nie było żadnej nadziei nawiązania dialogu ze społeczeństwem na tej płaszczyźnie. Natomiast żywe zainteresowanie problemami ideologicznymi wśród młodej komunistycznej inteligencji w okresie „październikowym” miało ściśle rewizjonistyczny charakter i jego implikacje polityczne (rady robotnicze, demokracja robotnicza, egalitaryzm itd.) zagrażały partyjnemu monopolowi władzy. Z rewizjonistami toczono oczywiście ideologiczne dyskusje, ale nikt nie żywił poważnej nadziei, że można w Polsce wzbudzić na nowo zainteresowanie ortodoksyjną ideologią marksistowską. Toteż z radością odkryto, że pokolenie popaździernikowe przestaje się interesować ideologią, że polskie życie społeczne zmierza w stronę modelu „socjotechnicznego”. Cieszył się tym Kisiel, cieszył się Bauman, cieszyła się „Polityka”, cieszyło się całe polskie „centrum” — od pozytywistycznych katolików do komunistycznych technokratów. Niepokojono się na krańcach, jak zawsze z różnych powodów. Reakcjonisci — dlatego że w Polsce spokój. Katolicy od spirytualizmu — tak jak wszędzie, dlatego że materializm, że Persona zagrożona, że brzydka kultura masowa. Rewizjonisci — dlatego, że chodzi im nie tylko o dobrobyt i sprawiedliwość, ale także o wolność. Niedobitki szczerzej ortodoksji — dlatego że *Welfare State* to jednak nie bezklasowe społeczeństwo.

Jak pisze Marian Czerwiński w „Przeglądzie Kulturalnym”, duch naszych instytucji publicznych wyraża się dzisiaj wzmożoną

troską o przyzwoite działanie przy zdecydowanym unikaniu wszelkich kwestii, które prowadzą do rozważań ogólnych i dyskusyjnych, do krytycznej filozofii społecznej — krótko mówiąc — do spraw zdolnych ogniskować uwagę szerszych środowisk. Inaczej jeszcze: spotykamy się ze znamienym zastępowaniem ogólnych „kwestii ludzkich” przez praktyczne „stosunki między ludźmi” (16.XI.1961).

To zadowolenie z „postępowego” charakteru „socjotechnicznego pokolenia” dawało nieraz komiczne efekty. Pamiętam numer „Polityki”, w którym sąsiadowały dwa artykuły: o Ameryce i o Szczecinie. O Ameryce pisano z niesmakiem: nic tylko materializm, kultura masowa, marzenia o domku, większym samochodzie, ogłupienie, obojętność, reakcja. O Szczecinie z entuzjazmem: co za zdrowa, pozytywna młodzież, myśli o stanowisku, marzy o scooterze, chce więcej zarabiać, wprzęga się w postęp ekonomiczny, to nie żadne chuligany czy rewizjonisci, do brzy obywatele i postępowi.

Dopiero niedawno zaczęły się pojawiać w polskiej prasie artykuły wskazujące na niewspółmierność „modelu socjotechnicznego” z socjalizmem. Okazji do tych krytyk dostarczyła ankieta dotycząca postaw i poglądów społecznych akademickiej młodzieży Warszawy, przeprowadzona w czerwcu 1961 przez Katedrę Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, której kierownikiem jest profesor Stanisław Ossowski, i ogłoszona w listopadzie. Ten sam zespół (Anna Pawełczyńska i Stefan Nowak) przeprowadził już podobną ankietę w r. 1958. Można więc dzisiaj wyrobić sobie pewien obraz tendencji rozwojowych postaw i poglądów społecznych polskiej młodzieży akademickiej na przestrzeni ostatnich trzech lat. Z jednej strony młodzież ta w większym stopniu niż w r. 1958 aprobeuje formy ustrojowe w dzisiejszej Polsce; upowszednił się wśród niej pogląd, że socjalistyczny model społeczno-gospodarczy będzie prędzej czy później przyswajany na całym świecie; o ile trzy lata temu młodzież potępiała bezwzględnie okres stalinizmu, dzisiaj skłonna jest, z dużymi zastrzeżeniami, uwzględniać pewien dorobek gospodarczy tego okresu; trzy lata temu wyrażano absolutną nieufność do jakiegokolwiek ingerencji władz w dziedzinie swobód publicznych — dziś przeważa nadal zdecydowany liberalizm, wolny jest jednak od „alergii na rząd”. Z drugiej strony ankieta wykazuje całkowity spadek zainteresowania aktualną problematyką światopoglądową, społeczno-etyczną, polityczną — tym co autorzy ankiety nazywają „problemami socjalizmu”. Jak stwierdzają w omówieniu ankiety Pawełczyńska i Nowak,

„jednym z czynników wzrastającej akceptacji socjalizmu, połączonej z malejącym nim zainteresowaniem teoretycznym, jest ogólny proces stabilizacji gospodarczej i politycznej kraju. Stabilizacja ta sprawia, że dążenia i zainteresowania przenoszą się raczej w dziedzinę zaspokojenia osobistych, zawodowych i życiowych potrzeb, oddalając się od zagadnień urzędniczego świata na wzór własnych wartości”.

Komentując tę ankietę w cytowanym powyżej artykule, Marian Czerwiński pisze:

„Socjalizm zaczyna działać jako perspektywa wygody, trzeźwo pojętej korzyści, nie zaś jako postawa otwarta na los innych ludzi. Ów przeciętny młody człowiek — student, technik — mógłby powiedzieć tak mniej więcej: Upieraliście się ogromnie przy tym socjalizmie, no i macie go teraz. Bóg z wami, ponieważ nam nie jest dziś najgorzej”. I dalej: „Jest wysoce prawdopodobne, że z niewroz społecznych — z frustracji, wstydu, odwetów, rozpacz — które pozostały jako ślad „błędów i wypaczeń”, droga wyjścia wiodła jedynie poprzez socjotechnikę, jako dominujący typ kształtowania społeczeństwa”.

Równoległe z krytyką „apolityczności” i „obojętności ideologicznej” pokolenia socjotechnicznego, obserwujemy w Polsce — po XXII Zjeździe — szereg nowych i śmiałych wypowiedzi na temat wolności nauki, swobody dyskusji, wolności słowa, humanizmu socjalistycznego, potrzeby demokracji wewnętrzno-partyjnej. Nowa ta dyskusja jest tak żywa i tak ciekawa, że przypomina atmosferę październikową. Rewelacyjny jednak jest fakt, że tym razem zapoczątkowali tę dyskusję nie młodzi rewizjoniści, ale komunistyczni intelektualiści starszego pokolenia, którzy w okresie Października nie tylko nie przyłączyli się do rewizjonistów ale stawiali im zdecydowany ideologiczny opór. Sprawcy tego nowego fermentu — to Adam Schaff, Oskar Lange, profesorowie Infeld i Ehrlich, Stefan Żółkiewski, Putrament, wreszcie młodszą od nich, ale ściśle związana z partyjną ortodoksją, Alicja Lisiecka. Należą oni oczywiście wszyscy do „ortodoksyjnego rewizjonizmu”, którego problematykę tak świetnie zanalizował w „Kulturze” Zbigniew Jordan. Jordan pierwszy sformułował niezmiernie owocną i twórczą tezę „logicznej nieuniknioności rewizjonizmu”, którą opiera na tym, że marksizm nie może być *zarazem* ideologią socjalizmu i teorią społeczną prowadzącą do pozytywnej wiedzy o świecie. Ortodoksyjny rewizjonizm, jak to słusznie wykazał Jordan, stara się wyjść z tego dylematu poprzez rozróżnienie między rewizją „twórczą” i rewizją „likwidatorską” marksizmu. W praktyce daje to niezmiernie cenne rozszerzenie metod poznawczych i kładzie kres najbardziej zgubnej w stalinizmie zasadzie „partyjności” w filozofii i nauce. Ale teoretycznie ortodoksyjny rewizjonizm posiada nadal jedną wspólną cechę z „dogmatyzmem”: któż bowiem, jeśli nie partia, ma w ostatecznej instancji decydować co jest „rewizjonizmem twórczym”, a co „likwidatorstwem”?

Dochodzimy tu do dość ważnego punktu, który moim zdaniem zadecydował o negatywnym stanowisku „ortodoksyjnych rewizjonistów” w okresie Października i ich ożywionej ofensywie związanej z XXII Zjazdem. Komuniści typu Schaffa i Żółkiewskiego należą do pokolenia całkowicie zafascynowanego mitem partyjnego monolityzmu. W odróżnieniu od wielu młodych rewizjonistów, którzy byli entuzjastycznymi stalinistami, wśród pol-

skich komunistów starszego pokolenia byli ludzie, którzy na stalinizm patrzyli bez złudzeń, podporządkowywali mu się jednak w imię partyjnej dyscypliny. W ruchu rewizjonistycznym widzieli zagrożenie jednemu partyjnej i dlatego mu się zdecydowanie przeciwstawili. Myślę, że dla tych ludzi zarazem ulgą i rewelacją był fakt, że monolityzm komunistyczny został rozbity nie przez „rewizjonistów”, a przez samego Chruszczowa, stawiającego opór „dogmatystom”.

W październiku 1956, mimo roli Chruszczowa na XX Zjeździe, w oczach Polaków Związek Sowiecki reprezentował „dogmatyzm”. Od tego czasu, co prawda na terenie czystego pragmatyzmu, sylwetka Chruszczowa zarysowała się coraz wyraźniej w charakterze pierwszego „ortodoksyjnego rewizjonisty” w komunizmie światowym. Dogmatyzm, agresywność, groźba wojny, „partyjność” w nauce i filozofii, „metody administracyjne”, marksizm instytucjonalny — cały spadek stalinizmu został schematycznie i symbolicznie przerzucony na XXII Zjeździe na nowego „przeciwnika” — Chiny, Albanie, grupę „antypartyjną”. Chruszczow jest dzisiaj „sprzymierzeńcem”, walczącym ze swoim Natolinem w skali światowej. Profesor Adam Schaff był niedawno jeszcze atakowany przez naukowe pisma sowieckie za upór z jakim starał się rozszerzyć metody poznawcze marksizmu, tłumacząc konieczność stosowania nowych metod socjologicznych, wprowadzając nową problematykę, czy to z dziedziny egzystencjalizmu, czy też logicznej analizy języka. Dzisiaj, po XXII Zjeździe, Schaff jest głównym prelegentem na międzynarodowym kongresie komunistycznych ideologów w Pradze, poświęconym właśnie nowoczesnej socjologii, podczas gdy grudniowe spotkanie polskich i sowieckich socjologów w Moskwie dowodzi, że Związek Sowiecki zdecydował się ostatecznie na zapożyczenie od Zachodu poprzez Polskę nowych metod socjologicznych, koniecznych dla racjonalnego rozwoju społecznego i gospodarczego.

Adam Schaff, Oskar Lange, mogą się słusznie uważać za pionierów kierunku, który zwyciężył na XXII Zjeździe w samym Związku Sowieckim. W pewnym sensie rezultaty XXII Zjazdu są witane przez całą polską partię komunistyczną (która wewnątrz bloku reprezentuje „ortodoksyjny rewizjonizm”) jako zwycięstwo: na każdym kroku w polskiej prasie komunistycznej ostatnich paru miesięcy natrafia się na wyraz przekonania, że problematyka polska staje się zwolna problematyką europejskiego komunizmu.

Dla Polski, XXII Zjazd reprezentuje przełom szczególnie ważny. Od października 1956, Polska była najdalej posuniętym „rewizjonistycznym” eksperymentem bloku sowieckiego. Stanowisko jej wewnątrz bloku wzmacniało się wprawdzie w miarę, jak Gomułka likwidował ideologiczne i kulturalne zdobycze Października, podczas gdy Związek Sowiecki umacniał się w przekonaniu, że Polsce nie grozi los Węgier, pozostawał jednak

zawsze charakter jeśli nie herezji, to śmiałego, ograniczonego w przestrzeni i w czasie doświadczenia. Po XXII Zjeździe, model Polski zaczyna nabierać w ramach komunizmu europejskiego cech prekursorskich i uniwersalnych. Zarówno Gomułka na IX Plenum K.C., poświęconym wynikiem XXII Zjazdu, jak i „Trybuna Ludu” czy „Nowe Drogi” w artykułach teoretycznych o Zjeździe stwierdzają, że PZPR dokonała w październiku 1956 zasadniczego zwrotu, który powtórzył się w Rosji dopiero teraz, po pięciu latach. Nic dziwnego, że nawet najbardziej oficjalne głosy dzisiejszej Polski powtarzają dziś nowe tezy Chruszczowa jeszcze silniej i wyraźniej.

W jednym, kluczowym punkcie, oficjalna Polska idzie o wiele dalej: w ocenie przyczyn i społecznego charakteru stalinizmu. Ze względów oczywistych i zrozumiałych, Chruszczow potępiając stalinizm, nie mógł przeprowadzić żadnej głębszej analizy jego przyczyn, źródeł, skutków i społecznych implikacji. Podobnie jak na XX Zjeździe, z zadziwającym jak na „marksistę” czołem, zbrodnie i marnotrawstwa stalinizmu przypisał on znów charakterowi zmarłego dyktatora, uparcie w moralnym profilu Stalina doszukując się „nosa Kleopatry”. „Prawda” z 21 listopada stwierdza wyraźnie: „Kult osobowości był powierzchownym wrzodem na całkowicie zdrowym organizmie naszej Partii”. Polscy komuniści częściej bywali ofiarami Stalina niż jego współpracownikami i nie mają tych samych powodów do tak daleko idącej dyskrecji. Nie trzeba podkreślać wagi socjologicznej, gospodarczej, politycznej analizy stalinizmu: od niej zależy nie tylko „obraz historii”, ale sama przyszłość ruchu komunistycznego. W swoim sprawozdaniu przed IX Plenum Gomułka doszukuje się przyczyn stalinizmu w sytuacji, która zaistniała przed dojściem samego Stalina do władzy i charakterystycznie przypisuje rozwój stalinizmu w pierwszym rządzie przymusowej kolektywizacji rolnictwa. Oskar Lange, na tym samym Plenum, przyznaje wprawdzie, że Gomułka dał „zarys” marksistowskiej analizy przyczyn stalinizmu, ale chciałby iść dalej: „Jako marksiści wiemy, że przejawy kultu osobowości nie mogą być tłumaczone wyłącznie jako zagadnienie charakteru jednego człowieka czy drobnej grupy ludzi. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem społecznym, które wymaga marksistowskiej analizy”. Jeszcze precyzyjniej stawia ten problem grudniowy numer „Nowych Drog”:

„Istnieje potrzeba marksistowskiej analizy okresu kultu Stalina, wytłumaczenia warunków, w których kult ten mógł się rozwijać i na których się opierał, oraz jego moralnych, społecznych, politycznych i gospodarczych skutków”.

Co jeszcze bodaj ważniejsze, teoretyczny organ partii przestrzega przed interpretowaniem obiektywnych przyczyn stalinizmu jako jego historycznego usprawiedliwienia:

„Istnienie obiektywnych przyczyn nie oznacza, że sprawy musiały się rozwinąć tak jak się rozwinęły... Nie istnieje sytuacja, w której nie ma wyboru, nie istnieją sprzeczności, których nie można rozwiązać w różny sposób, mniejszym kosztem, unikając wielu zbytecznych cierpień i niepożądanych skutków”.

Obalwszy w ten sposób popularnie pojęty mit „konieczności historycznej”, anonimowy, a więc występujący w imieniu K.C. autor, daje partii sowieckiej łagodną, ale dobitną lekcję:

„Zwłaszcza dzisiaj, gdy obiektywne przyczyny zaczęły zanikać, gdy w rezultacie akcji Partii i ludu radzieckiego cały obraz Związku Radzieckiego zmienił się głęboko, kult Stalina i cały związany z nim system zawisł w pustce, z historycznego punktu widzenia. Musi być teraz również zdemaskowany i przewyciężony”.

Skoro sam stosunek PZPR do stalinizmu, tak różny od stosunku partii sowieckiej, pachnie policentryzmem w praktyce, przejdźmy do policentryzmu w teorii. „Trybuna Ludu” jest *jedynym* pismem wewnątrz bloku sowieckiego, które odważyło się zacytować wezwanie Togliattiego do „policentrycznej polityki w obozie komunistycznym”. W swej wypowiedzi na IX Plenum, Gomułka potępił hasło policentryzmu, zaaprobował zaś stojącą za nim rzeczywistość. Potępienie polegało na stwierdzeniu, że różnice w działalności politycznej i metodach pracy różnych partii komunistycznych nie są zawsze skutkiem konkretnych warunków, w których dana partia pracuje, ale mogą zależeć od „dogmatycznych lub rewizjonistycznych” skłonności danych partii. Polemizując z Togliattim („Niektórzy towarzysze w bratnich partiach komunistycznych...”), ograniczył się Gomułka do wskazania na Albanię i Jugosławię. Po czym dodał: „Nie ma dziś żadnego ośrodka, który by kierował akcją poszczególnych partii komunistycznych. Ośrodek taki jest zresztą niepotrzebny”. Pomijając element „wishfull-thinking”, co może być alternatywą „nieistniejącego” i „niepotrzebnego” monocentryzmu?

Głównym motywem XXII Zjazdu była, omówiona powyżej, koegzystencja pokojowa. W tej dziedzinie PZPR udziela Chruszczowowi poparcia entuzjastycznego. Gomułka na IX Plenum:

„Najważniejszym problemem naszych czasów jest problem wojny i pokoju. Historyczną misją ruchu komunistycznego jest zagrozić drogę wojnie i uratować ludzkość od atomowej katastrofy”.

Rezolucja IX Plenum:

„PZPR jest całkowicie solidarna z analizą sytuacji międzynarodowej i z ogólną linią polityki międzynarodowej XXII Zjazdu. Jest to leninowska

polityka koegzystencji... Celem tej polityki jest uratowanie ludzkości od wojny atomowej, co stało się historyczną misją ruchu komunistycznego. Polityka ta wyraża życiowe interesy wszystkich narodów świata i ma uniwersalne poparcie ludu polskiego”.

Nie sposób wątpić o szczerości tej wypowiedzi. Wiele elementów dzieli społeczeństwo polskie od społeczeństwa sowieckiego, ale łączy je na pewno wspólne dążenie do dobrobytu i do pokoju. Trudno byłoby dziś sowieckiej Partii narzucić swemu społeczeństwu politykę ryzyka wojennego, a nawet politykę pomocy gospodarczej Chinom i ludom eks-kolonialnym zakrojoną na skalę, która by poważnie hamowała wewnętrzny sowiecki rozwój gospodarczy.

XXII Zjazd potwierdził znany polski dowcip, że „na szczęście między Polską a Chinami istnieje państwo buforowe”. Trudno jest w polskiej prasie otwarcie oskarżać Chiny o skłonności wojenne, ale umiejętnie się podkreśla stanowisko „dogmatyków”. Popularny „Świat” pisze (3.XII.61):

„Co powodowało dogmatyczne, sekciarskie idee w polityce międzynarodowej? Niewątpliwie były one ściśle związane z całokształtem wewnętrznej polityki, z przekonaniem... że jeśli dwie wojny światowe przyniosły najpierw utworzenie socjalistycznego państwa, potem pojawienie się całego systemu państw socjalistycznych — to wojna może być nie tylko nieszkodliwa, ale nawet potrzebna dla sprawy socjalizmu, a w żadnym razie nie stanowi największej tragedii ludzkości”.

Nowe „socjotechniczne” pokolenie polskie uodpornione jest całkowicie na rewolucyjną mistykę, którą mogą — w oczach pewnej lewicy zachodniej — reprezentować Chiny czy ruchy niepodległościowe ludów eks-kolonialnych.

Wydaje mi się, że nową tendencję krytyki antyideologicznego pokolenia „socjotechnicznego” i całą wzmoczoną aktywność „ortodoksyjnych rewizjonistów” należy w Polsce przypisać skutkom XXII Zjazdu: skoro ukazał on wyraźnie dwie formuły socjalizmu — z których jedna związana z Sowietami, reprezentuje program pokoju i racjonalnego rozwoju gospodarczo-społecznego, druga zaś, chińska, przejmuje tradycję stalinizmu i wojennego ryzyka — to czy nie można by nareszcie pozyskać polskiej opinii dla tej wersji komunizmu, która jest jej naturalnym udziałem i która jej bardziej odpowiada?

Gdyby stosunek do Związku Sowieckiego nie stanowił w Polsce tematu-tabu i gdyby ankieta socjologiczna Pawełczyńskiej i Nowaka uwzględniła tę dziedzinę w r. 1958 i 1961, okazałoby się może, że w ciągu ostatnich trzech lat nie wiść do Rosji zmalała, nawet jeśli trudno jeszcze mówić o „przyjaźni”. Od niedawna zresztą pisma polskie natrafiły na jedyną formułę mądrej prosowieckiej propagandy: dawania polskiemu czytelnikowi tekstów autorów sowieckich źle widzianych przez ich własne

oficjalne czynniki (5). Prasa sowiecka robi nagonkę na „Babi Jar” Jewtuszenki? „Babi Jar” ukazuje się w „Polityce”. Jakaż może być reakcja młodego polskiego czytelnika na drukowany w „Nowej Kulturze” „Prolog” Jewtuszenki:

„Granice przeszkadzają mi...
I żal mi,
że nie znam ni New Yorku,
ani Palm Beach,
Chcę się powłóczyć
po Londynie, nad Lemanem,
ze wszystkimi rozmawiać
choćby językiem łamanym!
Jak chłopak,
co się autobusu czepia,
chcę po Paryżu z rana się przejechać!
Chcę sztuki —
jak ja sam,
coraz to innej!”

jeśli nie poczucie prawdziwego, odkrytego po raz pierwszy braterstwa? A Jewtuszenko nie jest jeden — „Nowa Kultura” zaprezentowała również polskiemu czytelnikowi Wozniesińskiego, Winokurowa.

Wiele mówiono — od Października 1956 — o „wpływie” jaki Polska wywiera, może wywierać, powinna wywierać na ewolucję Związku Sowieckiego. Nie należy oczywiście lekceważyć dotychczasowych wpływów, czy to w formie oddziaływania autentycznego polskiego rewizjonizmu na nowy, podziemny jeszcze ferment intelektualny i artystyczny w Rosji; czy to w formie implantacji przez „rewizjonistów ortodoksyjnych” typu Schaffa czy Langego nowych metod poznawczych w nauce sowieckiej; czy wreszcie nawet poprzez przykład że nowy polski model społeczny i gospodarczy nie okazał się „równią pochyłą do kapitalizmu”. Ale istniały w tej dziedzinie liczne przeszkody: niechęć, jeśli nie wręcz nienawiść ogółu polskiej opinii do Związku Sowieckiego, ostentacyjny, tępy brak zainteresowania sowieckim życiem ze strony polskiej; ze strony sowieckiej zaś tradycyjna nieufność do Polaków, podejrzenie o rewizjonizm i „likwidatorstwo”. Rozwój, nawet powolny i ograniczony, jaki zapowiada XXII Zjazd może szereg z tych przeszkód usunąć.

Po raz pierwszy od chwili dojścia do władzy, polski komunizm posiada obiektywne warunki spełnienia roli „mostu” między Związkiem Sowieckim i Zachodem; może wpłynąć na rozwiązanie wewnętrznych sprzeczności sowieckich (z jednej strony

(5) Podobną rolę spełnia na emigracji „Kultura”, wydając Terca, Arzaka: pisarze ci, już nie „źle widziani”, a wprost wyklęci, również usuwają szereg zakorzenionych uprzedzeń Polaków w stosunku do społeczeństwa sowieckiego.

oparcie polityki gospodarczej i społecznej na bazie racjonalnej, z drugiej, nacisk na ideologię celem usprawiedliwienia partyjnego monopolu władzy) w kierunku demokratycznego socjalizmu i upowszechnienia wolności. *Ale jeśli polski komunizm ma spełnić tę rolę, problematyka polska musi zawsze wyprzedzać problematykę sowiecką, prawdziwie zaś nowe problemy stawia nie rewizjonizm ortodoksyjny, a rewizjonizm filozoficzny.* Schematycznie można tę sprawę postawić tak: rewizjonizm filozoficzny jest w Polsce koniecznym fermentem, głównym bodźcem rozwoju rewizjonizmu ortodoksyjnego, który z kolei ma możliwości dialogu z Moskwą. Operując przykładami konkretnymi: w naukowym, filozoficznym, społecznym dialogu polsko-sowieckim naturalnymi rozmówcami ze strony polskiej są ludzie typu Schaffa, Langego, Żółkiewskiego. Ale wiemy do jakiego stopnia nowość tez tych czołowych polskich „ortodoksyjnych rewizjonistów” zawdzięczamy ich dialogom z Kolakowskim, Ossowskim, Strzeleckim, Chałasińskim. Wszczęta równolegle z XXII Zjazdem i zapoczątkowana przez „ortodoksyjnych rewizjonistów” dyskusja wykazuje, że mniej lub bardziej świadomie zdają sobie oni sprawę ze swojej misji. Weźmy choćby serię artykułów Schaffa ogłoszoną ostatnio w „Przeglądzie Kulturalnym” pt. „Humanizm i komunizm”.

Jednym z najcięższych do rozwiązania problemów dla sowieckich komunistów jest ich postanowienie zlikwidowania hamującej rozwój społeczno-gospodarczy biurokracji, usunięcia „środków administracyjnych” przy jednoczesnej obawie przed demokratyzacją. Chruszczow stara się wyjść z tego dylematu przyspieszając rotację urzędowania administratorów i aparatczyków, ale równa się to chęci likwidowania „środków administracyjnych” środkami administracyjnymi. Schaff, odrzucając koncept „instytucjonalizacji demokracji socjalistycznej” (mimo że stwierdza że „nie jest jej przeciwnikiem”) kładzie nacisk na najbardziej konkretną i osiągalną formę demokratyzacji wewnątrzpartyjnej:

„Należy bezwzględnie szanować prawa członków partii do obrony swego punktu widzenia w granicach statutu partii. Jest to tym bardziej konieczne, że w praktyce zasada ta została obalona po śmierci Lenina. Przypomnijmy, że trudno jest się uwolnić od długoletnich nawyków, i że nasi dzisiejsi przywódcy zostali właśnie uformowani w okresie pogwałcenia tych praw. Łatwiej jest odrzucić i potępić słownie wypaczenia okresu kultu osobowości, niż zmienić praktykę która się zakorzeniła w tym okresie”.

Innym charakterystycznym przykładem jest niezmiernie ciekawa dyskusja w „Nowej Kulturze” na kluczowy temat: ideologia — socjotechnika. Zacytujemy z niej ożywczą wypowiedź Edwarda Lipińskiego:

„Powiedziałem kiedyś w zapale polemicznym, że pierwszym zadaniem prawdziwego marksisty jest walka o wolność, ponieważ uważam że gdy nie ma wolności tworzą się błędy, naokoło tych błędów obrastają sily i hamują rozwój.

„Przewycięzając zło, stwarzamy nowe elementy zła. Zawsze się znajdują ludzie i grupy, w których interesie leży utrzymanie zła. Należy stworzyć warunki skutecznej walki ze złem. Warunkiem podstawowym jest wolność walki o własne przekonania. Gdyby w epoce kultu jednostki była większa wolność wypowiedzania myśli i krytyki — nie doszłoby do zbrodni stalinizmu”.

Przykładów takich można by dać o wiele więcej. Większość odważnych wypowiedzi polskich „ortodoksyjnych rewizjonistów” dotyczy jednak dziedzin w której, w pewnej mierze przynajmniej, XXII Kongres dokonał zasadniczego wyłomu: wolności dyskusji naukowej i swobody w wyborze metodologii. Przyczyny tego wyłomu świetnie zanalizował na łamach „Kultury” Borys Lewickij, omawiając je również powyżej: sowieccy komuniści doszli do wniosku, że polityka gospodarcza musi się opierać na bazie naukowej. Wszystko wskazuje zresztą na to, że Chruszczow jest rewizjonistą w tych dziedzinach, które dobrze zna: polityki zagranicznej, gospodarki (a zwłaszcza rolnictwa). Jak każdy urodzony pragmatysta, okazuje on wielką nieufność w stosunku do wszystkich dziedzin, które mu są obce. Stąd jego „ortodoksyjna” postawa wobec literatury i sztuki, jego żywa niechęć do młodego pokolenia pisarzy i malarzy sowieckich, którzy chcą wreszcie zrzucić jarzmo socrealizmu. Nie jest wykluczone, że podobnie reaguje Gomułka. Dlatego niepokojącym w Polsce objawem jest, że obecny ferment dyskusyjny obejmuje wolność nauki, gospodarke, socjologię, ale nie przejawia się w zakresie literatury i sztuki. Z tych dziedzin dochodzą nawet niepokojące echa: perypetie książki Jacka Bocheńskiego o Juliuszu Cezarze i nagrody „Nowej Kultury”, zmiany w komitecie redakcyjnym pisma, zdjęcie ze sceny sztuk Leszka Kołakowskiego, aresztowania.

XXII Zjazd otworzył komunistycznej Polsce nowe i wielkie możliwości. Zakreślony na nim kierunek rozwojowy Związku Sowieckiego niewątpliwie wzmocnił pozycję Polski w ramach bloku. Na długą metę Związek Sowiecki nie będzie mógł przekształcić się w nowoczesne społeczeństwo przemysłowe nie zakładając jednocześnie podwalin nowego socjalizmu demokratycznego, którego zarysy dał Polski Październik, rewolucja węgierska. Rozwój ten będzie uciążliwy, przejdzie przez wiele zahamowań i nawrotów. Byłoby wielkim nieszczęściem gdyby Polska zrezygnowała ze swej dynamicznej roli w światowym ruchu komunistycznym i zadowalała się „dotrzymaniem kroku” swemu wschodniemu sąsiadowi.

Styczeń 1962 r.

K. A. JELEŃSKI

Deutscher - prorok i historyk (dok.)

Wolnościowe nadzieje i zaangażowanie anty-wolnościowe

Przez ten czas walka o większą wolność toczyła się rzeczywiście w krajach komunistycznych i nie trudno było rozpoznać bojowników po jednej i po drugiej stronie. Wiele z tych wypadków może posłużyć jako sprawdzian szczerości wolnościowego ducha wśród obserwatorów. Jaki był stosunek Deutschera do tych wydarzeń? Czy brał on stronę prześladowanych czy prześladowców? Wypowiedzi jego pozwalają nam ocenić jego zaangażowanie po stronie tego, co określa jako „pełną demokracją sowiecką” przyszłości. Aby wziąć parę przykładów.

Wkrótce po polskiej „wiosnie w październiku” tygodnik warszawski *Świat* ogłosił przekład eseju Deutschera „Sumienie eks-komunisty”. Parę miesięcy potem młody pisarz komunistyczny, Andrzej Braun, wyraził na ten temat szereg wątpliwości. Między innymi pisał:

Deutscher zaleca jako postawę jedynie godną intelektualisty powstrzymanie się od działania. Niestety, jest to postawa niemożliwa dla intelektualisty żyjącego... wewnątrz takiego społeczeństwa jak nasze. Pamiętać trzeba, że u nas nie za działanie, ale za samą postawę niszczone i likwidowano ludzi. (*Nowa Kultura*, 3 marca 1957).

Deutscher zareagował na to listem do *Nowej Kultury* (7 kwietnia, 1957), w którym przestrzegał młodych komunistycznych „rewizjonistów” przed przyjmowaniem niesłusznej postawy wobec rewolucji rosyjskiej dlatego, że znajdują się zbyt blisko niej. To było właśnie ich największym zmartwieniem, Deutscher, bardziej od niej oddalony i wyczulony na „perspektywę historyczną” zwrócił im uwagę, że „rozdzielenie między 'herezykiem' a 'renegatem' komunizmu zachowuje, niestety, swoją

moc nie tylko na Zachodzie, ale i na Wschodzie — i w Polsce”. Temu przyklasnęła oficjalna *Polityka*, ale „rewizjoniści” pozostali nieprzekonani. Jeden z nich, K.T. Toeplitz streścił dosadnie całą sprawę w następującej formie:

Mierząc nasze sprawy abstrakcyjnymi normami tradycyjnej „walki socjalistycznej” Deutscher idealnie błędnie rozmięcił swoje sympatie i poparcie. Nieporozumienie to przypomina mi słynną anegdotę o młodym Żydzie, który studiował marksizm. Nękany wątpliwościami nasuwanymi przez doktrynę udał się do rabina z pytaniem: — Rebe, czy można zbudować socjalizm w jednym kraju? — Owszem — odpowiedział rabin po chwili namysłu — można zbudować socjalizm w jednym kraju, ale mieszkać trzeba w drugim. (*Nowa Kultura*, 21 kwietnia 1957).

Deutscher nie dawał jednak za wygraną. Podczas kontrataku partii przeciwko prasie, kiedy „odskocznia Października” — *Po Prostu* i inne pisma były zamykane, udzielił wywiadu tygodnikowi *Świat*, w którym uznał za uzasadnione „ograniczenia wolności demokratycznych w pewnych okresach”, pod warunkiem, że praktyk tych nie będzie się określać jako chwalebne, a zwłaszcza „jako chwalebne zawsze”. Tak więc, gdy przyszło do spraw konkretnych, Deutscher znalazł się, jak zwykle, po stronie cenzorów, w pozycji wybitnie niewygodnej dla kogoś komu marzy się, że bogini wolności może przejść do obozu komunistycznego.

Podobną postawę spotykamy i w innych wypadkach, kiedy w grę wchodziła kwestia wolności. Oczywiście Deutscher miał zawsze w zapasie odpowiednio „realistyczne” argumenty, tak jednak argumentowali zawsze i wszędzie wszyscy zauszniczy wszystkich autokratów w historii. W sprawach tego rodzaju liczą się nie racjonalizacje, lecz konkretna postawa polityczna. W wypadku Deutschera postawa polityczna jest aż nadto wyraźna. Rewolucja węgierska poddała ją dalszej próbie.

Deutscher wytłumaczył ponowne restrykcje nałożone na prasę w Polsce odkryciem „oddolnego ruchu proletariackiego, który zahamował w październiku siły polskiego Thermidora” (1). Na Węgrzech jednak sprawy były zbyt jednoznaczne, by móc czule obejmować boginię wolności, a próbując równocześnie zadawany jej gwałt. Deutscherowi udało się to jednak zrobić.

Przed wszystkim oświadczył, że i na Węgrzech miał miejsce „rodzaj Thermidora, który na zewnątrz jest także, a może przede wszystkim, wojną narodowo-wyzwoleńczą”, oraz że Węgry w rezultacie odtrąciły wraz z bagnietami sowieckimi rewolucję, którą początkowo one im właśnie przyniosły”. Chociaż „dokonało się to żarliwym wysiłkiem całego powstającego ludu”, niemniej była to kontrrewolucja, kontrrewolucja, w której

(1) *Universities and Left Review*, tom I Nr 1. str. 10. W rzeczywistości to właśnie proletariat trzeba było hamować z góry w obawie przed sowiecką interwencją.

„Nagy i jego grupa odegrali rolę podobną do tej, jaką w swoim czasie Trocki przeznaczał dla Bucharina i Rykowa”. Stąd wyrok Deutschera, że „w październiku i listopadzie (1956) lud węgierski z heroicznym szaleństwem nieświadomie próbował cofnąć wstecz wskazówki zegara”.

Nie były to jednak jego ostatnie słowa na ten temat. W odczycie wygłoszonym w Kanadzie w 1959 roku, nieświadoma kontrrewolucja całej ludności — zgnieciona przez interwencję sowiecką — stała się po prostu i eufemistycznie „wojną domową” *tout court* (2). W ten sposób zakończył się romans Deutschera z węgierską boginią wolności. Mamy i inne przykłady jego wolnościowego ducha.

Atakował on swego czasu Orwella za jego zdemaskowanie stalinizmu nie na czasie, wtedy gdy zbrodnie były popełniane, gniewał się później na Pasternaka za jego po-stalinowskie świadectwo o epoce w „Doktorze Żiwago”. Nawet list redaktorów „Nowego Miru” odrzucających manuskrypt Pasternaka nie był tak ubliżający jak recenzja Deutschera z tej książki. Najwyraźniej obaj ci autorzy dotknęli Deutschera do żywego i nie trudno jest widzieć dlaczego.

Absolutna uczciwość intelektualna Orwella i metapolityczna pogoda ducha Pasternaka były w uderzającym kontraście do jego własnych dwuznaczności. Orwellowi, pisał Deutscher, „brak bogactwa i subtelności myśli oraz filozoficznego dystansu wielkich satyryków”, a jego idee polityczne wydały się mu „freudowską sublimacją manii prześladowczej” (3). Pasternak „mówi językiem nie zwykłym” lecz umarłych, jego głos „jest głosem spoza grobu”, chociaż Pasternak wciąż jeszcze żył w tym czasie. Według interpretacji Deutschera „Doktor Żiwago” jest „powieścią polityczną”, nawet po prostu „historią polityczną”, a bohater książki „bezpłodnym egoistą, humanitarnym moralistą”. Jakżeż innym człowiekiem jest sam prorok, który z całkowitym filozoficznym dystansem oświadczył w grudniu 1958 roku (a więc wtedy, gdy Pasternak porównywał się w wierszu „do zaszczutego zwierza”), że „wolność osobista i dobrobyt Pasternaka nigdy „aż do dziś”, nie były naruszone i wyrzucał mu stawianie jedynie „biernego oporu” w czasach stalinowskich: „w wierszach swych ucieka on od tyranii, zamiast stawiać jej czoła”. I dlatego tylko Pasternakowi udało się przeżyć, podczas gdy większość poetów i pisarzy z jego pokolenia albo popełniła samobójstwo, albo została deportowana, aresztowana lub zgładzona. Sam Stalin czuwał nad bez-

(2) *The Great Contest*, str. 12, 16 i 48.

(3) *Heretics and Renegades*, str. 36, 48. Uwaga ta wykazuje 1) nadzwyczajną nieczulość, na sprawę prześladowania u kogoś kto jest biografem zszutego i zamordowanego Trockiego; 2) nieznamość Freuda, według którego sublimacja dotyczyć może jedynie podstawowych instynktów i zawsze jest pozytywna. W teorii Freuda mania prześladowcza (dziś już zresztą pojęcie przestarzałe) nie może ulec sublimacji.

pieczeństwem i dobrobytem Pasternaka, wiedząc że „nie trzeba się obawiać jego poezji” (4).

Oto więc człowiek, który samotnie wystąpił przeciwko totalistycznemu państwu, jest oskarżony o niedostateczny opór przez autora, który niejednokrotnie, ale z daleka, był apologetą stalinowskiej tyranii. Niewiele w tym wszystkim z Goethego, niewiele z goetheańskiej *Höflichkeit des Herzens*.

Fakty i cyfry Deutschera

We wszystkich wypowiedziach Deutscher podkreśla naukowy charakter swego marksizmu. „Stalinizm” według niego był „marksizmem niepiśmiennych”; jego marksizm jest natomiast prawdziwego zdarzenia. Spróbujmy zbadać jak ściśle są jego metody w analizie zjawisk sowieckich?

Nie tylko że nie zawsze posługuje się on faktami i cyframi w sposób ścisły, ale czasami nie ma najmniejszego pojęcia o rzeczach, o których wyrokuje z tak wielką pewnością siebie. Oto, dla przykładu, sąd Deutschera o rozwoju sowieckiej teorii planowania pod Stalinem: (5)

Teoria planowania była jedną z nielicznych dziedzin, gdzie ogólne obniżenie się poziomu życia umysłowego pod rządami Stalina nie przeszkodziło w dokonaniu istotnych zdobyczy. Planisci rozporządzali zdumiewająco skuteczną „tajną bronią”: słynnymi twierdzeniami o „reprodukcji prostej i rozszerzonej” które Karol Marks rozwinął w drugim tomie „Kapitału”. Twierdzenia te, modelowane na *Tableaux Économiques Quesnay'a*, określają rozdział i obieg narodowych zasobów produkcyjnych w systemie kapitalistycznym. Przystosowane przez planistów sowieckich do gospodarki kolektywnej i dalej rozpracowane, twierdzenia te dopomogły do osiągnięcia rezultatów które przyszli historycy być może uznają za jedno z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej technologii społecznej w tym pokoleniu.

Trudno powiedzieć, co bardziej tu podziwiać: czy śmiałość autora czy też jego ignorancję. Wszystko jest tu na opak. Teoria planowania gospodarczego dzieliła pod Stalinem los wszystkich innych nauk społecznych; odwilż w ekonomice zaczęła się dopiero po śmierci Stalina; „tajna broń” ma niewiele wspólnego z planowaniem sowieckim, a w szczególności *Tableaux Économiques Quesnaya* nie miały zastosowania praktycznego w działalności Gosplanu. Deutscher dał się widocznie zwieść ideologicznym ozdobom sowieckiego piśmiennictwa ekonomicznego, gdyż, jeśli już o tym mowa, „Kapitał” jedynie przeszkodził w rozwoju sowieckiej teorii planowania. W rzeczywistości, postalinowska dysputa na ten temat skupiała się właśnie na kwestii usunięcia tej przeszkody, a dalszy rozwój

(4) *Boris Pasternak et le calendrier de la Revolution*, w *Les Temps Modernes*, Styczeń 1959, str. 1061, 1064, 1070, 1081.

(5) *Heretics and Renegades*, str. 117.

planowania w Rosji uzależniony jest od tego, czy dojdzie do przyjęcia nie-marksistowskich konceptów, importowanych z zachodniej teorii gospodarczej i ekonomii matematycznej, i do zużycowania rodzimych rewizjonistycznych teorii Nowożyłowa i Kantorowicza. Marksowska teoria wartości była, i jest nadal, kamieniem u nogi sowieckich planistów i jeśli dzisiaj techniki analizy przepływów międzygałęziowych i programowania liniowego przystosowywane są do planowania sowieckiego, to dzieje się to wbrew a nie z powodu „Kapitału” (6).

Niezależnie od faktu, że „najwybitniejsze osiągnięcie technologii społecznej” miało już miejsce pod rządami Stalina, Deutscher odkrył później „pewne odrodzenie się dyskusji ekonomicznych”, co dało mu asumpt do pouczenia akademickich słuchaczy kanadyjskich (*The Great Contest*, str. 32):

Duża część tej dyskusji pozostanie, obawiam się, całkowicie poza zasięgiem studentów zachodnich, kształconych na ekonomii Marshalla i nawet (sic) Keynesa, ponieważ prowadzona jest w kategoriach marksistowskich. Oto jeszcze jeden powód, przyziemnie praktyczny, aby uniwersytety zachodnie zaczęły zachęcać wreszcie do poważnych i czerpanych z pierwszych ręki studiów nad dziełami Marksa. Nie można zrozumieć obecnych debat gospodarczych i metod planowania w Rosji bez znajomości „Kapitału”.

Deutscher zdaje się w ogóle nie wiedzieć o ogromnej ilości badań prowadzonych na uniwersytetach zachodnich nad gospodarką sowiecką, nie słyszał on widocznie, że sama *Association of Economists* w Ameryce, zajmująca się tym przedmiotem, liczy setki naukowców.

Ten sam rodzaj uprzedzeń ideologicznych wykrzywia poglądy Deutschera na stan rolnictwa sowieckiego. Jego wzmianki z tej dziedziny są zazwyczaj błędne, właśnie z powodu ideologicznego zaangażowania po stronie gospodarstw kolektywnych. W swej pierwszej korespondencji z Niemiec do *Observera* (29 lipca 1945) Deutscher donosił, że spotkał żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego, którzy „byli pod wrażeniem kolchozów sowieckich, w których dostrzegli, jak mówili, wydajność i sprawiedliwość społeczną”. W 1953 roku Deutscher wyraził aprobatę dla poglądów Stalina, który był przeciwny przekazaniu Stacji Traktorowych kolchozom, gdyż „mogłoby to oznaczać początek silnego rozwoju kapitalizmu w rolnictwie sowieckim”. Stwierdzał ponadto, że „Stalin ma niewątpliwie rację” kiedy przypuszcza „iż w wyniku nastąpiłoby wzmocnienie elementów antysocjalistycznych w gospodarce sowieckiej” (7).

Niemniej, w kilka lat potem, kiedy Stacje Traktorowo-Maszynowe zostały przekazane kolchozom, Deutscher całkowi-

(6) Na ten temat patrz: A. Zauberman *Revisionism in Soviet Economics w Revisionism*, pod redakcją L. Łabędzia (Londyn 1962), oraz *Marx, Kantorovich and Novozhilov, w Slavic Review*, paźdz. 1961.

(7) *Soviet Studies*, kwiecień 1953.

cie poparł decyzję Chruszczowa, wyjaśniając, że podjęta ona została „w przekonaniu, że przemysł państwowy, silny i posiadający potężnie rozbudowane zasoby, nie musi obawiać się wzmocnienia gospodarki rolnej” (8).

Te ideologiczne koziołki, chociaż nie zawsze idące dokładnie po bieżącej linii polityki sowieckiej, posuwają się przeważnie jej śladem. Podejście Deutschera jest bezkrytyczne nie tylko do faktów rzeczywistości sowieckiej, ale także do oficjalnych cyfr. Cytuje on bez zastrzeżeń oficjalne sowieckie statystyki gdy tylko jest mu to na rękę, chociaż wie dobrze, że należy do nich podchodzić ostrożnie.

Przemawiając w Chatham House na temat XIX Zjazdu (jeszcze za czasów Stalina), Deutscher poruszył w ówczesnym kontekście sprawę dylematu: „armaty czy masło”: „Wydaje mi się pisał, że pod tym względem sytuacja Rosji jest lepsza niż Europy Zachodniej” (9). A w swym odczycie kanadyjskim z tą samą beztronską łatwością, wyraził przekonanie, że w przeciągu 10 lat rosyjska stopa życiowa „na pewno przewyższy standard zachodnioeuropejski” (*The Great Contest*, str. 65). Nic też dziwnego, że autor sowiecki, cytując tę przepowiednię, mówi z aprobatą o „angielskim ekonomicznie, Deutscherze” (10).

Deutscher potrafi być także ekspertem prawnym. Pisząc o sowieckiej debacie poprzedzającej wprowadzenie nowego kodeksu karnego, stwierdził, że „według dawnego kodeksu, powstałego z niestawnej inspiracji Wyszyńskiego, rozprawa sądowa, szczególnie w wypadku spraw politycznych opierała się o domniemanie winy oskarżonego”. Nowy kodeks nie wprowadza „ani domniemanie winy, ani niewinności” (11).

To jest po prostu kazuistyczny nonsens. Dyskusja sowiecka z 1958 roku rzeczywiście obracała się wokół sprawy „domniemanie niewinności”, którą to zasadę bardziej liberalni prawnicy sowieccy starali się włączyć do nowego kodeksu, ale dawny kodeks nie zawierał bynajmniej „domniemanie winy”. Odrzucał on jedynie „domniemanie niewinności”, a to nie jest to samo. W swej książce *Teoria sudiębnych dowodzieł w sowieckom prawie* (Moskwa, 1946) Wyszyński dowodził nawet wyższości prawa sowieckiego ze względu na to, że zawiera ono rzekomo

(8) *The Great Contest*, str. 15 i 16. W *Russia after Stalin* Deutscher narysował nieco krytyczny, ale stosunkowo przychylny obraz spadku jaki Stalin zostawił w rolnictwie (str. 56-66). Dzisiaj nawet komunistyczna *l'Unita* (31 stycznia 1962) oświadcza, że Stalin pozostawił „poważną stagnację w rolnictwie, które na wielu odcinkach nie wyszło poza osiągnięcia przedwojenne”. Co więcej: „Chruszczow osobiście oświadczył przedstawicielowi *The Times*, że w chwili śmierci Stalina rolnictwo znajdowało się w stanie stagnacji” (*The Times*, 2 marca 1962).

(9) *International Affaires* (Londyn), kwiecień 1953, str. 153.

(10) A. Starcew w *Mirowoj Ekonomice i Miedzunarodnyh Odnoszenjach*, Nr 2. 1961.

(11) *The Great Contest*, str. 37.

zasadę domniemania niewinności", pozostawiając obowiązek udowodnienia winy oskarżycielom (str. 109-198).

W innych sprawach, mających pewne znaczenie historyczne, a nawet socjologiczne i doktrynalne, Deutscher również mija się z faktami. Recenzując *Zdradzoną rewolucję* Trockiego (w *New Statesman*, 24 sierpnia 1957) informuje czytelnika, że James Burnham „oparł swą *Rewolucję menadżerską* na kilku fragmentach teorii Trockiego". W rzeczywistości Burnham zrobił coś wręcz przeciwnego: po długotrwałej dyspacie, w której Trocki odrzucił idee wyluszczone po raz pierwszy przez Brunona Rizzi w *La bureaucratisation du monde*, Burnham zerwał z trockistami i rozpracował te idee w *Rewolucji menadżerskiej*. To była zresztą sprawa skupiająca na sobie ostatnie polityczne boje Trockiego, jak wykazują jego ostatnie pisma (zebrane w *In Defense of Marxism*, Nowy Jork, 1942). Stanowisko Burnhama, jak wynika z tych pism, było diametralnie różne od stanowiska Trockiego.

Byłoby rzeczą zbyt nużącą wymieniać dalej pomyłki Deutschera; nie są one świadomymi przekręceniami, lecz raczej podświadomymi przeinaczeniami. Widać w nich pewną regularną tendencję, wskazującą na tak silne uprzedzenia, że widocznie Deutscher nie zdając sobie nawet z tego sprawy manipuluje nie-raz rzeczywistością dla poparcia swych argumentów. Gdy przychodzi na przykład do potępienia Orwella, Deutscher zwraca uwagę na „pewne podobieństwa biograficzne między Orwellem i Zamiatinem”, w rezultacie czego otrzymujemy przeinaczoną wersję biografii Zamiatina: (12)

W 1917 roku Zamiatin patrzył na rewolucję zimnym i rozczarowanym okiem, przekonany, że nie może z niej wynikać nic dobrego. Po krótkim pobyciu w więzieniu uzyskuje pozwolenie rządu bolszewickiego na wyjazd za granicę; i tam właśnie, w emigracyjnym Paryżu, pisze *My* na początku lat 1920-tych.

Znowu wszystko jest tu przekręcone. Nie tylko że Zamiatin nie był przeciwny rewolucji, ale „przyjął ją z entuzjazmem, wygłaszając niezliczone ilości odczytów w jej obronie” (13). Rozczarowanie przyszło dopiero później. Książka o której mowa napisana została w Rosji, nie w Paryżu, a jedynie wydana zagranicą. Zamiatin nie przebywał w Paryżu na początku lat dwudziestych. Udał się tam dopiero w 1931 roku, po ostrej nagonce na niego w prasie sowieckiej. Napisał wówczas pełen godności i ironii list do Stalina, prosząc go o pozwolenie na wyjazd, które otrzymał. Nie był on jednak uwięziony i nie wy-daje się też, by jako emigrant „robił czasami wrazenie na w pół pogodzonego z reżymem sowieckim, w momencie gdy reżym ten wyłaniał właśnie swego Dobroczyńcę w postaci Stalina”, jak twierdzi Deutscher (14).

(12) *Heretics and Renegades*, str. 37.

(13) E. Zamiatin, *My*, New York, 1959 p. VI.

(14) *Heretics and Renegades*, str. 42.

Najwięcej jednak pozostawia do życzenia stosunek Deutschera do faktów w jego komentarzach na temat bieżących wypadków politycznych. Nie przedstawia on swych spekulacji dotyczących wydarzeń sowieckich jako hipotez ale jako ustalone historyczne fakty. Do chwytów stylistycznych, jakie stosuje, należy między innymi podawanie rozmów między przywódcami sowieckimi w cudzysłowach, tak jakby on sam je słyszał, opisując ich stanowiska i reakcje w sposób sugerujący, że jeśli nie był przy nich obecny, to co najmniej podsłuchiwał. Tak na przykład było w wypadku opisu kłótni między Malenkowem a Chruszczowem, w *New Statesman*, i rozmowy między Mao-Tse-tungiem i Ferhat Abbasem (którego wersja rozmowy zamieszczona w *Afrique Action* odbiegała znacznie od wersji Deutschera w *The Reporter* z 10 listopada 1960). Jedną z takich scen wygląda następująco: Chruszczow, wskazując na Mołotowa i Kaganowicza, wykrzyknął: „Wasze ręce są zbroczone krwią naszych przywódców partyjnych i niezliczonych niewinnych bolszewików!” „Twoje również” — krzyknęli w odpowiedzi Mołotow i Kaganowicz. „Tak, moje również odparł Chruszczow — „przyznaję się do tego. Ale podczas czystek ja jedynie wykonywałem wasze rozkazy. Nie byłem wówczas członkiem Politbiura i nie ponoszę odpowiedzialności za jego decyzję. Wy byliście jego członkami”. (*The New Statesman* 25.I. 1959). Można by przytoczyć wiele przykładów podobnych informacji „od wewnątrz”.

Deutscher „wie”, że przyszyły przywódca „grupy antypartyjnej”, Mołotow, „był spensjonowany” w okresie XX Zjazdu (*The Times*, 29 luty, 1956), ale obecnie „nadal ma wpływ” (*Observer*, 28 stycznia 1962); „wie” w 1953 roku, że „grupa pokoju” Malenkowa „rozpoczęła zastanawiać się nad sposobami wycofania się z Niemiec” (*Russia after Stalin*, str. 153) i że „blok Malenkow-Beria” był „rzeczywiście gotów porzucić rząd Piecka i Ulbrichta” (*Heretics and Renegades*, str. 175) (15) tak jak „wie” obecnie, że „Chruszczow wyrzecz się Niemiec Wschodnich” i już obecnie myśli nad wycofaniem się, „które byłoby przeprowadzone, w razie potrzeby, jednostronnie, abstrahując od konsekwencji jakie by z tego wynikły dla komunizmu Niemiec Wschodnich”, ponieważ „Niemcy Wschodnie są kamieniem młyńskim u szyi Chruszczowa” (*Observer*, 28 stycznia 1962). Nie chodzi o to, czy spekulacje te są słuszne czy błędne; tak Deutscher, jak i ktokolwiek inny, raz może zgadnąć, raz nie zgadnąć. Chodzi o coś innego. Chodzi o to, że te domniemane przypuszczenia podawane są za realne fakty, podczas gdy w rzeczywistości nie są niczym więcej, jak jego własnymi (najczęściej błędnymi) wnioskami, dedukcjami i konstrukcjami.

(15) Powtórzył on to przekonanie w rok później: „Moskwa prawie otwarcie przygotowywała się do zdania na łaskę losu rządu Piecka i Ulbrichta w pierwszych paru miesiącach po śmierci Stalina”. (*Manchester Guardian*, 3 sierpnia 1954).

Nie wymaga się od niego oczywiście, żeby stosował takie same rygory w swych komentarzach politycznych co w pracach historycznych, ale i bez tego sposoby te, występujące w jego esejach, często zresztą przedrukowanych w formie książkowej, są poniżej przyjętych norm. Nie wychodzi też na dobre jego reputacji krytycznego badacza cytowanie w (*Russia after Stalin*) obszernych wyjątków z podrabianych pamiętników rzekomego krewnego Stalina, Budu Swanidze, w książce pt. *My Uncle Joe*, wyprodukowanej w osławionej paryskiej fabryce „sowietologicznych” falsyfikatów.

Między Chruszczowem z Mao

Stan pełnego oczekiwań podniecenia ideologicznego charakteryzujący podejście Deutschera do spraw komunistycznych czyni równie niegodnymi zaufania jego komentarze na temat spraw chińskich. Wydarzenia sowieckie są nieustannie porównywane z rewolucją francuską i jej następstwami, przy czym autor operuje ograniczoną liczbą straszaków (Thermidor i Bonaparyzm); wydarzenia chińskie porównywane są z kolei z wydarzeniami sowieckimi (NEP i stalinizm). Deutscher powiedział kiedyś, że „przeprowadzając jakąś analogię... trzeba wiedzieć, gdzie ją zakończyć. Mam nadzieję, że nie będę zbyt wykraczał przeciwko tej regule” (16).

Niemniej, wykroczenia te są bardzo poważne. Po przemówieniu Mao „O sprzecznościach w łonie ludu” Deutscher wyrwał się z jeszcze jedną swoją historyczną metaforą. W *New Statesman* (29 czerwca 1957) oświadczył, że „mowa ta przedstawia jak najbardziej radykalne odrzucenie stalinizmu”, że „przynajmniej się gruntownie do likwidacji stalinowskiej ortodoksji i metod rządzenia” oraz, że „w rezultacie Mao ogłosił chiński NEP”.

Zdumiewająca przepowiednia, ale niestety, jak wiele innych, absolutnie fałszywa. Dokładnie trzy tygodnie przedtem, 8 czerwca 1957 roku, chiński „Dziennik Ludowy” rozpoczął atak na „odchylenie prawicowe” i dał wyraźnie do zrozumienia, że okres „liberalny” się skończył.

Inna z uderzających nadziei Deutschera okazała się bezpodstawa dopiero *post hoc*. Mao, pisał Deutscher, „nie zostawia nam żadnych wątpliwości, że nie przewiduje „drugiej rewolucji” (w rodzaju drugiej rewolucji Stalina z 1929-32) dla Chin”, i że „głosi on nieuchronność stopniowego rozwoju”. „Wielki skok naprzód” z 1958 roku i wprowadzanie komun ludowych zadały wkrótce kłam tym twierdzeniom. W swym entuzjazmie dla „postępowego” Mao, którego „odrzuć stalinizm” było „niewątpliwie gruntowniejsze niż „tajne przemó-

(16) *Heretics and Renegades*, str. 53.

wienie” Chruszczowa”, Deutscher wywodził, że „argumentuje on dokładnie tak samo jak Trocki prawie 35 lat temu”. Ten najwyższy komplement uległ niestety z biegiem czasu pewnym dialektycznym przejęciom.

Z nastaniem 1961 roku Deutscher doszedł do wniosku, że „międzynarodowy ruch komunistyczny dzieli się na trzy skrzydła: lewe, prawe i centrum. Skrzydła te (reprezentowane przez Mao, Chruszczowa i Tito) są w pewnym sensie pośrednimi spadkobiercami trzech konkurencyjnych komunistycznych szkół myślenia z lat dwudziestych — trockizmu, stalinizmu i bucharynizmu”. Deutscher nigdy nie był zwolennikiem Bucharina, Tito zaś nie mógł reprezentować głosu przyszłości, ze swymi raczej skromnymi możliwościami. Z dwóch pozostałych „pośrednich potomków”, Mao obiecywał radykalizm, fundamentalizm, rozpęd rewolucyjny, krótko mówiąc „kryształowy marksizm” trockistowskich marzeń Deutschera. Chruszczow był „antydogmatyczny”, „destalinizował” Rosję, i popierał „pokojową koegzystencję”. Pierwszy był bliższy „heroicznemu okresowi rewolucji”, był gotów używać „barbarzyńskich metod aby wygnać barbarzyństwo” z Chin, i przypuszczalnie był równie uprawniony do podniesienia *sacro egoismo* swej rewolucji do najwyższej zasady, jak Stalin. Drugi jednakże był również wybrany narzędnikiem „konieczności historycznej”, zdążającej do „ustanowienia czystej „leninowskiej demokracji” w Rosji, wprowadzającej „nową fazę w rozwoju marksizmu, fazę równie wolną od dogmatyzmu jak w pierwotnym marksizmie — może nawet bardziej wolną — a jednocześnie przeogromnie wzbogaconą nowym doświadczeniem i zdolną do zrozumienia go i wyjaśnienia”.

Duch „odrodzenia religijnego”. wskazywał na „dogmatyczne” Mao z jego „proletariackim internacjonalizmem”; „demokratyczne” *credo* wskazywało na Chruszczowa, chociaż można się tu było spodziewać raczej *embourgeoisement* niż proletariackiego odrodzenia. Okrutny dylemat dla ex-trockistowskiego biografa Stalina. Kogo miał wybrać: czy „wielkiego rewolucyjnego despotę” — Mao; czy „ostatniego muzyckiego premiera Rosji” — Chruszczowa?

Manifest 81 partii komunistycznych ogłoszony w Moskwie w listopadzie 1960 roku wciąż skłaniał do nadziei, że Mao i Chruszczow

i ich zwolennicy muszą prowadzić swój spór latając dzielące ich różnice jak tylko potrafią najlepiej. Są oni, by tak rzec, skazani na robienie tego w duchu wzajemnej tolerancji, która żadnemu z nich nie przychodzi łatwo. Ta względna tolerancja jest czymś nowym w dzisiejszym komunizmie, który ukształtowany został w stalinowskim monolocie (17).

Wkrótce jednak Deutscher miał coraz większe trudności z braniem za dobrą złej monety, skoro „wzajemna tolerancja”

(17) *The Reporter*, 5 stycznia 1961, str. 30.

stawała się coraz mniej wzajemna i coraz bardziej nietolerancyjna.

Nie próbował on pomniejszać różnic, chińsko-sowieckich, ale znalazł dziwny sposób ich potraktowania, przedstawiając w *Sunday Times* (2 lipca 1961) jako sensacyjne odkrycie „tajny okólnik”, który rzekomo miał być wysłany przez Chruszczowa do szeregu partii komunistycznych, zawierający oskarżenie Mao o „brak lojalności” i „podżeganie do wojny światowej”. W rzeczywistości, artykuł jedynie powtarzał, w nieco zmienionej formie, treść oświadczenia pochodzącego z niepewnego źródła, jakie ukazało się miesiąc przedtem w dysydenckim francuskim piśmie komunistycznym, *La Voie Communiste*, zawierającym również — rzecz dziwna — w tym samym numerze artykuł Deutschera. Fakty te podane zostały w artykułach ogłoszonych w *Guardian* (19, 20, 24 lipca 1961) i *East et Ouest* (1961, Nry 262, 263). Odpowiadając na te artykuły (w *Sunday Times* z 23 lipca i w *Guardian* z 26 lipca) Deutscher zapewnił swych czytelników, że nie zaczerpnął swej wersji z dokumentu w *La Voie Communiste* (choć wiedział o jego istnieniu), jego dokument był inny, i pochodził ze źródła którego nie może wyjawiać; powtórzył też swe przekonanie o autentyczności dokumentu. Był to jeden z najmniej przekonujących przykładów dialektycznej zrzeczności Deutschera.

Dialektyka politycznego Janusa

Na pogrzebie Natalii Trockiej paru mówców odwoływało się do tej tragicznej postaci rewolucyjnej Niobe, która straciła męża i synów z powodu mściwego terroru „wielkiego rewolucyjnego despoty”. Jednym z mówców był Deutscher.

Pisząc o tym we *France-Observateur* (1 lutego 1962) Maria Craipeau przytoczyła następującą rozmowę:

*Nous sommes fidèles, n'est-ce pas? m'a dit quelqu'un.
Fidèles a quoi? Dis-moi, a quoi sommes-nous fidèles?
Il me regarda, étonné.
A notre jeunesse, non? A nous mêmes? Je ne sais pas, moi.*

Istotnie, wierni czemu?

Wszyscy wielcy ludzie mają swych epigonów i nie wszyscy epigoni są zawsze wierni. W wypadku Deutschera w grę wchodziła nie tyle „permanentna rewolucja”, co permanentna dwoistość. Oburzenie moralne, ten nieodłączny towarzysz politycznego idealizmu, jest w jego pismach dziwnie przytłumione, i to jest zadziwiające u autora który potrafi tak lirycznie pisać o swoich ostatecznych ideałach. Formalne potępienie przestępstw Stalina jest zawsze u niego połączone z tonem apologetycznym, czy to w formie retrospektywnego determinizmu czy w formie przepowiedni, że determinizm ekonomicz-

ny zapewni, na dłuższą metę, szczęśliwe rozwiązanie (kiedy, jak powiedział Keynes, nas już nie będzie). Co więcej, ta moralna dwoistość idzie w parze z lawirantwem politycznym. Występuje to zarówno w przypadku stosunku do przeszłości jak i terażniejszości, w odniesieniu do Stalina i Trockiego, Chruszczowa i Mao, w sprawie „nie-żydowskiego Żyda” i państwa Izraela, czy wreszcie do „obiektywnie postępowego” Wschodu i „formalnie demokratycznego” Zachodu. Kiedy włoski przywódca komunistyczny, Pajetta, zrobił uwagę, że osoby przedwcześnie wyjawiające prawdę o stalinizmie „niezbyt pomogły rewolucji”, Deutscher nawrócił do dawnego motywu:

Mogę się z panem zgodzić w tym punkcie. Parę lat temu napisałem esej o heretykach i zdrajcach, skierowany przeciwko tym, którzy wykrzystalizowali prawdę o stalinizmie, a raczej część prawdy o stalinizmie, dla wspomaganie reakcji.

Co więcej:

Nie powinniśmy zapominać, że europejska socjal-demokracja ponosi dużą odpowiedzialność za narodziny stalinizmu, ponieważ doprowadzając do odizolowania rewolucji rosyjskiej i zwalczając ją, przyczyniła się do jej degeneracji (18).

Krótko mówiąc, socjaliści najpierw pomogli do powstania stalinizmu, następnie zaś ex-komuniści pomogli reakcji wyjawiając o nim prawdę.

Deutscher okazał podobną wielkoduszność w swych radach dla Żydów sowieckich. Pisząc o ich skargach, oświadczył, że nie wierzy aby wielu z nich chciało z Rosji emigrować, nawet gdyby nadarzyła się po temu okazja, „ponieważ Związek Sowiecki ewoluuje w kierunku prawdziwej demokracji socjalistycznej”, a przecież w chwili obecnej jesteśmy świadkami odradzania się komunistycznego internacjonalizmu, który „musi stanowić źródło nadziei dla Żydów niezależnie od ich politycznych przekonań” (*Jewish Chronicle* 14 listopada 1959). *Sacro egoismo* nie stosuje się jednakże do państwa Izraela. Jako „przyjaciół jego ludu” Deutscher ostrzegają:

W końcu dojdzie do tego, że Środkowy Wschód rządony będzie przez socjalistów lub komunistów, może przez jakiegoś arabskiego Mao, który pokieruje ruchem na bardziej międzynarodowe tory. Jedynie w takich ramach uda się Izraelowi przetrwać. (*Ibid*).

„Przyjaciel Izraela” jest również wielkoduszny w swych przyjacielskich radach dawanych Zachodowi, chociaż w tym wypadku lojalności jego są jeszcze mniej podzielone. I mimo że on sam nie mówi tego wyraźnie, nie ma wątpliwości po czyjej stronie umieścił swe sympatie w tym współczesnym —

by użyć jego własnego określenia — „wielkim konflikcie”. Ponieważ komunizm i tak musi wygrać, gdyż jest i pożądanym i historycznie nieuniknionym (to zresztą nie jest nigdy stwierdzone *explicito*), nie należy się dziwić, że jego rady polityczne zdążają w kierunku osłabienia Zachodu i wzmocnienia Związku Sowieckiego i że zwykle zbiegają się z bieżącą polityką Moskwy. Cóż bardziej groteskowego, niż widok Deutschera dającego całkiem serio rady „stronie kapitalistycznej” jak „inteligentnie” działać w danej sytuacji politycznej! Chyba jedynie obraz ludzi oddanych sprawie ocalenia Zachodu, a szukających porad u człowieka, którego sympatie i filozofia polityczna wskazują właśnie na klęskę tegoż Zachodu.

Od dwudziestu już lat Deutscher staje w obronie międzynarodowych posunięć sowieckich, które przesunęły równowagę sił na niekorzyść Zachodu. Gdyby słuchano jego rad, równowaga sił zmieniłaby się jeszcze bardziej na korzyść Związku Sowieckiego. W okresie Jałty dowodził on, że Stalin nie jest imperialistą ponieważ Rosja sowiecka nie ma ekonomicznych powodów do ekspansji. Później, nie mogąc utrzymać, że ujarzmienie 100 milionów Wschodnich Europejczyków dokonano się „na skutek roztargnienia”, znalazł wytłumaczenie, według którego fakt ten był wyrazem stalinowskiej polityki *self-containment* (*Russia after Stalin*, str. 78-9). Po śmierci Stalina nadal wierzył, że chociaż imperializm przynosi dodatkowe zyski kapitalistom, „coś wręcz odwrotnego dzieje się wewnątrz bloku sowieckiego” (*Partisan Review*, Nr 4. 1956, str. 514). Obecnie zaś Deutscher — znowu w inny sposób — rozwiewa wątpliwości co do szczerości rosyjskiego przywiązania do *status quo*: (19).

Czy można ufać, że rząd sowiecki powstrzyma się od agresji? Czy nie będzie on próbował, w sprzyjających okolicznościach, opanować Niemiec Zachodnich? Czy pęd do podbojów nie jest nieodłączny od komunizmu i mocarstwowej polityki Sowietów? Pytania tego rodzaju, oparte o doświadczenia podbojów imperialistycznych, miały swoje uzasadnienie w wypadku polityki Stalina; dzisiaj jednak, moim zdaniem, nie mają one nic, albo niewiele wspólnego z nową fazą dyplomacji sowieckiej i jej tłem politycznym.

Doradzając Zachodowi zgodę na rozbrojenie bez kontroli, ten sam materialista historyczny, który ciągle prawil kazania o tym, że rozwój ekonomiczny musi przynieść Rosji wolność polityczną, teraz odkrył, że w wielkim konflikcie „ostateczny pojedynek dotyczy spraw ducha” (20).

Po przeprowadzeniu dokładnej analizy wypowiedzi i pism Deutschera, coż pozostaje z jego obiektywizmu i historycznej

(19) *The Great Contest*, str. 51-52. Patrz także *Manchester Guardian*, 5, 7 i 9 kwietnia oraz 29 grudnia, 1954.

(20) *The Great Contest*. Str. 41-42, 62, 78.

bezstronności? Mniej niż niewiele. I to nasuwa przypuszczenie, że jego stale podkreślanie liberalizmu i obiektywizmu, usprawiedliwiane od czasu do czasu do czasu niechętnie wypowiedzianą krytyką i skromnymi zastrzeżeniami, jest niczym innym jak maską, nałożoną ze względu na konieczności „burżuazyjnego” dziennikarstwa i konwencji akademickich. Deutscher nie potrafił w gruncie rzeczy pozbyć się dogmatycznego stylu myślenia, nie jest w stanie zrozumieć wolnej myśli, nie obciążonej żadnym pismem świętym. Ostatecznie, heretyk jest co najwyżej rebeliantem przeciwko jakiejś interpretacji dogmatów, nie zaś przeciwko ortodoksji jako takiej. Jego wizja spraw sowieckich jest w istocie prostoduszna. Mimo różnic w wyrafinowaniu politycznym, nie odbiega tak bardzo od wizji Czerwonego Dziekana, Hewlett Johnstona. Deutscherowskie poczucie rzeczywistości jest, oczywiście, zbyt silne, by pozwoliło mu rzutować tę wizję na teraźniejszość, rzutuje ją więc w przyszłość. Lecz chociaż nie nastąpiło u niego całkowite podstawienie wizji pod rzeczywistość, jego proroctwa często pokrywają się z jego bieżącymi diagnozami.

Deutscherowska analiza wydarzeń sowieckich jest więc zasadniczo kontynuacją tradycji lat dwudziestych i trzydziestych, która sprawiła że tak wielu naiwnych na Zachodzie wierzyło każdemu słowu propagandy stalinowskiej. Nie jest on oczywiście prostaczkiem à la Hewlett Johnston, do tego mu daleko. Jest jednak zdecydowanym symplifikatorem. Jak na badacza za bardzo pozwala swym opiniom wpływać na percepcję faktów, aby móc uniknąć dawania obrazu rzeczywistości który nie jest jej karykaturą. Nie jest to tylko kwestia „normalnego” stopnia stronniczości, która jest tutaj prawdopodobnie nie do uniknięcia, ale nałóg mitologizowania rzeczywistości, który stoi na przeszkodzie trzeźwej analizie spraw sowieckich.

Od czasu rewolucji minęło już czterdzieści pięć lat. Czas najwyższy by móc patrzeć na nią jako na fakt, a nie jako na eliksir życia. Każdej próbie realnego spojrzenia na sprawy sowieckie grożą zawsze dwa niebezpieczeństwa: chiliastycznej wiary i politycznej paranoi. Istnieje pewna symetria pomiędzy skłonnością rewolucyjnego proroka do wybielania rzeczywistości sowieckiej w imię swej prostej wiary, a podejściem antykomunistycznego niezłomnego, który nie potrafi rozpoznać zachodzących w niej zmian, ponieważ patrzy na nią przez okulary „konspiracyjnej teorii historii”. Jeden dostrzega liberalizm i demokrację tam gdzie ich nie ma; drugi często zaprzecza realności konfliktu chińsko-sowieckiego ze względu na swe „demonologiczne” podejście. Deutscher często stara się przedstawić jako *lettres de créance* obiektywnego umiarkowania swoją opozycję zarówno wobec zacieklej stalinistów jak i nieugiętych antykomunistów, ale prawda nie jest kwestią równego oddalenia od błędnych pojęć.

Obiektywizm i realistyczna postawa wobec faktów nie znaj-

dują oparcia w proroczym nastawieniu, a jedynie w trzeźwej analizie krytycznej. Otrzymaliśmy obraz człowieka, który zbyt poważnie uważa siebie za badacza, który obchodzi się niechlujnie z materiałem dowodowym, jest zawsze gotów skrócić argument tak, by dowodziło to jego proroczej wszechwiedzy, nie chce przyznać się do popełnionych pomyłek i jest bardziej przejęty sprawą ocalenia wiary niż odkrycia prawdy. Przyznając mu talent literacki, żywy styl i wyobraźnię historyczną, uważny czytelnik konstatuje jednak, że jako badacz polityczny kompromituje się on bardziej niż często, i można jedynie mieć nadzieję, że przynajmniej na dłuższą metę *niektóre* z jego wypowiedni się sprawdzą (na krótszą metę są one politycznie samobójcze). Jako *homo politicus* jest on niezupełnie szczerzy; jako prorok cieszy się dalej powodzeniem, ponieważ nie przestaje dostarczać balsamów uśmierających niepokój we współczesnym niebezpiecznym świecie, gdzie jego osobista, niezmacona wątpliwościami wizja komunistycznego raju przyszłości, zbiega się z powszechnym pragnieniem pokoju, każącym wielu ludziom patrzeć na sprawy sowieckie przez różowe okulary, co pozwala im nieco załagodzić ich obawy. Zaspakaja on tęsknotę za chiliastycznym mitem i wzmacnia powaby pokoju za wszelką cenę, dostarczając uproszczonej racjonalizacji dla pobożnych życzeń. Tego rodzaju postawy są, jak wiemy, bardzo powszechne. *Mundus vult decipi* — to maksyma wciąż aktualna.

Leopold ŁABĘDŹ

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Meksyk (1)

1.

Laredo — graniczne hałaśliwe miasteczko tak inne od śpiących miasteczek Teksasu czy Arkansas. Motel, w którym mieszkamy, taki jak inne amerykańskie motele: błyszczący, higieniczny, neutralny. Ale już obok inna niemotelowa restauracja, a raczej szoferska karczma. W karczmie meksykańska muzyka, amerykańskie przeboje i znowu hiszpańskie melodie. Kelnerki ciemne z błyszczącymi oczami. Meksykanki mówiące między sobą po hiszpańsku. Ubrane w higieniczne szpitalno-restauracyjne białe mundury. Pod nimi duże meksykańskie piersi i szerokie bardzo nieamerykańskie biodra. Nad mundurami czarne, grube, jakże „niehigieniczne” włosy aż do ramion, wielkie kolczyki i bardzo ruchliwe wargi. Jakże nieruchomo przy tych hiszpańsko-indiańskich twarzach wyglądają wielkie, opalone na różowo twarze szoferów-olbrzymów z Teksasu... I jakie niebieskie są ich spokojne niebieskie oczy...

Między amerykańskim Laredo a meksykańskim Nuevo Laredo jest meksykański urząd celny. Duży, przewiewny, oszklony i brudny. Nie ma tu klimatyzacji, ale pomalowane na zielono szyby otwarte są na przestrzal. W orzeźwiająjącym przeciągu skaczą niedopałki papierosów, kawałki gazet, papieruszki i papiery. Stoi tu wielka czerwona maszyna z coca-colą, taka sama jak w Stanach tylko bardziej obdrapana. No i coca-cola jest tu dwa razy tańsza!

Siedzimy na twardych krzeselkach czekając aż nas zawołają na drugą stronę. Obok nas Amerykanie i Meksykańczycy. Największy kontrast między Meksykankami i Amerykankami. Są tu

dwa rodzaje Amerykanek. Wystrojone, w malutkich kapelusikach z woalkami..., a upał przeszło 40 stopni! I zaniedbane: w rozchełstanych bluzkach i szortach. Kilka z nich przyszło tu nawet boso i ani rusz nie chcą włożyć butów mimo perswazji wyraźnie zawstydzonych mężczyzn. O, w końcu jedna z dziewczyn włożyła pantofle z przydeptanymi piętami i wykrzywiła się niezadowolona.

Dziewczyny meksykańskie na bardzo wysokich obcasach, bardzo wystrojone w lekkich szerokich sukniach. Co za fantastyczne hiszpańsko-indiańskie twarze! Te z twarzami bardziej indiańskimi mają zwykle włosy zaplecione w gruby warkocz. Te bardziej hiszpańskie potrzęsają wodospadami czarnych rozpuszczonych włosów. Bransoletki i kolczyki. Nawet małe, dwuletnie dziewczynki mają już przekłute uszy i małe złote kolczyki. Za to starsze kobiety ubrane ciemno i skromnie, tak bardzo różnie od starszych kobiet amerykańskich, które nigdy nie są „starsze”.

Wołają nas na drugą stronę! Tam, przy trzech biurkach, trzech na pierwszy rzut oka identycznych urzędników. Urzędują wyprostowani na twardych krzeselkach, grzeszni, zapięci na ostatni guzik, poważni, czujni. Nie podobna im sobie wyobrazić pracujących w polu, reperujących dach czy samochód. Czarne wąsiki, gesty, uśmiech — wszystko to jest tak bardzo biurowe i obraziłoby się pewno za jakiegokolwiek niebiurowe potraktowanie.

Meksykańska szosa

Północno-meksykańskie pejzaże nie różnią się oczywiście od pejzaży południowego Teksasu. Jest to ten sam kraj: suchy, gorący, pustynno-stepowy. Na lekkofalistych, zakurzonych polach dziwne, wielkie, wysmukłe kaktusy i od czasu do czasu szczupłe palmy, które podobno wcale palmami nie są mimo, że je wszyscy tak nazywają. Niektóre, najsmuklejsze kaktusy kwitną pomarańczowo, obok nich grube, niskie, rozłożyste kaktusy, owocujące soczyskiem i purpurowo.

Wśród teksasowo-meksykańskich wspólnych pejzaży inna meksykańska szosa o nieporządnym miękkim marginesach dyżących kurzem. Od czasu do czasu zamiast lśniących stacji benzynowych, restauracji i moteli — białe i pastelowe ściany kwadratowych budynków prawie, bez ogłoszeń, bez neonów, bez rozgardiaszu łopoczących barwnych chorągiewek. Są to meksykańskie stacje benzynowe, meksykańskie restauracje i karczmy

przydrożne. Czasami dłuższa ściana, często wyszczerbiona. To mur otaczający patio meksykańskiego motelu. Pierwsze meksykańskie domy nie patrzą na przejezdnych szerokimi oknami, nie chwają się gigantycznymi ofrędzionymi lampami i zielonymi trawnikami podpełzającymi aż pod koła samochodu. Nieśmiało i dumnie odwrócone od szosy intrygują a może czasem obrażają. Czy Amerykanów obraża ta zamurowana inność? Co o niej myślą? Czy podejrzewają ludzi za murami, tak jak podejrzewają sąsiadów, którzy nigdy nie odsłaniają wielkiego okna *living room*'u?

Im dalej zagłębiają się w Meksyk, tym mniej aut naokoło i tym ciekawsze życie szosowych marginesów. Przebiegają przez nie cieleta i krowy, od czasu do czasu stado kolorowych kóz, pilnowanych przez zjadłego czarnego pieska i coraz więcej widać małych włochatych osiołków obławianych drzewem lub... wielkimi wąsatymi Meksykańczykami w ogromnych *sombreros*. Biegają obojętnym równym truchtem. Z daleka ich w ogóle nie widać, rzuca się tylko w oczy wielka postać człowieka w ogromnym kapeluszu. Wydaje się, że po marginesach szos kłusują wielcy wąsaci ludzie. Dopiero z bliska zauważyć można cienie przebierające nogi posłusznego osiołka i wielkie włochate uszy.

Im bardziej oddalamy się od miasta, tym mniej malowanych na biało lub pastelowo domów, tym więcej kwadratowych lepiarek koloru ziemi, bez szyb, o płaskich dachach. Naokoło nich gliniane mury, często wyszczerbione i znacznie niższe niż mury naokoło moteli. Mury biednych ludzi... Niektórzy z nich zbudowali gęste płoty z chróstu. Nie mogą sobie widocznie pozwolić na zupełne odgrócenie się od szosy, mogą jednak na gest. Z domów i domków, które nie chcą o nas nie wiedzieć, wyskakuje duże szczekające psy...

Pierwsi Indianie

Na szosie, tuż za nowoczesnym północnym miastem Monterrey, zobaczyliśmy pierwszych Indian. Indianie to rzadkość tu na północy. Szli mali, ubrani na szaro-biało z szaro-białymi węzełkami. Mężczyzna i kobieta. Zresztą na pierwszy rzut oka myślałam, że to dwie kobiety: jedna w spódnicy, druga w spodniach. Mężczyzna miał długie włosy, opaskę na czole i bardzo obfita szaro-białą koszulę. Kobieta bardzo krótką szeroką szaro-białą spódnicę i szeroką wyrzucaną szaro-białą bluzę. Oboje wydali mi się bardzo mali i młodzi.

Ale Indianie są tu rzadkością; tylko bardzo niewielu zacho-

wało się daleko i wysoko w łysych górach Sierra Madre. Mieszkają podobno rozproszeni, bez wsi, i są dużo bardziej niezależni od południowych Indian. Czasem tylko przychodzą do miasta żeby coś kupić lub sprzedać. Taka wyprawa trwa pewno kilka dni.

Większość tutejszej ludności to „Meksykańczycy”, nie „Indianie”. Potomkowie bardziej południowych Indian, którzy pomagali Cortezowi w walkach z krwiożerczymi Aztekami, a potem oczywiście przemieszali się z Hiszpanami i pomagali im kolonizować północny Meksyk. Od dawna nic nie wiedzą i nie chcą nic wiedzieć o swym plemiennym pochodzeniu. Są to „prawdziwi Meksykańczycy” chociaż zewnętrznie mają często zupełnie indiańskie typy. Jak się odnoszą do Indian? Nie wiem. Gdy powiedziałem jednemu z urzędników celnych, że nie mówię jeszcze dobrze po hiszpańsku, zapytał czy znam *Tzeltal* i *Tzotzil*, języki Indian w Chiapas... Pytanie sprowokowane było pewno moimi papierami, w których napisano, że jestem antropologą współpracującą z meksykańskim Instytutem Antropologicznym „INI”.

Pastelowe domy

Największe wrażenie jak dotąd zrobiła na mnie tutejsza architektura. Takie na przykład miasteczka jak Saltillo lub Parras. W Saltillo wspinające się uliczki ściśnięte są kolorowymi murami domów, ozdobionymi jedynie żelaznymi kratami okien i drzwi. Co za dziwne domy! Wyglądają jak jeden długi mur niezawsze regularny, często bowiem nadszczerbiony, ale zawsze prostolinijnie, sześcinnie zapewniający o swojej prostocie. Jeden dom od drugiego można odróżnić tylko po kolorach murów. Ciemno-pastelowe kolory. Domy jakby narysowane na murach. Oto dom niebiesko-seledynowy: duża niebieska płaszczyzna otoczona seledynową obwódką — przekreślona wąskimi liniami okiennych krat. Czasami jeszcze trzeci kolor. Na przykład żółty. Żółte drzwi z czarnym żelazem jakże podobne do okien sięgających też do samego trotuaru. Drzwi te otwierają się czasami i dopiero wtedy widać co jest poza murem. Zwykle widzi się najpierw wąski ciemny korytarzyk, a za nim dopiero jakby oazę zieloności: palmy, paprocie, pnące rośliny, stłoczone, oaltaniające kwadratowe *patio*. Na *patio* kolorowe krzesła i fotele, stoliki kolorowe i gięte, jakieś wazy i wazoniki, ukryte wzbierające życie, jakże inne od prostego, naprawdę zamykającego muru kolorowych ścian.

A obok na tym samym murze namalowany pomarańczowo-różowy dom, opasany ciemno-brązową linią. Czasami kolory bledną, czasami przyprószone są kurzem, ale nawet świeżo pomalowane domy są rzadko jaskrawe. Te pierwsze domy w Meksyku są ciemno-pastelowe: liliowo-niebieski dom z szeroką obwódką zielono-niebieską... żółto-różowy z jasno-szarą... Kto ich nauczył tak malować? Czy są to indiańskie czy hiszpańskie tradycje, czy może wpływ współczesnych malarzy, choć to wydaje się dość nieprawdopodobne, bo nawet najbiedniejsze, najwęższe uliczki — wszystko wszędzie jest tak pomalowane!

Na pierwszy rzut oka odróżnia się w Parras trzy klasy społeczne. Myślę o nich po polsku, przedwojennie i pewno mylnie, ale chwilowo niech to wystarczy. „Więjscy ludzie”. „Mieszczactwo”. „Inteligencja”. Nie ma tu Indian. Znaczy to, że nikt tu nie mówi „po indiańsku”, nikt nie ubiera się po indiańsku, nikt nie żyje po indiańsku i nikt nie czuje się Indianinem. Mimo to, z wyjątkiem małej grupy „rasowych” Hiszpanów (których garstkę można znaleźć wśród tutejszej „inteligencji”, a może raczej wśród tutejszej „szlachty”), prawie wszyscy wyglądają tu po indiańsku. Im niższa klasa społeczna tym wyraźniejszy typ indiański. Ale na te „rasowe” cechy nikt tu nie zwraca uwagi i spostrzega je pewno tylko cudzoziemiec, zwłaszcza cudzoziemiec, który spędził wiele lat w Ameryce, tak patologicznie wrażliwej na najmniejsze odcienie „murzyńskości” i tak egalitarnej jeśli chodzi o strój, formy towarzyskie, styl życia.

Tutaj chyba wprost przeciwnie: zupełny brak „świadomości rasowej” (co za ulga po USA!) i ostra świadomość klasowa (co za przykre przypomnienie polskiej świadomości klasowej i jednocześnie jakieś poczucie winy, że przecież w Polsce nie raziło to nas tak bardzo...).

Podróżnik nie znający dobrze języka przede wszystkim patrzy. I czasami patrząc — widzi. Socjologowie mówią o wskaźnikach klas społecznych. Strój i uczesanie są tutaj takimi najłatwiej dostrzegalnymi wskaźnikami. Na przykład młodzieńca służącego z naszego pensjonatu — Fina. Ciemna, gładko uczesana z długim grubym warkoczem, w szarej kraciatej sukience i w szarym fartuchu biega boso od stolika do stolika, z kuchni do jadalni, z jadalni do kuchni. Praca w eleganckim pensjonacie, należącym do rodziny jednego z byłych prezydentów Meksyku, kontakt z meksykańską inteligencją i z cudzoziemcami musiały jakoś wpłynąć na jej świat wewnętrzny. Zewnętrznie jednak Fina

jest nietkniętą przez ten świat „wiejską dziewczyną” i tak bardzo „wiejskich” dziewczyn nie widziałem nigdy wśród polskich służących.

Mexico

Wracałam dzisiaj do domu tutejszymi Champs Elysées: Paseo de la Reforma. Na ulicy słyszy się najróżniejsze języki, nawet rosyjski. Wszędzie na każdym kroku księgarnie i kawiarnie, tak jak paryskie szeroko otwarte i „rozłazące się” po ulicach. Powietrze pachnie ozonem. Stałe, przez cały prawie rok, jest wiosennie i kostiumowo. Mexico... *Tenochtitlan*. Jest to nazwa z czasów azteckich. Miasto zostało zbudowane na wyspach jeziora Texcoco w 1325 roku przez Azteków, Indian, którzy przywdrowali tu z północy i podbili wszystkie indiańskie szczepy nokoło. *Tenochtitlan* był dziwnym miastem, zupełnie białym, jakby pływającym na małych wysepkach i otoczonym wielkimi ośnieżonymi wulkanami. Później, za czasów kolonialnych wydrenowano wodę, tak, że wysepek już nie ma i jedyną pozostałością jest świadomość, że woda jednak gdzieś głęboko jest, i że z roku na rok coraz bardziej podmywa miasto. Niektóre, nawet zupełnie nowe, domy są tak pochylone jak wieża w Pizie, ludzie dużo o tym mówią, a gdy się czyta historię Meksyku ma się wrażenie, że może jest to jednak „przeklęte miasto”, które się kiedyś zapadnie pod ziemię.

Nie ma już jezior po których pływały wysepki azteckiego *Tenochtitlan* ale oczywiście zostały wulkany o fantastycznych nazwach *Citlaltepētł*, *Iztaccihauhtl*, *Popocatepētł*. Te wulkany niezawsze można dojrzeć, od czasu do czasu tylko widać poprzez mgłę te nieprawdopodobnie wysokie szpiczaste, jakby lodowe, góry w ostrym słońcu. Zupełnie nie chce się wierzyć, że są prawdziwe... Widzieliśmy aż dwa z tych trzech wielkich wulkanów, wracając z jarmarku w Toluca krętą szosą wśród sosnowych i jodłowych lasów. Czasami wydaje się, że to wulkan a po chwili okazuje się że to biała chmura. Czasami wydaje się, że się widzi chmury, ale po chwili chmury jakoś twardnieją, zaostrzają się i wiadomo, że to wulkan.

Jeszcze trochę o *Tenochtitlan*. Gdy Cortez przyплыł do Meksyku, witany był bardzo serdecznie, jak rodzaj boga, w stolicy Azteków *Tenochtitlan*. Niedługo to jednak trwało, bo towarzysze Corteza zaczęli rabować i w ogóle zachowywać się tak jak się zwykle zachowują zwycięzcy żołnierze i Aztecy się zbudowali. Po trzymiesięcznej walce miasto zostało zniszczone tak, jak

Warszawa i na ruinach *Tenochtitlan* Hiszpanie zbudowali nowe miasto, Mexico. Na ruinach wielkiej świątyni azteckiej stoi piękna katedra z żółtawego kamienia. Stare miasto, Zocalo, całe na ruinach *Tenochtitlan*. Piękne kościoły i pałace. Ale w tej architekturze kolonialnej widać azteckie motywy, kościoły były bowiem budowane przynajmniej częściowo przez Indian... Oto anioł z azteckimi skrzydłami, a tu święty z twarzą Azteka...

Trzy rzeczywistości

Ale to nie wszystko. Prócz tej przeszłości przegryzającej się przez kolonialną architekturę kościołów i pałaców jest jeszcze inna „nowa przeszłość” też aztecka wprowadzona do życia meksykańskiego przez Rewolucję 1910 roku. W ogóle widzi się tu na każdym kroku zazębiające się trzy rzeczywistości. Rzeczywistość pierwsza to rzeczywistość aztecka ta autentyczna, przegryzająca się przez architekturę kolonialną i ta nowa, wprowadzona przez Rewolucję. Rewolucja musiała zmobilizować jakieś symbole jedności narodowej co nie było łatwe w kraju składających się z tylu różnorodnych grup i z tylu szczepów indiańskich, mówiących tyloma językami. Jako symbol tej jedności rewolucjoniści wybrali najpotężniejszy i najbardziej cywilizowany (ale i najokrutniejszy, o czym się dzisiaj nie mówi) naród Azteków. Symbole Azteków są tu więc na każdym kroku, wszędzie widzi się orły rozszarpujące serca: na dywanach, na płaskorzeźbach, na wielkich malowidłach rewolucyjnych malarzy, na rzeźbach w parkach, na fontannach. A obok orłów dziwne syczące węże z kamienia, szakale w kolorowych maskach i ludzie-zwierzęta z paszczami skierowanymi w niebo, w kamiennych maskach z dziwnych zielonych kamieni... No i dużo ulic, placów, parków ma nazwy „indiańskie”, tak jak na przykład nasza ulica Chihuahua. Nie wiem co to znaczy i w jakim języku. Język Azteków nazywał się *Nahuatl*. Większość tych nazw jest chyba w tym języku, bo był to w okresie kolonizacji język najpotężniejszych Indian. Jest sporo ciekawej poezji tłumaczonej z *Nahuatl* na hiszpański. Oto kawałek wiersza króla Texcoco, Netzahualcoyotl (Głodny Szakal) — żył on bardzo krótko: 1431-1470.

*Cała ziemia jest wielkim grobem — nieuniknionym.
Nawet to co najdoskonalsze kończy się tam.
Rzeki, strumienie, źródła... Płynie, płynie woda,
ale nie wraca, nigdy nie wraca do swych radosnych źródeł.*

.....

*Pęcznieje wewnątrz ziemi od prochów, od ludzkich prochów,
potężni królowie, ci którzy kiedyś siedzieli na tronach świata,
decydowali o jego losach, przywódcy wielkich armii, zdobywcy,
skarby podbite, świątynie zniszczone,
pycha, majestat, potęga...
Znikacie tak jak zniką przerażający dym
z piekielnych czeluści wulkanu Popocatepetl...
Jedynie co po was zostaje to strona zapisanego papieru...*

Rzeczywistość tego wiersza, rzeczywistość aztecka i „nowo-aztecka”, wprowadzona przez Rewolucję, przeplata się z drugą rzeczywistością, już nie legendarną lecz utopijną, rzeczywistością Rewolucji przez duże „R”, o której dalszym realizowaniu bardzo dużo się tu mówi i pisze. Rewolucja ta ma coś i z rewolucji francuskiej i z teoretycznej (z pism Marksa i Engelsa) rewolucji „idealnej”. Mówię oczywiście o tym, jak ona wygląda w książkach, w rzeźbach, w malarstwie. Marks i Lenin są tu wielkimi postaciami i mają wielkie, wielkie głowy na przeogromnych malowidłach wielkich malarzy epoki rewolucyjnej: Diego Rivery, Orozco, Siqueiros. Artykuły, obrazy, książki, rzeźby rewolucyjne to właśnie ta druga rzeczywistość — nowa utopijna mitologia — klej narodowej jedności. Lenin, Trocki, Marks z kolorowych mozaik jak bogowie azteccy. Sierp i młot obok orłów rozszarpujących serca, syczących węzów, szakali śpiewających w chmury. Ale symbole te jakoś nie wychodzą. Są zbyt współczesne. Bardzo trudno uwierzyć w boskość starszego pana z wąsami, w wysokim kołnierzyku i w okularach, nawet gdy stoi ona na tle dymiących wulkanów... Okulary, sierp, młot, próbówka, kątomierz czy mikroskop są jednak zbyt współczesne jako mitologia dla nas, współczesnych. I trudno się nie uśmiechać przyglądając się tej drugiej rzeczywistości, która jest tu wszędzie naokoło, w Ciudad Universitaria, na Paseo de la Reforma, na Plaza de la Revolution. Bo ulice nazywają się nie tylko aztecko, nazywają się również rewolucyjnie i w meksykańskich parkach prócz rzeźb nowo-azteckich są również i rzeźby rewolucyjne, niektóre piękniejsze bo bardziej abstrakcyjne, prostsze, mniej ideologiczne od wielkich ściennych malowideł. Robotnik młody i silny i kobieta (oczywiście „prostsza kobieta”, ale ważniejsze są linie jej ciała niż pochodzenie społeczne) a dalej rybak z kamienną siecią przyglądający się nagiej kobiecie (pewnie „Wolności” czy „Równości”), ale przecież w sztuce nie o to chodzi, a rzeźby te są na ogół bardzo dobre i mówią same za siebie).

I wreszcie trzecia rzeczywistość tego miasta. Rzeczywistość wczesnej kolonialnej i późniejszej XVIII-wiecznej i XIX-wiecznej architektury — rzeczywistość hiszpańsko-francuska, bo architektura XVIII-go i XIX-go wieku jest tu bardziej francuska niż hiszpańska. Na każdym kroku piękne kościoły z żółtawo-różowego kamienia i omszone żółto różowe pałace. Wszystko to obrzeźbione aż do przesady, barokowate, jakieś bardzo wyraźnie europejskie i sztuczne na tle wiecznie zielonych drzew, kwiatów bajecznie kolorowych i tłumów ciemnych ludzi, dla których czy „o których” Rewolucja pisała, malowała, rzeźbiła (ale i dla których Rewolucja zdobyła ziemię i prawa). Ciemni ludzie-Indianie i nie-Indianie. Tylko strój odróżnia Indian od nie-Indian — oczy i twarze takie same. Ciemni ludzie na klęczkach koło żółto-różowych kościołów. Kwiaty. Załamane oczy. Pielgrzymi idące kilometrami na klęczkach do Bazyliki Cudownej Virgen de Guadalupe, a w kościołach złociste wnętrza, gorące płomienie świeczek przed świętymi otoczonymi aniołami, zapach potu i kadzideł...

Ale o ludziach potem. O różnych kategoriach ludzi. Teraz, żeby wyjaśnić coś do czego się już przyzwyczaiłam, ale co na początku wydaje się wprost fantastyczne. Rewolucja meksykańska skończyła się, jak wiadomo, nowym ustrojem. Konstytucja meksykańska jest prawie identyczna z konstytucją Stanów Zjednoczonych. Ale tylko to, Meksyk ma oficjalnie partię prorządową, która nazywa się *PRI-Partido Revolucionario Institucional*. Jest ona czymś zupełnie innym od meksykańskiej partii komunistycznej i konflikty są częste. Zeszłego roku, wkrótce po zaarrestowaniu wielkiego malarza rewolucyjnego Siqueiros, sekretarza meksykańskiej partii komunistycznej, kongres PRI odbywał się tu z wieloma wykrzyknikami antykomunistycznymi. Zasadniczo PRI reprezentuje poglądy bieżącego prezydenta. Może więc być liberalne, lewicowe czy konserwatywne. Jest wyrazem osobowości prezydenta raczej niż wyrazem ideologii.

◆

Ale Amerykaninem niełatwo być w Meksyku. Mimo ogólnego podziwu dla amerykańskich aut i *gadgets*: lodówek czy korbociągów, Meksykańczycy są bardzo anty-amerykańscy i podobno równie anty-amerykańska jest Ameryka Południowa. Jeden z tutejszych socjologów opowiedział mi o swojej podróży do Argentyny kilka lat temu. Było to zresztą jeszcze za czasów Perona, nie wiem więc czy obecni Argentyńczycy reagowaliby podobnie. Ale S. opowiedział mi tę historię jako ilustrację środkowo i południowo-amerykańskich nastrojów w ogóle.

Kilka lat temu był on zaproszony przez uniwersytet w Buenos Aires na uroczystość wręczenia mu jakiegoś odznaczenia naukowego. Akademia zaczęła się bardzo uroczyście i Argentyńczycy zaczęli przemawiać. Po chwili jednak S. ze zdumieniem zauważył, że przemówienia te nie mają nic wspólnego z nim samym. Wszystkie przemówienia były... przeciwko Stanom Zjednoczonym. Rytuał przemówień anty-amerykańskich z okazji przyjazdu profesora meksykańskiego. Solidarność Ameryki Południowej w obliczu ekspansji Ameryki Północnej. Po skończeniu przemówień przyszła kolej na odpowiedź. S. uważał, że musi się jakoś „dostosować do atmosfery” nie miał jednak ochoty na tak ostre przemówienie anty-amerykańskie. Zdecydował się więc opowiedzieć krótko historię wojny między Stanami Zjednoczonymi, a Meksykiem, w której Meksyk stracił część Kalifornii, Nowy Meksyk i Arizone. To wystarczyło. Dostał fantastyczne brawa.

Słuchając tego opowiadania przypominałam sobie orwellowskie „rytuały nienawiści”... Nie wiedziałam, że jest to rozposzechnione i tutaj! Zresztą te „rytuały nienawiści” w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych nie mają nic wspólnego ze stosunkiem Meksyku do Rosji i do komunizmu w ogóle. Meksyk jest krajem neutralnym a może lepiej powiedzieć krajem, który nie chce ani kapitalizmu w stylu amerykańskim ani komunizmu w stylu rosyjskim. Chce czegoś „pomiędzy”. Konstytucja prawie identyczna z konstytucją amerykańską, ale reforma rolna, upaństwowienie pewnych gałęzi przemysłu, system ubezpieczeń społecznych, są bardzo inne. Ale za mało jeszcze o tym wiem w tej chwili. Ciekawe jest to, że jednak słyszy się dużo więcej wypowiedzi anty-amerykańskich niż anty-rosyjskich. Dla tego pewno że Rosja jest daleko, a Ameryka blisko...

Spotkaliśmy tu w naszym pensjonacie Amerykanów z Teksasu, męża i żonę. Oboje mniej więcej około trzydziestki. Oboje nieukończeni studenci. Bill prawie skończył geologię. Betty przerwała studia dziennikarskie. Potem przez dwa lata pracowali i oszczędzali na podróż po Ameryce Południowej. Spotkaliśmy ich właśnie na początku tej podróży, która miała trwać co najmniej osiem miesięcy. Przyjechali tu ogromną, nowiutką niebieską ciężarówką naładowaną konserwami i Bóg wie czym. Na dachu ciężarówką zainstalowali sobie wielkie, drewniane małżeńskie łóżce. Nad łóżem — namiot. Powiedzieli nam, że chcą być „niezależni”, no i chcą jak najwięcej zwiedzić za pieniądze, które oszczędzili. Będą więc jeść i spać w aucie, a raczej na aucie...

Najciekawsze jest to, że Bill zdecydował się rzucić geologię a przynajmniej jakoś ją przewyciężyć i przestawić się na pracę „dla ludzkości”, a specjalnie dla Ameryki Łacińskiej. Stąd pomysł tej podróży „żeby poznać życie Ameryki Południowej” i jednocześnie typowo amerykańska „niezależność” i odizolowanie się od tego życia. Naprawdę nie wiem jak poznają tamtejsze życie jedząc stale z amerykańskich puszek, śpiąc na dachu auta zaparkowanego w lesie, nie znając języka...

Oboje byli bardzo przygnębieni antyamerykańskim nastawieniem spotykanych tu na każdym kroku, ale jakoś z tym pogodzeni. „Jest to zasłużona kara za naszą politykę” — powiedział Bill. Marzeniem Billa jest dostanie się do *Foreign Service* i praca dla Ameryki Łacińskiej i bardzo liczy na régime Kennedy'iego. Bardzo mi ich było żal. Oboje tacy brzydki, niezgrabni, z czerwonymi twarzami, niebardzo inteligentni, pełni dobrych chęci, tak bardzo pragnący żeby ich wszędzie lubiano i tak bezsilni wobec antyamerykańskości Meksykanów. Oboje starają się nauczyć po hiszpańsku, ale nie wiem czy i to wiele pomoże. Betty na dachu ciężarówki w czarnych spodniach (a kobiety nie noszą tu nigdzie spodni) i w wielkiej białej bluzie z napisem „Texas” (a przecież Texas należał do Meksyku i Meksykanicy o tym dobrze pamiętają)...

Diego Rivera na ścianach Secretaria de Educacion

Ministerstwo Oświaty jest w starym rzeźbionym pałacu w najstarszej dzielnicy miasta, niedaleko placu Zocalo, gdzie na ruinach świątyni azteckich pierwsi Hiszpanie zbudowali wspaniałą katedrę z żółtawego kamienia. Pałac Ministerstwa Oświaty jest z podobnego kamienia — żółto-beżowy z krzyżkami wspinającymi się wysoko naokoło dwóch spokojnych *patios*. Na tym żółto-beżowym spokojnym tle wzdłuż otwartych na *patio* korytarzy wielkie, kolorowe, na szczęście trochę już przybladłe malowidła Diego Rivery. Chciałoby się powiedzieć „bohomyzy”, bo ten świetny malarz prócz świetnych obrazów potrafi również malować bohomyzy i tych bohomazów jest pełno w Meksyku. Towarzyszą im inne bohomyzy równie ideologicznych ale mniej utalentowanych naśladowców Rivery.

Malowidła na ścianach Ministerstwa Oświaty to głównie sceny z Rewolucji meksykańskiej. Biali, grubi wystrojeni ziemianie i mniej grubi, mniej biali, mniej wystrojeni meksykańscy „włodarze” okładają grubymi ciemnymi batami ciemne ciała Indian uginających się pod ciężarem wielkich snopów trzciny

cukrowej. Biali, jeszcze grubszy, wąsaci, wystrojeni mężczyźni i półnagie tłuste kobiety (prawie wszystkie bardzo jasne blondynki) naokoło suto zastawionego stołu. Owoce, mięsa, zastraszona, niezupełnie ciemna ale ciemnową i bezwąsa służba, kobiety pokazują tłuste kolana, uśmiechają się lubieżnie do grubasów wlewających im do ust wino z szerokich kielichów. Są to wszystko okropne karykatury malowane okropnymi jaskrawymi kolorami. W głębi tej rozbawionej i i rozkarykaturzonej jadalni, za plecami zastraszonych lokajów tańczy balet bladych kościotrupów-śmierci grających na skrzypcach, uśmiechniętych sadystycznie i triumfalnie. Oto dwa typy przed-rewolucyjnych scen. Na spokojnych ścianach *Secretaria de Educacion* Diego Rivera namalował sporo wersji tych dwóch zasadniczych scen.

Ale te tasiemce kapitalistycznej dekadencji są znacznie krótsze od tasiemców pierwszych dni Rewolucji, które rozłazą się po kilku piętrach. Rewolucyjne tasiemce są lepiej narysowane i lepiej namalowane niż przed-rewolucyjne. Ale styl jest podobny: jednoznaczny i plakatuowy. Trzy typowe motywy rewolucyjne. Ogromni atletyczni żołnierze z ogromnymi karabinami w bardzo sowiecko wyglądających czapkach z pięcio-ramienną gwiazdą lub z sierpem i młotem rozpędzają przerażonych gnębieli i biorą w obronę uśmiechniętych, ciemnych, wychudzonych i zakrwawionych robotników. Świeci radosne, jednoznaczne słońce, i kielkuje wesoło z wyzwolonej ziemi zielono-żółta kukurydza. Drugi motyw to stół. Stół postawiony na ciemnej ziemi wśród kielkującej kukurydzy a za stołem kilku poważnych intelektualnie wyglądających działaczy pochylonych nad papierami. Nad stołem napis „Tierra y Libertad”, za działaczami atletyczni żołnierze z karabinami, przed stołem ogonki białe ubranych ciemnych Indian, trochę jeszcze zastraszonych ale już oczekująco uśmiechniętych. Typy fizyczne działaczy, żołnierzy, Indian zadziwiająco odrębne. Tak jakby nie mieli ze sobą nic wspólnego... prócz idei... I trzeci motyw. Przed drzwiami lepianki, pod strzechą z palmowych liści ciemni ale już nie zastraszeni ludzie: matka, ojciec i kilkoro (nie kilkanaścioro jak to bywa w Meksyku) dzieci rozmawiających z roslą poważną dziewczyną w czerwonej bluzie z drobnym wąsikowatym urzędnikiem. Naokoło nich radosna kukurydza. Dziewczyna w czerwonej bluzie ma duże piersi i gładko zaczesane krótkie włosy. Ubrana jest po miejsku, ale suknia jej wygląda bardzo mundurowo a bezkolczykowe uszy są purytańsko nagie i na tle meksykańskiej kolczykowatości bardzo obce.

Tych malowideł są aż trzy piętra naokoło dwóch kwadratowych *patios*. Czyli razem sześć pięter. Za malowidłami prozajiczne drzwi najróżniejszych departamentów Ministerstwa i pro-

zajiczne, bezbarwne urzędy bez kwiatów, no i oczywiście bez kukurydzy i bez czerwonych sztandarów, których się trochę tutaj spodziewa polski turysta oszołomiony malowidłami Diego Rivery.

W urzędach urzędnicy jak przesiedleni bogowie azteccy, ciemni o orlich nosach, lśniących oczach, bardzo elegancy, bardzo ważni, wyprostowani na twardych zwykłych krzesłach, zaczerpnięci nerwowo, otoczeni rojem biegających tam i z powrotem pod-urzędników. Nad biurkami fotografia nad-boga, pięknego, ciemnego, skupionego prezydenta Meksyku, Adolfa Lopez Mateos. Wygląda on trochę na śpiewaka operowego, trochę na mesjanistycznego filozofa, trochę na azteckiego cesarza-boga.



Pensjonat w którym mieszkamy nie jest właściwie pensjonatem. Jest to duży, typowo meksykański dom, odwrócony od ulicy, z niewielkim *patio* w środku. Z trzech stron są ściany domu, z czwartej mur, w środku rośliny, rośliny, rośliny, kilka żelaznych balkoników, schodki i... żółty kot w pudełku przywiązany sznurkiem do jednego z balkoników.

Dom stoi na rogu ulic Chihuahua i Orizaba, w jednej z najstarszych dzielnic Mexico, Colonia Roma, mniej więcej w centrum miasta, między elegancką Colonia Juarez, wzdłuż długiej i szerokiej Avenina de Insurgentes. Należy on do malarzki Angelity, córki byłego ziemianina. Angelita ma całą masę siostr i braci, sama nie wyszła jednak nigdy za mąż, ale „za to” studiowała malarstwo „w szkole impresjonistycznej w Paryżu”... Niewiele to pomogło, bo obrazy jej to albo słodkie miniatury robione z fotografii, albo blade, banalne akwarelki. No, ale pomogło to widać Angelicie do założenia prywatnej, ale dość tu znanej, szkoły malarskiej, która mieści się tutaj w jednym ze skrzydeł domu. Codziennie przychodzą słodkie, dobrze wychowane panienki i od czasu do czasu jakiś mężczyzna malować w studio Angelity słodkie herbaciane róże, lub wiejskie ciemne dziewczyny w kwiciastych sukniach, modele sprowadzane pewno przez służące Angelicy z targu przy przy ulicy Chihuahua. Angelita żyje z tej szkoły, z prywatnej sprzedaży obrazów i dorabia trochę wynajmowaniem czterech pokojów. Pokoje te są dość fantastyczne, z wielkimi meblami „wysiedlonymi” pewno ze skonfiskowanego dworu, z lustrami a raczej lustrzyskami aż do sufitu, z portretami rodzinnymi, z oprawionymi świadectwami minionej sławy, jest nawet w jadalni portret cesarza Maksymiliana. Ramy obrazów ozdobne i złote, wielkie

pluszowe kotary, jak skóry zakurzonych słoni, fotele z połamanymi poręczami etc.

Ale Angelita nie interesuje się zupełnie tą barokową częścią domu, która jest pensjonatem. Pogrążona jest całkowicie w malarstwie a dom prowadzi Juana, służąca, bardzo energiczna mała kobiecinka z bardzo indiańską twarzą i sylwetką. Prócz Juany jest tu także kucharka Sofia. Codziennie prawie na obiad przychodzą goście: przyjaciółki Angelity, rodzina, przyjaciele rodziny, koleżanki malarki, w ogóle trochę tak jak w polskim dworze i rozmowa równie ożywiona i świetne jedzenie.

Byli ziemianie

Angelita niewiele mówi o Rewolucji i w ogóle o przeszłości. Ale przeszłość ta wylała tu z każdego wielkiego ciężkiego mebla „wysiedlonego” z *haciendy* rodziców Angelity. Zresztą jak się okazuje rodzinie Angelity zostawiono „resztówkę”: kawałek ziemi i zniszczony przez Rewolucję dwór, w którym niebardzo można mieszkać.

Parę razy w związku z jakąś rozmową na tematy reformy rolnej, Angelita powiedziała, że reforma w niczym Meksykowi nie pomogła... Bo ci co dostali ziemię nie wiedzą jak ją uprawiać, a za czasów jej ojca robotnikom rolnym było dużo lepiej niż dzisiaj, bo ojciec był dla nich dobry, pomagał im jak mógł itd. Od Rewolucji minęło już 50 lat ileż więc lat miała Angelita podczas Rewolucji? Dziesięć, może dwanaście? Zresztą kto wie... Rewolucja meksykańska nie zdarzyła się z dnia na dzień. Trwała przez lata i mówiąc o jej okropnościach, Angelita mówi być może o latach dwudziestych, nie o latach 1910-ych... Niewiele zresztą o nich mówi. Wiem tylko, że po Rewolucji (czy też podczas) rodzina Angelity mieszkała w mieście Puebla, że żołnierze rewolucyjni wtargnęli do dworu w czapkach z przypiętymi obrazkami Matki Boskiej z Guadalupe i z okrzykami: „Niech żyje Matka Boska z Guadalupe!” i... „Precz z klerem!”... Że potem, po pewnych wahaniach, ojciec Angelity przyjął stanowisko sekretarza w rządzie rewolucyjnym, bo przekonano go, że „jest to jednak jego obowiązkiem” i że jest „niezastąpiony”... A później wsadzono go na kilka miesięcy do więzienia, zwolniono przez znajomości, ale musiał się ukrywać u kuzyna biskupa... Takie fragmenty wydarzeń.

Panie i paniusie, które przychodzą tu do Angelity na lekcje malarstwa to wszystko mniej więcej pierwsza generacja pracującej inteligencji, ex-ziemianki z wszystkimi wadami i zaletami

jakie można zaobserwować u polskich ex-ziemianek. Panie te interesują się kulturą przez duże „K”, chodzą do teatru, na koncerty, niewiele jednak czytają. Interesują się malarstwem, są subtelne, dobrze wychowane, dobrze ubrane i tolerancyjne. Jedna rzecz jest uderzająca: pracują one przeważnie w sklepach, nie w biurach. Nie ma w tym nic degradującego. Ekspedientki i ekspedienci sklepowi należą tu do inteligencji. A może pojęcie „inteligencji” jest tu trochę inne niż w Polsce?

O polityce prawie nigdy się tu nie mówi, czasami tylko słyszy się od którejś z pań, że jednak Porfirio Diaz (długoletni dyktator, którego obaliła Rewolucja) nie był takim, jakim go przedstawia porewolucyjna historia, że przecież za jego czasów był pokój i dobrobyt i że Benito Juarez prezydent-Indianin, autor pierwszej demokratycznej konstytucji z 1857 roku, nie powinien być uważany za bohatera narodowego bo więcej zaszkodził swymi reformami niż pomógł... Wielką ambicją każdej z tych ex-ziemianek jest podróż do Europy. Francja, Włochy, Hiszpania. Specjalnie jednak Francja jest przez nie idealizowana. Francja kultury i Francja historii. Bo podobnie jak Polacy Meksykańczycy nie bardzo lubią współczesnych, „żywych” Francuzów. Do Ameryki te panie odnoszą się bardzo przychylnie i naszej Angelicie podoba się nawet Eisenhower. Nie widzą żadnego niebezpieczeństwa w napływie kapitału amerykańskiego (o czym tak wiele mówią meksykańscy intelektualiści) wprost przeciwnie, uważają, że jest to dla Meksyku bardzo cenne i zdaniem ich intelektualiści, którzy myślą inaczej powinni czym prędzej wynieść się raz na zawsze do Rosji...

Intelektualiści

Socjolog S. nie jest na pewno ani komunistą ani nawet marksistą jakiegolwiek typu. Należy on do oficjalnej partii rządowej PRI, ale w swoich felietonach drukowanych raz na tydzień w codziennej prasie bardzo ostro krytykuje meksykańskie partie polityczne z PRI włącznie. Meksyk nie ma jego zdaniem prawdziwych partii politycznych. Kraj nie dojrzał jeszcze do nich. Meksyk jest krajem „patriarchalizmu politycznego” i lepiej sobie z tego zdawać sprawę. Głównym zadaniem intelektualisty — zdaniem S. — jest mówić prawdę, nawet o ile podważa ona ideologię.

Ale socjologa S. dobrze wychowane panie wysłałyby też pewno do Rosji, mówi on bowiem o „kolonializmie” amerykańskim w Meksyku. Gdy go zapytałam co ma przez to na myśli

i czy ten termin jest jednak właściwy, odpowiedział, że aż 80% przemysłu meksykańskiego jest w rękach amerykańskich. Kontrola ekonomiczna tego typu nazywała się zawsze „kolonializmem”. Na tym właśnie polega kolonializm... Gdyby te same 80% przemysłu było w rękach Szwajcarów, Francuzów, Amerykanów i, powiedzmy, Niemców wówczas nie byłoby to kolonializmem i nie byłoby tak niebezpieczne dla Meksyku, jak obecna kontrola ekonomiczna amerykańska. Ale do Rosji odnosi się on równie sceptycznie, chociaż wie o niej znacznie mniej niż o Ameryce. Jest to dużo bardziej abstrakcyjna niechęć niż niechęć do Ameryki.

Od antropologa F. już po pierwszych 15-tu minutach znajomości usłyszeliśmy o „kolonializmie” amerykańskim i o tym, że Meksyk wolałby znacznie „infiltrację” rosyjską od „infiltracji” amerykańskiej. Żona przyznała mu rację dodając, że nigdy, nigdy nie kupuje niczego w amerykańskim sklepie Sears and Roback nawet wówczas gdy rzeczy tam sprzedawane są znacznie tańsze. F. znają i lubią pojedynczych Amerykanów, ale nie znoszą grup złożonych z Amerykanów (sformułowanie identyczne z moim!) no i nie znoszą Ameryki jako społeczeństwa. Zresztą o Rosji F. wiedzą mniej więcej tyle, ile wie przeciętny Polak o Ameryce. I podobnie ją idealizują. Idealizacja ta jest funkcją odległości. Powiedziałam im o tym, ale niebardzo mogliśmy się dogadać. Stosunek ich do mnie, jako do Polki, jest bardzo pozytywny. Polska jest krajem „heroicznym” mówią, nie wahając się ani na chwilę przed używaniem patetycznych słów i bardzo po hiszpańsku podziwiając bohaterstwo niezależnie od jego konsekwencji. I Polska jest krajem, który „walczy i cierpi”, a walka i cierpienie też są podziwiane przez Meksykańczyków niezależnie od rezultatów tej walki i cierpienia. *Lucha* (walka) — to słowo powtarza się stale w meksykańskiej prasie. Meksykańscy walczą o wszystko (mam tu na myśli w tej chwili głównie werbalną, gazetową walkę). Amerykanie w ogóle nie walczą (tak by się wydawało przynajmniej z lektury prasy amerykańskiej), ale za to stale „rozwiązują problemy”. „Walka”, „odpowiedzialność”, „postęp”, „humanizm” — to najczęściej chyba powtarzające się slogany prasy meksykańskiej. „Nauka”, „naukowe badania”, „psychologia”, „rozwiązywanie problemów”, „obrona” — to slogany prasy amerykańskiej.

Szoferzy

Są tu trzy typy taksówek: radiowe, zwykłe i jedno-pesówki. Jedno-pesówką jeździ się trochę tak jak się jeździło w powojen-

nej Warszawie: „na łebka”. „Łebków” naładowuje się do taksówki oczywiście ile się da. Sześć osób w taksówce to normal! Czasami więcej. Można w ten sposób przejechać za jednego pesa przez całe długie miasto. We wszystkich typach taksówek Meksykańscy (ale nie Meksykanki) siadają obok szofera. Szoferzy są jednak równie gadatliwi gdy się siada z tyłu. Od prawie wszystkich szoferów dowiedziałam się, że Polska jest krajem bohater- skim i że Benito Juarez był największym bohaterem meksykań- skim. Kiedyś gdy jechałam do PRI (*Partido Revolucionario Institucional*) szofer zapytał mnie czy wiem czym jest ta partia pro- rządowa w Meksyku. *Esto es un partido sin verguenza! Un partido de rateros!* (to partia bezwstydników! Partia złodziei!) za- wołał zatrzymując się przed drzwiami PRI... Jednocześnie gdy go zapytałam o prezydenta Lopez Mateos, wyraził się o nim z jak największym uznaniem...

Prawie każdy szofer meksykański ma w taksówce mały ołta- rzyk z patronką Meksyku, Matką Boską z Guadalupy. Czasami nawet dwie Matki Boskie. Przed ołtarzykiem kwiaty. Czasami sztuczne. Częściej prawdziwe. Ale to nie wszystko. Niektóre tak- sówki są zupełnie obwieszane różnymi *porte-bonheur*'ami i pa- miątkami. W jednej z nich na przykład widziałam całą kolekcję kolczyków a wśród nich piękną zakrwawioną głowę Chrystusa tuż obok gęsi z kiwającą głową, psa ze sprężynowym ogonem i ró- żowej główki dziecka nadzianej na ostry patyk.

Rewolucjonista starej daty

W Ministerstwie Oświaty wszyscy wyżsi urzędnicy są *maestros* lub *profesores*. Jeden z tych profesorów, wysoki, tęgi mężczyzna o małych wąsikach i orlim nosie okazał się profesorem M., który miał mnie poinformować o swym rodzinnym stanie Chiapas i o programie darmowych podręczników szkolnych zaini- cjowanym przez obecnego prezydenta Meksyku Lopez Mateos.

Profesor M. siedział za wielkim biurkiem w pokoju oddzie- lonego od wielkiej sali ścianą ze szkła. Przed biurkiem ogonek z siedmiu chyba osób. Jak i w innych biurach przyjeżdżałam natychmiast poza ogonkiem, co mnie jak zwykle bardzo speszyło. Rozmowa była zresztą tym razem bardzo krótka. Profesor M. po- wiedział że mogę sobie wziąć ile chcę darmowych podręczników, a o ile chodzi o Chiapas to woli się ze mną spotkać u siebie w domu, gdzie ma kilka filmów z Chiapas i wiele innych materia- łów.

Na drugi dzień wzięliśmy taksówkę do domu profesora M. bardzo zdziwieni tym bezpośrednim zaproszeniem. Profesor M., Don Arturo, czekał na nas w salonie. Salon ten dziwnie pusty. Brzydkie, nowoczesne, ale bardzo skromne meble przykryte płatami przezroczystego plastiku, kilka krzesel i w sąsiednim pokoju a raczej w drugiej części salonu równie bezbarwna jadalnia: stół, krzesła, na ścianie wielki kolorowy obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę. Drzwi od jadalni szeroko otwarte na korytarz. Na korytarzu służąca prasująca koszulę i dwóch, trzech, czterech kilkunastoletnich synów, ciemnych, eleganckich, przedstawiających się jeden po drugim. Po chwili przyszedł nauczyciel angielskiego. Miał mieć lekcję z synami, ale Don Arturo powiedział, że lekcja może poczekać i zaprosił profesora na obejrzenie filmów z Chiapas. Synowie przynieśli aparat projekcyjny, taśmy filmowe, magnetofon. Usiedliśmy wszyscy naokoło stołu i zaczął się film. Film po filmie, wszystko ilustrowane muzyką z Chiapas, a potem jeszcze inną muzyką skomponowaną przez Don Arturo i jeszcze inną z jego słowami. „Mój dom i czas są do dyspozycji państwa” — powiedział Don Arturo „Chcę, żeby się pani zorientowała jak najlepiej w Chiapas a potem zostaniecie państwo na skromnej kolacji. Najważniejsze jest jednak to czy orientuje się pani w przyczynach Rewolucji meksykańskiej” — dodał „bo to jest zasadnicze dla pani badań”... Odpowiedziałam coś o dyktaturze Porfirio Diaz, o wielkich latyfundiach i okazało się, że „zdałam egzamin”. Don Arturo rozjaśnił się i opowiedział o sobie. Okazało się, że jest on jednym z fundatorów szkół wiejskich, starej daty rewolucjonistą, że za czasów prezydenta Cardenasa organizował pierwsze Misje Kulturalne i potem jeszcze przez piętnaście lat jeździł z tymi Misjami od stanu do stanu, z pueblo do pueblo, konno, na mułach, na osłach, zakładając szkoły, szpitale, teatry marionetkowe. Ekipa składała się z nauczycieli, lekarza, pielęgniarki, pracownika społecznego i wielu innych. I później pracował w tej samej dziedzinie tu w centrali i ma filmy ze wszystkich stanów meksykańskich o ile mnie interesują i muzykę też. Warto je obejrzeć i porównać z dzisiejszym Meksykiem. Wiele się przez te lata dokonało, ale tyle jest jeszcze do zrobienia, trzeba nadal realizować ideały Rewolucji... No i ma tutaj swoje własne kompozycje: wiersze i pieśni, „bo przecież trzeba się trochę po pracy rozerwać”... „Oto piosenka napisana dla żony... niech pani posłucha... zapewniająca ją o mojej miłości, bo proszę pani bez kobiet życie nie byłoby nic warte... Kobieta to najświętsza, najlepsza rzecz na świecie... no i Rewolucja... To co teraz zobaczy pani w Chiapas to inny Meksyk, Meksyk który wywalczyliśmy wówczas i o który walczyliśmy nadal” itd. itd... w tym stylu. Jednoznacznie,

szczerze i bardzo po prostu, tak po prostu, że nie wydało mi się to nawet banalne. Zresztą trudno nazwać banalnym to co się słyszy po raz pierwszy w nowym kraju... Pomyślałam, że jest w tym Don Arturo coś z hiszpańskiego trubadura, coś z katolika, coś z rewolucjonisty — co za fantastyczna mieszanina! Niespodziewana jak to zaproszenie. Zdziwiłam się jeszcze bardziej gdy pokazał mi film z rancho, *ranchito*, jak powiedział, mająteczku tu niedaleko od Meksyku, który niedawno kupił dla najmłodszego syna. Co za wspaniałe rasowe konie w tym mająteczku prawie bez domu, skromnym jak najskromniejsze wiejskie gospodarstwo... ale co za konie!!! „Ile razy państwo chcą przyjechać do nas na *weekend*, dom i konie są do państwa dyspozycji!” — zapewnił nas Don Arturo.

Dopiero pod koniec wizyty, przy kolacji złożonej z mleka i bułek bez masła, okazało się, że ten rewolucjonista jest z rodziny najbogatszych ex-ziemian ze stanu Chiapas, że jest kuzynem Rosario Castellanos, też rewolucyjnej literatki, byłej ziemianki z okolic San Cristobal...

(D. c. nastąpi)

Alicja IWANŃSKA

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELE DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

W dzień śmierci Jego

Ignacemu Taubowi

Mieszkaliśmy w baraku, może o pięćset, sześćset metrów od morza, ale dostać się do nas było ciężko; trzeba było iść poprzez piach sięgający w niektórych miejscach do kolan, a potem poprzez pole porośnięte jakimś chwastami; wysokimi, kłującymi, wiecznie suchymi, tak, że nawet na myśl nikomu nie przychodziło, że mogłyby one zakwitać i przekwitać, jak wszystkie inne rośliny w tym kraju: dzikie, kolorowe, zakwitające czasem niespodziewanie w ciągu nocy i w ciągu nocy zamierające; nikt nie znał nazwy tych badyli; nikomu nie było wiadome do kogo należało to pole, a w dodatku Lena, żona Griszy, twierdziła z uporem, że są tam węże, chociaż ja nigdy żadnego węża nie widziałem i w ogóle ciężko mi było uwierzyć, że jakakolwiek kanalia ma ochotę tam żyć — wśród piasku i tych martwych badyli. Ale rozmawialiśmy zawsze o tych wężach i o tym, że może one tam rzeczywiście są; więc i teraz, kiedy rozpalony autobus stanął na przystanku tak gwałtownie, że wszyscy śpiący pasażerowie polecieeli do przodu i my: Grisza, ja i jeszcze jeden staruszek, który mieszkał obok nas, wysiedliśmy a potem szliśmy poprzez pole, gadaliśmy o wężach. Była godzina piąta po południu, ale upał nie słabł; od znieruchomiłego morza nie szło ani trochę wiatru, ani trochę chłodu. W tej ogromnej masie wody nie było ani odrobiny rzeźkości — dla nas, idących górą i piachem, niby skrajem końca świata.

— W taki upał można się najłatwiej przeziębic — powiedział staruszek drecząc koło nas. — Właśnie w taki upał. Człowiek wejdzie w cień, zawieje go i koniec. Trzeba bardzo uważać. I zawsze kłaść podkoszulek, panowie.

— Panu nie potrzebny podkoszulek — powiedział ponuro Grisza. — Panu chyba tak, czy owak wszystko jedno.

Ale była to nieprawda: ten staruszek trzymał się życia silniej niż my. Miał on pewną idiotyczną ideę; jego siostrzeniec, a może zresztą siostrzeniec jego żony, wyemigrował przed laty do Ameryki i był sławnym reżyserem. To prawda: ten gość zrobił całą kupę dobrych filmów i miał dosyć pieniędzy, żeby wytapetować te wszystkie baraki, do których mieliśmy jeszcze ze trzysta metrów. I ten stary czekał; ściany swojego pokoju wyklejał zdjęciami siostrzeńca: Billy przy samochodzie, Billy w czasie kręcenia zdjęć, Billy z żoną, synem i dwoma smolistymi pudłami; Billy w Wenecji i Billy w Kalifornii. Wiecznie pisał do niego długie listy w których skarżył się na nas, na sąsiadów, na policję i na głupotę władz; i taktownie dawał mu do zrozumienia, iż nie odrzuciłby jego pomocy. Ale Billy nie odpisywał i nie przysyłał forsy; więc stary dalej wycinał z gazet fotografie krępego, łysiejącego mężczyzny o zimnym uśmiechu i wyklejał nimi ściany.

— No jak — powiedział Grisza i trącił mnie w bok. — Ma pan już odpowiedź?

— Ach — rzekł staruszek; był już zadyszany lecz starał się iść z nami krok w krok, choć Grisza specjalnie szedł tak szybko, że i mnie było ciężko. — Ta poczta. I to teraz, kiedy samoloty tak szybko latają. Czytałem w gazecie, że w jakimś francuskim mieście list szedł z ulicy na ulicę czternaście lat. Wszystkim się poprzewracało w głowie. Kiedyś to nie było możliwe.

— Tak — powiedział Grisza. — Ale wie pan: te niewysłane listy to tak cholernie długo idą.

— Pan myśli... — zaczął stary.

— Nic nie myślę — przerwał mu Grisza. — Pisz pan dalej. I niech pan załączy od nas wyrazy szacunku i poważania.

Jakiś pies zerwał się nagle z kupy śmieci i jazgocząc podskoczył do mnie: kopnąłem go w bok aż szcęknęło coś w jego chudych żebrach, ale nie odczepił się. Leciał za mną i podskakiwał aż do moich kolan jazgocząc i warcząc, a jego ślina pozostawała na badyłach niby babie lato; w końcu Grisza trzepnął go przez łeb kamieniem.

— Czyj to ten cholerny pies — powiedział. — Jeszcze mi się rzuci na dziecko.

— Nie bój się — powiedziałem. — To mnie psy nienawidzą. Tak zawsze było. Nigdy nic żadnemu nie zrobiłem a całe życie rzucają się na mnie. Podobno są tacy faceci. Kiedyś jeden buldog gonił mnie przez dwa kilometry.

— Tak cię nienawidzą? — powiedział Grisza.

— I jeszcze jak — rzekłem zawstydzony: bo tak było naprawdę. — Mógłbym ci opowiadać przez pół dnia ile wycierpiałem od tych bydląt.

A wtedy zerwał się drugi ze środka drogi; porzucił swoją kość i leciał wprost na mnie z dzikimi oczyma i włosami zjeżonymi na karku. Wył, jakby się zbliżał koniec świata i jemu jednemu tylko przypadła misja obwieszczenia tego smutnego faktu; zebrałem się tego w sobie i kopnąłem go, że odleciał na środek pola niby kula; od tego kopnięcia aż mnie zabolęło. A potem wyły obydwaj.

— No — powiedział Grisza. — A podobno psy czują dobrego człowieka. — Popatrzył na mnie z ciekawością; dostrzegłem to w jego skośnych oczach. — I zawsze tak było? — zapytał.

— Zawsze — powiedziałem. — Jeszcze nie było takiego, który by mnie lubił.

Potem usiedliśmy do kolacji: Grisza, jego żona — Lena, ja i dwuletnia ich córeczka nosząca imię matki, a którą zwaliśmy Małą Lenką. Tego dnia właśnie Lena otworzyła ostatnią puszkę mięsa i patrzyliśmy w milczeniu na patelnię, gdzie mięso skwiercząc stawało się coraz mniejsze i wyglądało coraz nędzniej. Puszka kosztowała dwa funty i sześćdziesiąt piastrow; a teraz na patelni nie zostało prawie nic; ot, dwa kęsy. Kot by się tym nie najadł. Milcząc spoglądaliśmy po sobie, tego mięsa prawie już wcale nie było widać, a potem Lena powiedziała z rozpaczą:

— Nie starczy dla wszystkich. Nie umiem tego podzielić.

— No więc — powiedziałem. — Może teraz, kiedy cały dzień latałem z Griszą za robotą mam sobie nagle przypomnieć, że wypadło mi coś ważnego do załatwienia i wyjść? Tak, Grisza?

— Wybacz jej — powiedział Grisza. Popatrzył na nią ciężko a jego skośne oczy zrobiły się jeszcze węższe. Potem odwrócił się do mnie. — Ona jest niewinna — powiedział. — Ona nie rozumie lepiej.

— Nie umiem tego podzielić — powtórzyła z uporem Lena.

— Nie trzeba — powiedział Grisza. — Kto by tam dzielił takie gówna.

Wziął patelnię z blachy i kopnięciem otworzył drzwi baraku. Zamachnął się szeroko i wyrzucił mięso; plasnęło w mroku i zaraz potem słyszałem jak psy rzuciły się na nie z warkotem. Siedząc przy stole, w żółtym blasku lampy wydawało mi się, iż widzę jak żrą i jak pęcznieją ich chude, wstrętne karki. Ale była to oczywiście fantazja; połknęły to mięso w milczeniu, na raz; tak, jak połykały wszystko co tylko mogły znaleźć na tym polu spalonym przez słońce i pełnym śmieci, które przywędrowały nie wiadomo skąd i które pewnie pozostaną tam aż do końca świata.

— No więc — powiedział Grisza stawiając patelnię na kuchni. — Kiedyś pytali kozaka: co byś zrobił, żeby ciebie carem wybrali. *Ja by ukradł dziesiąt' rublej i udrał* — powiada. Nie martw się Lena. Z każdej sytuacji można się wygrzebać.

— Ale dziecko — powiedziała Lena.

— I mnie nie było lepiej w jej latach — rzekł.

Napiliśmy się tylko herbaty i wyszliśmy przed barak; Grisza i ja, Lena została wewnątrz. Usiedliśmy przed barakiem, na ciepłym jeszcze piasku i paliliśmy papierosy. Na morzu, rybackie statki rozrzucone szeroko w półkole nawoływały się słabymi światłami.

— Słuchaj Grisza — powiedziałem. — Rozmawiałem dzisiaj z jednym facetem, który chce ode mnie kupić pistolet. Sprzedam mu. Na cholere mi pistolet.

— Nie — powiedział Grisza. — Nie sprzedawaj broni.

— Sprzedam — powtórzyłem. — Na cholere mi to.

— Nie — powiedział. — Nie sprzedaje się broni. Zresztą to wszystko co masz.

Była to prawda; miałem tylko ten pistolet, który przywiózłem tu z Europy, biblię i fotografię takiej jednej kurwy którą przechowywałem tylko dlatego, że była trochę podobna do innej kurwy, w której kiedyś się podkochałem. Może być zresztą, iż kochałem ją naprawdę. Ale to nie było teraz ważne; ważne było tylko to, że od dwóch miesięcy byliśmy obaj bez pracy; porządne śniadanie jadłem ostatni raz w Jaffie, w więzieniu. Nie umiałem myśleć o miłości; co innego Grisza, ale on był Rosjaninem, a Rosjanie się nie zmieniają i do końca nic im nie jest obojętne. Ale ja nie jestem Rosjaninem; było mi już wszystko jedno, a może byłem nawet dalej; już poza rozpaczą i już poza gniewem. Ludzie nie wiedzą naprawdę ile obojętności jest w nich i jak bardzo obojętne może się wszystko stać pewnego dnia; i dobrze, że nie wiedzą.

— Słyszysz — powiedział do mnie Grisza. — Znowu tutaj się szwendają. — Wyciągnął rękę w mrok; widziałem ich żółte, złe ślepie zapalające się i gasnące niby latarki. — Myślą, że może jeszcze coś dostaną.

— Nie — powiedziałem. — One tu przychodzą do mnie, tylko do mnie. Przysięgam ci, Grisza. Bóg tylko jeden wie dla czego mnie tak nienawidzą.

— Kto by je tam rozumiał — powiedział leniwie. Palił resztkę papierosa zaciągając się głęboko i ze znawstwem; potem cisnął niedopałkiem w mrok i odwrócił się do mnie. Zdawało mi się, nie wiem dlaczego, że patrzy na mnie jakoś szczególnie uważnie i surowo.

— A broni — nie sprzedawaj — powiedział.

Znów odezwał się jakiś, potem zawtórował mu drugi i wyły oba do księżycy — olbrzymiej, pomarańczowej bani, balansującej tuż nad spokojnym, jasnym morzem. Czułem je tak, jak i one czuły mnie prawdopodobnie; czułem ich spaloną słońcem sierść i ich ostre oddechy; ich wieczny głód i ich wściekłość skierowaną przeciwko mnie, tylko przeciwko mnie, tak, jakbym ja to stworzył ten kraj o polach spalonych słońcem; o polach bez drzew, bez cienia, bez dzikich zwierząt — z wyjątkiem węży i skorpionów których bali się wszyscy. Siedzieliśmy z Griszą w milczeniu; słychać było szum morza lecz wciąż jeszcze bez śladu wiatru; no i te psy przebiegające w ciemności i szeleszczące ich łapy w polu pełnym śmieci. I ten ich przeklęty warkot.

— No, no — powiedział Grisza. — Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego. Może kiedyś przyłożyłeś jednemu z nich i one to w jakiś cholerny sposób zwąchały.

— Nie — powiedziałem. — Przysięgam ci Grisza, że nie. Nic do nich nie mam.

Siedzieliśmy tak z godzinę może jeszcze; a potem przyjechał ten człowiek swoją ciężarówką. Myśmy siedzieli na piachu przed progiem a on wysiadł z kabiny, nie zgasił nawet świateł i podszedł prosto do nas.

— Dobry wieczór — powiedział.

Stał przed nami trzymając pod pachami całą kupę butelek piwa. Nie odpowiedzieliśmy mu; ni Grisza, ni ja. Mimo iż było ciemno, wiedzieliśmy dokładnie jak on wygląda; młody, zdrowy mężczyzna tuż po trzydziestce; zaczynał już tyć i jego twarz rozlewała się powoli, ale wszystko to szło na koszt zdrowia i młodości, nie kosztem lat; był dobrze odkarmiony i koniec; gdyby miał żonę, byłaby dumna z niego. Feler w tym, że jej nie miał. Zaczynał takżełysieć; miał delikatne ciemienie jak u dziecka, ale to się widziało naturalnie tylko w dzień. Teraz pachniał za to; używał jakiejś wody kolońskiej tak silnej, iż człowiek miał wrażenie, że zakwitło całe pole kwiatów z oleodruku.

— No, Grisza — powiedział. — Cóż to, nie przywitasz się?

— Weź swoją mordę stąd i znikaj — powiedział Grisza.

— I nie przyjeżdżaj tu więcej. Wiem, czego tu szukasz.

Butelki z piwem zadzwoniły delikatnie pod pachą tamtego; uczułem nagle pragnienie, niemal że ból w gardle i przyśiągłbym, że Grisza czuł to samo.

— Słuchaj, Grisza — powiedział tamten. — Będę miał dla ciebie pracę od przyszłego tygodnia. Trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie. Za Beer-Schebę, chcesz?

— A ty będziesz tędy jedził co wieczór — powiedział Grisza. — I wstąpisz sobie czasem do mnie, żeby troszkę odpocząć. I tak trochę pogadać z moją Leną. A ja będę tyrał za Beer-Schabą i posyłał jej forszę, nie? — Chciał splunąć, ale butelki znów zadzwoniły delikatnie i zaszcło mu w gardle; zaszczał jakoś dziko i śmiesznie i to go pewnie rozwścieczyło. — *Ujdi ad siuda, swotocz, idi legawy pies, blat'kaja mordal!* — powiedział.

Nic nie widziałem; butelki szczękły w ciemności o kamienie i poczułem nagle gorzki zapach piwa. Skoczyłem naprzód przyciskając łokcie do twarzy z kolanem wysuniętym i podkurczonym niemal do brody; miałem szczęście — trafiłem go w brzuch, akurat w tym momencie, kiedy szykował się rąbnąć Griszę jeszcze raz. Stęknął z bólu ale nie zaszkoziło mu to wiele; był to mocny chłop; widziałem jak rzucił Griszę niby kotem, a Griszy też niczego nie brakowało; teraz leciał na mnie z pięścią wzniesioną do góry jak młot ale wywinąłem mu się i znów wpadł na Griszę i potoczyli się na barak, aż ściana z dytki trzasnęła. Skoczyłem na nich z tyłu; złożyłem dwie ręce i chciałem go trzasnąć w kark ale nagle jakieś ostre zęby pochwytyły mnie za nogę i to mnie zgubiło; odwróciłem się bowiem a wtedy rąbnął mnie w szczękę tak, że poleciałem pod płot, a kurz razem z całym kłębem skowyczących psów. Ten skowyt, to było wszystko co zapamiętałem; dopiero później, jak przez mgłę doszedł do mnie hałas odjeżdżającej ciężarówki.

Ocknąłem się po długiej chwili; Grisza trzymał moją głowę na kolanach i chustką ścierał mi krew z warg. Wciąż jeszcze huczało mi w uszach, tak, jakbym wysiadł z samolotu po paru godzinach lotu. Obliziałem się; próbowałem powstać, ale nie dałem rady: kolana ugięły się pode mną i klapnąłem ciężko na ziemię.

— To wszystko dlatego, że ten pies ugryzł mnie w nogę, Grisza — powiedziałem dzwoniąc zębami. — Straciłem orientację.

— Przeszło — powiedział.

— Inaczej dołożylibyśmy mu zdrowo — powiedziałem. — Chciałem go rąbnąć w kark a wtedy poszedłby spać. Wiesz, Grisza: obie ręce razem i tak jak toporem. Nauczył mnie tego jeden gość od spadochroniarzy. Ale ten cholerny pies wczepił się we mnie. — Milczał, nie odpowiadał, i widziałem tylko jego twardego profil. — Tak czy owak on tu już nie wróci — powiedziałem. — Szkoda. Dołożylibyśmy mu zdrowo.

Odwrócił się nieco ku mnie; jego jasne, skośne oczy błysnęły jak u kota.

— Nie — powiedział. — Nie dołożylibyśmy mu. A wiesz

dłaczego? Bo nie dalibyśmy rady. A wiesz dlaczego nie dalibyśmy rady? Bo dwóch gości, którzy nie jedli porządnie od miesięcy byle kto może skopać. — Pomilczał chwilę. — Ale nie bój się — powiedział. — On tu wróci. Wróci tu jeszcze raz. Ale potem już nigdy więcej.

Podniósł się; pomógł i mnie wstać. Otworzył drzwi i wepchnął mnie do baraku; a wtedy w żółtym, ostrym świetle dojrzałem jego prawą część twarzy: opuchnięty policzek i obrzydliwie podbite, wybałuszone oko. A potem jeszcze długo, leżąc już w ciemności na swoim łóżku widziałem jego rozbitą twarz; zapadałem w sen i powracałem z powrotem przywołany obrazem jego twarzy. Wciąż jeszcze huczało mi w głowie i wciąż twarz jego powracała z ciemności; przypominałem sobie nagle jednego Niemca który miał wytatuowaną na ramieniu twarz kobiecą a pod nią błuźnierczy napis: wszystko przemija prócz oblicza Twego. To były święte słowa, ale ten Niemiec służył we francuskiej marynarce handlowej a przedtem przeszedł z Rommlem pustynię i niewiele sobie robił ze świętości świata tego. Lecz mnie się zdawało, iż była to nie wytatuowana twarz kobieca, lecz twarz Griszy, taka, jaką ją zobaczyłem przed godziną; rozbita i opuchnięta, z okiem szyderczo wybałuszonym. Nie mogłem wciąż jeszcze zasnąć; słyszałem jak Lena płacze i wymyśla mu, iż zmarnował całą kupę mięsa; nie odrobinę, która szczezła w naszych oczach na patelni, lecz właśnie całą kupę, którą można by było jeść Bóg jeden wie jak długo; i słyszałem jak go błagała, żeby dał jej spokój i odsunął się z tą swoją straszną twarzą; a potem, już u progu snu mego, usłyszałem, jak pokonał jej opór i jak Lena płacze z upokorzenia; więc jeszcze pomyślałem sobie, że Grisza to silny chłop, i że to był przypadek — to, co zdarzyło się przed godziną; i jakoś tak wsłuchałem się przyjemnie w ten jej płacz i zasnąłem.

Następnego dnia rano ogoliliśmy się nieco później niż zwykle; Grisza podlepił sobie oko plastrem, zjedliśmy po talerzu płatków owsianych z margaryną; Grisza ucałował małą Lenę — ciepłą jeszcze od snu i rozgrymaszoną i wyszliśmy z baraku. Ten staruszek, który miał siostrzeńca w Ameryce czekał już na nas. Wyglądał schludnie; był pięknie ogolony, nosił na szyi coś w rodzaju apaszki, a jego krótkie spodenki były starannie zaprasowane — myśmy przy nim wyglądali jak dwaj z piekła w naszych brudnych spodniach khaki i przepoconych koszulach. Stary trzymał w ręku list.

— Panowie będzie przechodzić koło skrzynki pocztowej — powiedział. Zróbcie mi panowie tę grzeczność — i podał mi ten

list: gruby i ciężki; pisał go pół nocy pokaszując i wycierając łyż. Chciałem go już wziąć, ale Grisza powstrzymał mnie.

— My idziemy do Haifskiej szosy — powiedział. — Tam nie ma żadnej skrzynki po drodze. Musi pan się sam pofatygować.

Stary odszedł niezadowolony a ja popatrzyłem na Griszę.

— Dlaczego, na litość Boga do Haifskiej szosy? — powiedziałem. — Po co mamy iść trzy kilometry, kiedy tutaj autobus podjeżdża pod nos?

— No i co z tego — rzekł Grisza. — Nie wiedziałem, że masz coś pilnego do załatwienia. Można się czasami przejść; przed dziewiątą i tak nikogo nie złapiemy.

— Ale to trzy kilometry, Grisza.

— Właśnie — powiedział. — Taki spacer uspokoi twoje skołatane nerwy.

Poszliśmy przez pole, do szosy a potem szliśmy brzegiem morza przez ogromną pustą plażę, na której nikogo jeszcze nie było, czystą i piękną a potem znów wydrapaliśmy się na górę, skręcili na lewo i szliśmy poprzez dzielnicę w której mieszkali tylko dyplomaci — były to małe, schludne domki schowane wśród tych fantastycznie kwitnących drzew; przed furtką każdego z tych domków stały butelki z mlekiem; czasem trzy a nawet cztery z czego można było się domyślić, że mają całe chmary dzieci. Było mi trochę głupio ze względu na małą Lenę i zerknąłem na Griszę; widziałem, że też patrzy na te butelki z mlekiem, ale udawał, że go to nic a nic nie obochodzi. Miałem ochotę wziąć kamień i porozbijać je wszystkie — systematycznie, na zimno i niczego nie tłumacząc. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić; jechaliśmy, aby wykombinować jakąś możliwość — tego dnia, jak i każdego innego dnia od dwóch miesięcy.

Przy którymś z tych domków w którym powinny mieszkać raczej lalki niż ludzie, takie to wszystko było schludne i grzeczne, Grisza zatrzymał się. Wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko z wizerunkiem brodatego kapitana. Ni stąd, ni zowąd usiadł pod samym płotem opierając się o niego plecami i wyciągnął nogi aż na środek drogi.

— Siadaj — powiedział. — Zapalimy.

Usiadłem trochę dalej, na kamieniu; było dopiero po siódmej a kamień przygrzał mnie już w porządnie w tyłek. Grisza dostrzegł to i uśmiechnął się.

— Co jest — powiedział. — Boisz się, że przewrócisz im ten cały interes? Też by się nic nie stało.

— Ja tam nie lubię, żeby ktoś mordę nade mną rozdzierał — powiedziałem. Ale usiadłem koło Griszy i też oparłem się o

sztachety. Zapaliliśmy i było od razu lepiej. Siedziałem rozwalony obok Griszy i myślałem sobie, iż w tym kraju niewiele potrzeba, żeby cieszyć się życiem. Z początku, kiedy tu przyjechałem, zdawało mi się, że nie lubię tego kraju. Ale potem, kiedy go już trochę poznałem, pomyślałem sobie, że się pomyliłem. Pomyłka polegała na tym, że kochałem ten kraj sam o tym nie wiedząc. I nigdy go nie przestanę kochać; tych pól nad którymi unoszą się i kręcą pióropusze wody, pomarańczowych lasów pachnących tak pięknie, że człowiek boi się w to uwierzyć; i łagodnych wzgórz Galilei, i tych małych miasteczek, do których zjeżdża się nagle i w których Arabowie potrafią mówić dziesięcioma językami; jednakowo źle, z jednakową łatwością i powagą. Wierzę, że tam mieszka Bóg i że nigdy stamtąd nie odszedł. I będę w to wierzył nawet wtedy, jeśli by ten kraj spotkało dziesięć nowych nieszczęść, bo tylko tam Go czułem. Przyszła mi ochota, aby to wszystko nagle powiedzieć Griszy, ale kiedy obróciłem się ku niemu, myślałem, że serce pęknie mi z przerażenia; oblałem się potem a jednocześnie w gardle zrobiło mi się tak sucho, jak gdybym nigdy na tym świecie kropli wody nie wypił.

Przede mną stał pies; ogromny jak ciele, tylko że wyglądał strasznie: niby diabeł, rogów mu tylko brakowało. Był cały czarny jak smoła i kudłaty, łapy miał grube a zębów mogłem się domyśleć w jego kwadratowej, obrośniętej paszczy. Znałem te psy; był to brodacze monachijski, rzadki okaz, ogromnie drogi; czasami używa się te psy do polowania ponieważ potrafią dobrze chodzić po wodzie, a ci figlarze z SS używali ich podczas wojny, jako psy policyjne — były groźniejsze od wilków i bokserów. Widziałem kiedyś jak jeden taki skoczył na człowieka, wprost do gardła i powalił go na ziemię rozdzierając mu cały bark jednym chwytem paszczy.

— No — powiedziałem do Griszy. — Dalszego ciągu nie będzie.

A teraz pies taki stał przede mną o dwa kroki i kręcił swoim krótkim ogonem. Nie ruszyłem się; papieros sparzył mnie nagle w rękę i bałem się upuścić go na ziemię; czekałem, aż sam się wyzłiznie. Delikatnie podkurczyłem nogi pod siebie, aby w tym momencie kiedy pies skoczy mi do gardła móc go zrzucić. Ale on nie ruszał się; czekał; jakaś mucha przeleciała mu przed nosem i kłapnął niedbale paszczką. Potem zbliżył swój mokry, kwadratowy nos do mojego policzka i obwąchał mnie starannie, nawet trącił mnie nieco. Nie ruszałem się i to go widocznie zdumiało; trącił mnie swoją grubą, kosmatą łapą raz i drugi; bawiło go to widać; wreszcie odskoczył o krok i zaszczekał potężnym basem a wtedy zobaczyłem jego ogniste czerwony język.

Wreszcie odbiegł w podskokach wciąż jeszcze odwracając ku mnie kosmatą paszczę; tak, jak bym mu sprawił zawód, że nie zareagowałem na jego zaczepki. Rzuciłem się do Griszy.

— Czegoś nie wziął kamienia, durniu — powiedziałem. — Trzeba go było trzepnąć w łeb i koniec. Widzisz, że pies chce mnie gryźć a ty siedzisz i patrzysz.

— Trzeba było to samemu zrobić — powiedział Grisza. — Dokładnie to samo: wziąć kamień i trzepnąć go w łeb.

— Bałem się poruszyć.

— A ja to co? Ja się też bałem.

— Skąd się ten drań tutaj wziął — powiedziałem. — Jeszcze w życiu nie widziałem takiego ogromnego psa.

— Ładny pies — powiedział Grisza. Był wyraźnie zły; i pomyślałem sobie, że pewnie wstydzi się swojego tchórzostwa. Popatrzył na mnie z boku. — Gdyby cię tak chwycił swoimi zębami — powiedział — to...

Pokręcił głową, nie dokończył; znów popatrzył w bok ze złością wyraźnie unikając mego wzroku i znów pomyślałem sobie, że się wstydzi. Zrobiło mi się go żal.

— No, no, Grisza — powiedziałem. — Idziemy dalej. Nic się przecież w końcu nie stało.

— Nic — powiedział Grisza.

Szliśmy do autobusu a ten drań biegł za mną; nie za nami, nie za Griszą, ale właśnie za mną — tego byłem pewien. Nie odwracałem się a byłem przekonany, że w pewnym momencie skoczy na mnie z tyłu i przygniecie mnie do ziemi. Raz nawet trącił mnie nosem w rękę i mróz przeszedł mi znowu po karku; a potem stał koło mnie na przystanku i kiedy wreszcie nadjechał autobus i wsiedliśmy, to biegł jeszcze spory kawał za tym starym pudłem i szczekał. Jakiś człowiek stojący koło mnie powiedział z podziwem:

— Ładnego ma pan psa.

— Pewnie — powiedziałem ocierając pot. — Cholernie ładny pies. Mogę go panu sprzedać.

— Broń Boże — przestraszył się. Ale rozważał coś w sobie; to było widać. Wreszcie zapytał: — Co on potrzebuje zjeść?

— Dwie butelki szampana i puszkę kawioru — powiedział Grisza. — Ale będzie pan przynajmniej spokojny o żonę; już on jej przypilnuje.

— Chamstwo!

— To nie pytaj się pan!

— Pan pewnie nowy tutaj?

— Tak — powiedział Grisza. — Ale siedziałem już w więzieniu za pobicie. Wcale nie było tak źle.

Ten człowiek obraził się; począł głośno opowiadać zwracając się przy tym do wszystkich, że kiedyś było tutaj inaczej, że kiedyś ludzi się tutaj szanowało; a nawet można było zostawiać otwarte mieszkania i wszystko człowiek zastawał na miejscu. Kraty poczęto wstawiać dopiero po ostatniej wojnie, kiedy przyjechali nowi emigranci. On sam, osobiście kopał tu drogi i cierpiał na malarię, podczas gdy Grisza zażerał się w Europie jak u Pana Boga za piecem; potem Grisza mu powiedział, żeby tamten przestał mu rachunek za swoją malarię to on zobaczy, co dla niego można zrobić a w końcu jakiś żołnierz stojący koło mnie i słuchający tego wszystkiego obojętnie — opalony i muskularny — zapytał mnie, zapytał mnie dlaczego my, Żydzi, musimy się zawsze kłócić. Powiedziałem mu, że nie wiem i tak dojechaliśmy do Tel-Awivu. Kiedy wysiadałem z autobusu łydki drżały jeszcze pode mną i powiedziałem do Griszy:

— Nigdy już nie pójdą tą drogą. Następnym razem ten drań mi nie podaruje.

Na ulicy King George zobaczyliśmy tego faceta, o którym wiedzieliśmy, że ma chody i może wystarać się nam o pracę. Siedział w małej kawiarni i zajadał coś, czego lepiej było nie identyfikować. Z ustami pełnymi jedzenia poinformował Griszę, że teraz szczególnie ciężko o jakąkolwiek pracę, że przyjechało dużo nowych emigrantów i też nie wiadomo, gdzie ich poupychać. Przestał mówić i skończył także jeść; czekał przez chwilę patrząc na nas niewinnym wzrokiem a potem znów napchał sobie usta jedzeniem i powiedział, że bardzo mu przykro widzieć dwóch młodych ludzi chodzących bez pracy, ale kiedy on tu przyjechał nie było nic prócz malarii i walk z Arabami i jakoś to przeżył.

— Jazda — powiedział Grisza. — Ile chcesz i jaką robotę możesz załatwić. Nie będę tu stał i słuchał twojego mlaskania.

Przełknął olbrzymi kęs i powiedział bez zajknięcia:

— Trzysta funtów.

— Nie więcej? — zapytałem.

— Trzysta — powiedział. Wskazał na mnie palcem. — Dla was obu. Załatwię wam stałą pracę.

— Trzysta funtów — powiedział Grisza. — A ile będziemy zarabiać?

— Osiem i pół funta dziennie — powiedział. — Taka jest stawka.

— To wypada po jakieś dwieście dwadzieścia funtów na miesiąc jak dobrze pójdzie — powiedział Grisza. — Dwieście dwadzieścia funtów za cały miesiąc tyrania. A ty chcesz trzysta.

— Ja chcę? — zdumiał się tamten. — Ja chce zjeść swoje śniadanie do końca. To wy chcecie. Najlepiej dla was będzie jak

pójdziecie do biura pośrednictwa pracy. Oni was już urządzają. — Uniósł palec i wskazał na rozbitą twarz Griszy. — Coś podobnego — powiedział. — Miałeś wypadek?

— Nie — rzekł Grisza. — Bawiłem się z dzieckiem.

Przysunął sobie krzesło i usiadł koło niego. Odsunął nieco swój talerz.

— Dobrze — powiedziałem. — Dostaniesz swoje trzysta funtów. To kiedy możemy zacząć?

— Kiedy — powtórzył. — Jutro. Dzisiaj zapłacicie a ja wam dzisiaj jeszcze wszystko załatwię. Jutro możecie zacząć.

— Słuchaj pan — powiedziałem. — Ja i mój kolega widzieliśmy po raz ostatni trzysta funtów na reklamie loterii państwowej w kinie. Musimy przepracować miesiąc a potem dostaniesz pan swoją forszę. Zgoda?

Wyciągnąłem do niego rękę; czekałem chwilę a potem Grisza z całej siły uderzył mnie w rękę i ręka moja odskoczyła w bok.

— Jeszcze się spotkamy — powiedział Grisza.

— Pewnie — rzekł tamten. — Zawsze możemy się spotkać kiedy będziecie mieli trzysta funtów.

To było wszystko; poszliśmy przed siebie; można było już właściwie wracać do domu ale chodziło o Lenę; baliśmy się wrócić do domu o godzinie dziesiątej rano i powiedzieć, że niczego nie udało się nam załatwić. To by było głupio; trzeba było wracać już po czwartej, razem z ludźmi powracającymi z pracy i udawać zmęczonych całodzienną bieżącą. Chyba nic tak nie męczący, jak udawanie zmęczenia — w pewnych sytuacjach. Mieliśmy przed sobą parę godzin czasu; poszliśmy naszą zwykłą drogą — w kierunku morza.

— On nie jest zły — powiedział do mnie Grisza. — Ale on nie rozumie inaczej. — Pomilczał chwilę. — Tak jest pewnie ze wszystkimi — rzekł.

— Ale w mordę to mu chciałeś dać.

— Pewnie — rzekł. — Nie jemu jednemu.

— Słuchaj Grisza — powiedziałem. — On chce trzysta funtów. Sprzedamy moją spluwę. Weźmiemy za nią sto dwadzieścia, może ze sto czterdzieści funtów a resztę do pożyczymy. Damy mu te trzysta funtów i koniec. Za dzień, dwa zaczniemy pracować i wszystko będzie OK.

— Nie — powiedział. — Nie sprzedawaj broni.

— I na cholere ci ten pistolet — powiedziałem wściekły. — Do czego będziesz strzelał?

— Coś się musi znaleźć — powiedział Grisza. — A może ten swolocz niczego nie potrafi załatwić? Może jemu się tylko śni

nasza forsa. I co wtedy? A jak on pryśnie z naszą forszą to gdzie go będę szukał? Mało takich cwaniaków w życiu widziałem? Chryste Panie, widziałem ich dosyć. Zaczekaj.

— Wydaje mi się, że już czekam troszeczkę — powiedziałem. — Ale ty Grisza masz żonę. I małą Lenę.

— Ożeń się też — powiedział. — Przynajmniej obaj będziemy w jednakowej sytuacji. A to ukoi twoją duszę.

— Właśnie idę się żenić — powiedziałem. — Ale tylko na trochę.

Pożegnaliśmy się przy morzu; on zszedł na plażę a ja poszedłem w kierunku ulicy Jaarkon aby znaleźć pewną dziewczynę. Nie było to zresztą takie trudne; ujrzałem ją już z daleka: siedziała na tarasie brudnej kawiarni i paliła papierosa w taki sposób, że nawet pięcioletnie dziecko nie miałoby wątpliwości czym się trudni. Była jednak rzeczywiście ładna i to komplikowało sprawę. Komplikowało — bo człowiek jej żałował. Mnie tam nigdy nie żal kurew, bo kurwą nie można zostać, trzeba się nią urodzić i umrzeć, a reszta na ten temat to kiepska literatura. Więc nigdy ich nie żałowałem i przypuszczam, że dlatego mnie lubiły. Słyszałem, jak zwierzały się łzawym głosem ze swego życia różnym mniej lub więcej pijanym idiotom; a potem opowiadały to sobie i zdychały przy tym ze śmiechu. One w ogóle lubią opowiadać. I mają co. A przy tym można się łatwo domyśleć kiedy kłamia i to sprawia satysfakcję: rodzonej żonie człowiek chce wierzyć, kiedy oświadcza, że dentysta zajął jej pięć godzin czasu; a w dodatku nie może sobie przypomnieć, na jakiej ulicy znajduje się jego zakład. Z nimi tego nie ma. Ale tej jednej żałowałem, bo była rzeczywiście piękna. I nic na to nie poradzę. A w dodatku żyłem już z nią od paru miesięcy i byłem jej winien całą kupę forsy; więc może stąd brała się ta świeżość uczuć. Może.

— No i jak — powiedziała, kiedy usiadłem już koło niej na nieprawdopodobnie brudnym, wyplatany krzeselku i zapaliłem papierosa. — Nic?

— Nic — powiedziałem.

Napiłem się czegoś okropnego i słodkiego ze szklanki stojącej przed nią; kelner przyniósł mi piwo Gold Star, które piłem tu zawsze i zawsze na jej rachunek; napiłem się trochę tego gorzkiego, mocnego piwa i od razu było mi lepiej. Kelner zmrużył do mnie oko, co oznaczało, że poważa mnie i mój mądry stosunek do życia; i co oznaczało również, że on sam także chętnie zostałby alfonsem ale z niewiadomych sobie samemu przyczyn nie może się na to zdecydować; a potem odszedł. Ona sama

piła to swoje słodkie paskudztwo; nie wiem co to mogło być, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie próbowałem.

— Więc co — powiedziała Ewa. — Chcesz pojechać ze mną do Jerozolimy?

— Nie — powiedziałem. — Spróbuję jeszcze.

Uśmiechnęła się.

— Nie dostaniesz żadnej pracy — powiedziała. — Po pierwsze: jesteś turystą i nie masz pozwolenia pracy. Po drugie nie znasz prawie wcale języka. Nikt cię nie przyjmie, to jasne; a zresztą takich jak ty jest tu dużo za dużo. Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, że w dodatku niczego nie umiesz.

— Pracowałem przez pięć lat jako kierowca — powiedziałem. — I to na gorszych samochodach jak tutaj. Potrzeba mi tylko pracy, Ewa. Nie zapomniałem tego.

— W tym kraju każdy jest kierowcą — powiedziała. — I taką pracę akurat najciężiej dostać, bo to jest jeszcze najlepiej płatne.

O tym wiedziałem i bez niej, że kierowcy żyją tutaj jak królowie i zarabiają najwięcej. Ten drań, który wczoraj mnie i Griszy nakładł po mordzie też był przecież kierowcą; zgrzytnąłem zębami, kiedy przypominałem sobie o tym.

— Chcesz jeszcze mówić na ten temat? — zapytała Ewa.

— Bo mogę ci jeszcze powiedzieć, że tu jest więcej kierowców jak samochodów. — Znow napila się tej nieodgadnionej cieczy odrzucając słomkę. — No więc?

— Nie — powiedziałem. — Nie pojedę z tobą, Ewa.

Kelner podszedł i powiedział do niej:

— Jeden taki tutaj chciałby z tobą pogadać. Siedzi z tyłu.

— Powiedz mu, że jestem zajęta — powiedziała. Nie odwróciła się nawet aby spojrzeć w jego stronę; była najładniejszą prostytutką w tym kraju i mogła sobie pozwolić na to, aby nie odwracając głowy stracić dwadzieścia funtów. Zresztą mógł poczekać; jeśli już koniecznie chciał, to wiedział zapewne, że lepszej nie znajdzie. — Nie chcesz być alfonssem — powiedziała. — Co?

— Nie — powiedziałem. Ale dodałem szybko: — Kocham cię. Kocham cię, ale nie chcę tego. Jeszcze spróbuję. Muszę w końcu dostać jakąś pracę. — Zabrzmiało to wszystko jakoś słabo; więc raz jeszcze z męką w głosie powiedziałem denerwując się przy tym za tego faceta z tyłu: — Kocham cię.

— A jak tam Grisza?

— A tak, żyje — I nagle powiedziałem bez wstępów: — Słuchaj, Ewa. Potrzeba mi trzysta funtów. Mogę dostać robotę i mam takiego jednego, który to może załatwić. Ale ten swołocz chce wszystko od razu.

— Pojedź ze mną do Jerozolimy — powiedziała. — To wszystko. I nie mów ze mną o pieniądzach. — Wyjęła z torebki banknot funtowy i położyła go na stoliku, choć rachunek nie mógł wynosić więcej jak sześćdziesiąt piastrow. — Chodź — powiedziała.

Ale ja siedziałem uparcie; ja tam nie lubię pytać i Bóg mi świadkiem że nigdy nie lubiłem. Czekałem aż ona się domyśli. Powiedziała do mnie: — Nie bój się, z nikim jeszcze nie byłam.

Wyszliśmy; ten który siedział za nami sapnął ze złością, ale nie poruszył się; był twardy, chciał czekać. Jemu było wszystko jedno: pierwszy, czy drugi. Mnie nie. Już nie chodziło o nic, tylko o to, aby być pierwszym tego dnia. Taka była między nami umowa i to mi Ewa przysięgła w pewnym burdelu, naszego pierwszego dnia, podmywając się przy tym z wdzikiem kocicy. Może bym nawet z nią pojechał do Jerozolimy, bo sama myśl, żeby być sutenerem akurat w Świętym Mieście wydawała mi się świeża, ale znałem Ewę zbyt dobrze. Wiedziałem, że ładowałaby mi się do łóżka po dniu swojej ciężkiej pracy i żądałaby ode mnie tego, żebym się z nią cackał jak z prawiczką; tak właśnie, ponieważ one oczyszczają się w ten sposób. Niestety. Pod tym względem one wszystkie są takie same; i dla nikogo nie robią wyjątku.

To ciężki kawałek chleba i one są twarde; twardsze od żon i córek, i naszych matek. Ile razy szedłem z Ewą zawsze musiałem iść główną ulicą chociaż tłumaczyłem jej, że o wiele przyjemniej iść bocznymi uliczkami i że rosnące tam palmy przypominają mi Palermo. Ale to jej zupełnie nie obchodziło, gdzie tam; uwieszona u mojego ramienia przepychała się wraz ze mną poprzez tłum; przystawała przy oknach wystawowych i czytała jadłospisy wywieszane przed restauracjami; tak, żeby wszyscy widzieli, że i ona ma swojego i że pogarda świata jest czymś, z czego można się śmiać, jeśli się ma swojego Cyrenejczyka. A tym Cyrenejczykiem byłem ja. Powtarzam: to twardy chleb; trzeba mieć dobre zęby i krew. Ja tam nigdy nie mogłem się połapać z iloma ona była w łóżku; z pięcioma, dziesięcioma czy z dwudziestoma, a ona zawsze poznawała, kiedy skoczyłem sobie w bok. Myślałem o tym wszystkim idąc ulicą Ben-Jehuda o godzinie dwunastej w południe, przy czterdziestu stopniach upału; i cholera mną trzęsła. Dopiero później, w hotelu wrócił mi dobry humor. Lubiłem na nią patrzeć kiedy zrzuciła już z siebie te kolorowe szmaty i chodziła po kamiennej posadzce pałac papierosy — jednego za drugim. Była zgrabna jak kot i wiedziała o tym. Długie nogi, piersi jak u Murzynki i anielska twarzyczka. Tylko oczy miała ponure, złe; tak, jakby przekleła wszystko i wszystkich. Dobrze się przy

tym nazywała: Ewa. Leżałem na czystym, szeleszczącym prześcieradle i patrzyłem na nią; byłem już dobrze zmęczony a to dobrze świadczy na jej korzyść; niewiele kobiet potrafi człowieka zmęczyć przy czterdziestu stopniach upału, a w dodatku człowieka, który porządnie nie jadł od dwóch miesięcy.

— Chamsin idzie — powiedziała do mnie Ewa.

Wstałem; okręciłem się prześcieradłem i podszedłem do okna. Rzeczywiście: morze ściemniało a zakurzone drzewa na ulicy były nieruchome, jak z gipsu: drzewa i ich cienie; wszystko zamierało. Ludzie przemykali pośpiesznie starając się przechodzić pod niskimi markizami sklepów.

— To może potrwać i pięć dni — powiedziałem.

Patrząc przed siebie, w ulicę, Ewa powiedziała:

— Jedź ze mną do Jerozolimy.

— Nie.

— Zdechniesz tutaj.

— Nie. Nie zdechnę.

Wróciła na łóżko. Położyła się i założyła ręce pod głowę. Zamknąłem okno; podobno tak lepiej, kiedy chamsin nadciąga. Lepiej, ale też można zwariować. Raz jeszcze spojrzałem na ulicę; stąd, z czwartego piętra czułem ciepło asfaltu.

— Nigdy jeszcze nie byliśmy w tym pokoju — powiedziałem. — Dlaczego nie powiedziałaś portierowi, żeby nam dał nasz zwykły pokój na pierwszym piętrze?

— Ach — powiedziała. — Tam naprzeciwko mieszka taka stara panna. Wiesz: nieśmiała entuzjastka życia płciowego. Ja tam nie lubię nikomu sprawiać radości za darmo.

— Tu jest ładniej — powiedziałem. — Widać połowę miasta. I morze. I Jaffę.

— W Jerozolimie jest jeszcze ładniej — powiedziała Ewa. — A o dwunastej w południe słychać jak z meczetu zwołują wiernych na modlitwę. Nagle zmieniła ton. — Ale ty nie chcesz jechać, co? Nie ma o czym mówić?

— Nie — powiedziałem.

— Boisz się żyć z kurwą — powiedziała — bo ci się zdaje, że możesz kiedyś mieć coś lepszego. Ale to nieprawda. Nie będziesz miał innej. Wszystkie są kurwami i wy wszyscy jesteście klientami. To jest miłość. Ale ty nie będziesz klientem. Będziesz alfonsem. A zresztą co ci za różnica.

One wszystkie czują się w obowiązku wypowiedania swoich myśli w sposób najbardziej ponury, nie rozumiejąc, że nikogo to nie interesuje. Mózgi ich pozostają dziewicze; to tak, jak by los chciał im zrekompresować coś nie coś. Zauważyłem także, że lubią strasznie mówić o śmierci i pogrzebach; i są przekorne

jak dzieci w tym myśleniu o śmierci, o swoim ciele spoczywającym wśród kwiatów, i o łzach koleżanek.

— Potrzeba mi trzysta funtów, Ewa — powiedziałem. — Pożycz mi, albo daj. Grisza ma dziecko i żonę. Chodzi o dziecko.

— Ładna jest żona Griszy? — zapytała mnie Ewa.

— Bo ja wiem? Chyba ładna.

— No to przyprowadź ją jutro razem z Griszą — powiedziała. — I niech się trochę lepiej ubierze. A wieczorem będziecie mieli trzysta funtów. Ja jej pomogę. Mnie też pierwszy raz pomogła taka jedna jak ja.

— Jeśli mnie kochasz — zacząłem.

— Dam ci w Jerozolimie — powiedziała. — Nie trzysta. Trzy tysiące. Może nawet więcej. Będiesz sobie w dzień chodził pływać a wieczorem pójdziemy się bawić we dwójkę. Ale w Jerozolimie.

— Grisza by ją zabił — powiedziałem.

— Ale na mnie to się Grisza zgodzi, co? On jest twoim dobrym przyjacielem: on się nawet nie zapyta skąd masz, żeby cię nie urazić. On kocha swoją żonę, ty kochasz mnie — cóż to dla ciebie za różnica.

— Bierzesz mnie na dietę, Ewa, co? — powiedziałem.

— Kocham cię — powiedziała. — Kurwy też kochają. Zapytaj się żony Griszy jak nie wierzysz.

No i już, takie one są. Jeśli się przy czymś uprą, to nie ma na to ratunku. Dla nich życie to prawdziwy dramat, one się nie nudzą.

— To już nie mówmy o tym — powiedziałem. Leżałem koło niej; znów ogarniało mnie gorąco i z całej siły starałem się zapomnieć o tym tłustym, spoconym i cierpliwym człowieku, który na nią czekał. — Jestem twoim pierwszym — powiedziałem cicho. A ponieważ nie odpowiedziała, krzyknąłem prawie: — Pierwszym. Pierwszym, jakiego miałaś. Pierwszym w twoim życiu.

Milczała; z całej siły uderzyłem ją w twarz raz i drugi, a wtedy powiedziała:

— Tak.

Potem Ewa odeszła a ja zdrzemnąłem się trochę. Obudził mnie głos zza ściany; to jakiś pobożny człowiek modlił się głośno. Leżałem w milczeniu i starałem się zrozumieć jego słowa. Musiał być to stary człowiek; słyszałem, że modlitwa go męczy, często brakowało mu słów. Było w tym coś strasznego i coś naprawdę wzniosłego; i leżąc bez ruchu wiedziałem już, że nie zapomnę tego dnia i tej modlitwy zza ściany, głosu starego człowieka, którego nigdy nie widziałem i nie zobaczę. Na dworze

musiało być okropnie: czułem teraz chamsin i tutaj, w pokoju; brakło mi tchu a moje serce waliło ciężko. Niebo ściemniało a morze było nieruchome jak stal. Wszyscy byli zmęczeni i pełni rozpaczy; wszyscy którzy przyjechali tutaj i ci, którzy się tutaj urodzili. Nie było dla nikogo wyjątku: ciemność i gorąc położyły się nad tym krajem; nad jego morzem i pustynią. Zdarzało się, że umierały zwierzęta i ptaki; ludzie umierali prawie zawsze. Zасыpiając znowu, pomyślałem sobie, iż właśnie w taki dzień umierał Jezus. Nawet tego nie oszczędziło mu niebo; więc może On jeden, jeden jedyny przeszedł swoją drogę naprawdę aż do końca. Nie miałem już nic, ani niczego, ani nikogo; ale mogłem przynajmniej o tym myśleć leżąc tutaj, na tym łóżku w tym dusznym pokoju, do którego dobijał się już parę razy portier ponieważ potrzebował go dla innych mężczyzn i innych kobiet; i byłem szczęśliwy, że mogłem o Nim myśleć w dzień śmierci Jego. Nikt mi nie mógł tego zabronić. Nikt. Ani mnie, ani nikomu innemu; gdziekolwiek bym poszedł i czymkolwiek bym został. I dlatego wszystko przemienie prócz oblicza Jego.

I znowu następnego dnia rano Grisza uparł się, żeby iść do autobusu aż do Haifskiej szosy.

— Ale ten pies, Grisza — powiedziałem. — Przecież ty wiesz, jak to ze mną jest. Rzuci się na człowieka takie bydlę i koniec. Ty będziesz się śmiał, ale ja mam dosyć curesów.

— Ej, tam, pies — powiedział. — Po pierwsze nic ci nie zrobił. Wstyd w ogóle mówić takie głupstwa. Ja tam lubię przejść się rano.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście go nie będzie, a wczoraj to tylko przypadkiem się tam napatoczył. Ale był: stał na środku drogi dokładnie o tej samej godzinie co wczoraj, zupełnie jakbyśmy się przedtem umówili telefonicznie. Chciałem skrócić w bok, ale zobaczył mnie. Przybiegł w podskokach; stanął na tylnych łapach i położył mi swoje ciężkie pazury na ramionach. Sam już nie wiedziałem co robić; zdobyłem się na odwagę i poczochałem go po brzuchu. To mu się spodobało; zawarczał radośnie; polizał mnie tym swoim ognistym jęzorem; a potem poszedł za nami do autobusu.

— Wiesz co Grisza — powiedziałem. — Zdaje się, że ten pies mnie lubi. On jeden wśród miliarda psów. To dobry znak dla nas.

— Nie taki dobry, jak ci się zdaje — powiedział.

— Dlaczego?

— Swołocz pies — powiedział leniwie Grisza. Uśmiechnął się krzywo. — Najwięcej to mi żal szakali — powiedział.

— Czemu?

— Bo one nigdy się stąd nie wydostaną — rzekł. Pogroził psu pięścią. — A on stąd wyjedzie — powiedział. — I zawsze będzie mu dobrze.

— Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać? — zapytałem; tego dnia, po raz pierwszy pomyślałem sobie, że Grisza zwariował. — Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać i skąd ty wiesz takie rzeczy?

— Wiem — powiedział Grisza ponuro.

W urzędzie pośrednictwa pracy powiedzieli Griszy, że jeszcze nic dla niego nie mają, ale żeby się nie niepokoił. Potem znowu poszliśmy w kierunku morza i umówiliśmy się na autobus o szóstej. Wziąłem od Griszy parę papierosów i poszedłem szukać Ewy. Nie było jej w kawiarni; ten mój kelner przyniósł mi butelkę piwa i odszedł. Nie upłynęło nawet pięć minut jak poszedł do mnie jakiś.

— Chciałem z tobą porozmawiać, kolego — powiedział.

Usiadł; wiedziałem od razu z kim będę mówił. Musiał mieć swoje dziewczyny; i musiał się już tym trudnić od wielu lat. Nauczyłem się już ich poznawać i nigdy nie dam się oszukać, nawet gdyby któryś z nich podszedł do mnie w szatach kardynała. Oni mówią tonem jakiejś zawodowej dyskrecji; przy tym przylepiają się człowiekowi do twarzy.

— Ewa to twoja pani — powiedział. — Co? Chodzi dla ciebie?

— Może i tak — powiedziałem. — Ale o co chodzi?

— Jest interes — powiedział. — Można zarobić ładne parę groszy. A ty przecież potrzebujesz pieniędzy, kochanie.

Już wiedziałem o co chodzi; roześmiałem się.

— Chcesz, żebym wpakował Ewę na trochę — powiedziałem. — Tak?

— Właśnie — powiedział. — Ewa mieszka w Jerozolimie. Niech ona chodzi w miasto tam, gdzie mieszka. To nie sztuka pojechać autobusem do Tel-Awivu i tak łapać gości, bo każdemu wolno się zakochać i pójść do hotelu z dziewczyną. Nie?

— Tak — powiedziałem. — Ale ja już jestem w tym wieku, że dla mnie najprzyjemniejsza część gry miłosnej to żarcie. Możesz ze mną nie mówić na ten temat.

— Właśnie — powiedział jakby nie słysząc zupełnie tego co mówię. — I do takiej dziewczyny trudno się przyczepić. A potem ona wraca sobie spokojnie do Jerozolimy, tam, gdzie nikt nie wie albo mało kto i udaje porządną. Ale co mają robić nasze dziewczyny? Te, co chodzą tutaj?

— Cholera mi do waszych dziewczyn — powiedziałem. — Na tym świecie wszyscy chcą się różnić. Starczy i dla waszych.

— To nie tak — powiedział. — To nie ładnie, że tak myślisz, kochanie. Ty na przykład w zeszłym roku pracowałeś przez pięć miesięcy na budowie bez pozwolenia pracy i nikt cię nie ruszył, chociaż wszyscy wiedzieli. Dlaczego przestałeś tam pracować?

Wyciągnąłem do niego swoją prawą dłoń; w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku trafiła mnie kula zabierając kawałek kości a potem, w tym samym miejscu złamałem ją. Nie mogłem zacisnąć pięści; nie mogłem dźwigać niczego ciężkiego; a teraz on trzymał moją dłoń w swojej mocnej, gorącej ręce i oglądał ją uważnie.

— Musisz postarać się o lekką pracę — powiedział.

— Dziękuję ci, że to mówisz — rzekłem.

— Pomogę ci — powiedział.

— Ewa mi pomoże — rzekłem. A wasze będą miały przez ten czas okazję żeby zeszkrobać sobie odciski z tyłków.

Położył mi rękę na ramieniu.

— Ewa jest jak każda z nich — powiedział. — Jak one wszystkie, kiedy zaczynają. — Jej się zdaje, że pewnego dnia znajdzie frajera, który się z nią ożeni; wezmą tę forszę, którą ona wytyłkowała i zapomną. Ale przecież ty nie jesteś tym frajerem, nie? Ty się z nią nie ożenisz, nie będziesz z nią razem żył, a jeśli nie, to grosza od niej nie zobaczysz. To nie jest interes dla ciebie. Zostaw to. — Znow położył mi rękę na ramieniu. — Nikt nie jest alfonsem z przyjemności — powiedział. — Ale jak się raz człowiekowi noga powinie, to już będzie jechał na tyłku przez całe życie. Zostaw to. Ty mi załatwisz z Ewą, a ja ci dam parę funtów, to będziesz miał z czego żyć przez parę miesięcy. I zaczepisz się pomału przy jakiejś pracy. Zostaw to, proszę cię. — Patrzył na mnie ciężkimi, podpuchniętymi oczyma i uśmiechał się. — Ja ci daję tylko szanse — powiedział. — Bo jak nie ty, to kto inny. Każdy to dla mnie robi. Ale ja widzę, że tobie więcej potrzeba. Możesz się jeszcze przy czym innym zaczepić i będziesz jadł swój chleb. A Ewa tak czy tak tutaj chodzić nie będzie.

— Co jej zrobicie? — zapytałem.

— No cóż — powiedział. — Zrobimy jej. To co trzeba. Ale ty już z tego nic nie będziesz miał.

Dźwignął się ciężko; w ogóle był ciężki, opasły ale wyglądał na porządnego chłopca. Na pewno miał żonę i dziecko; i na pewno ktoś go kiedyś kopnął i już się nie pozbierał.

— Przyjdź kiedyś wieczorem — powiedział. — Napijemy się,

pobawimy się. Jak chcesz pójdziemy do kina. — I wyznał nagle bezradnie: — Bo ja lubię kino. Za kino wszystko oddam. No to przyjdź jak się namyślisz — powiedział. — Ja siedzę zawsze w tej kawiarni przy morzu — pokazał mi ręką. — Zapytaj o Ben-Ami, a jak by mnie nie było, to poczekaj trochę.

— I nie żał ci Ewy — powiedziałem, żeby go trochę podrażnić. — Taka młoda, ładna dziewczyna a ty ją chcesz wpakować do pudła. Nie żał ci jej?

Pochylił się ku mnie; poczułem jego oddech mocny od piwa i papierosów. Ale był to oddech zdrowego człowieka.

— Żał — powiedział. Żał. Więcej niż tobie. Ty przecież nie jesteś alfonsem. Dla ciebie to na raz. A dla mnie na zawsze.

Odszedł. Czekałem jeszcze godzinę albo trochę więcej, ale Ewa nie zjawiła się tego dnia. Powiedziałem kelnerowi wskazując na pustą butelkę po piwie, że żona zapłaci i kelner wykonał uspokajający ruch ręką; znaczyło to, że wszystko w lokalu jest do mojej dyspozycji. Lubiłem ten lokal; tu poznałem Ewę przed ośmioma miesiącami. Pamiętam jak dziś: siedziała przy stoliku obok grającego pudła, a ja tutaj, na tarasie. Wiedziałem, że to prostytutka ale strasznie mi się podobała. Nie miałem w kieszeni więcej jak dwa funty, ale postanowiłem spróbować. Podeszedłem do niej.

— Chodź ze mną — powiedziałem.

— Dokąd chcesz iść?

— Nie wiem. Chyba do hotelu.

— Zapłacisz za hotel?

— Nie — powiedziałem. — Na pewno nie.

— Dlaczego — powiedziała Ewa. — Tu już tak jest, że mężczyzna płaci za hotel. Nie wiesz o tym?

— Wiem — powiedziałem. — Pewnie, że wiem. Ale ja w ogóle nie mam pieniędzy. Ja wcale nie chcę iść z tobą za pieniądze. Przecież chyba tego nie powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i wtedy po raz pierwszy dobrze zobaczyłem jej oczy; ponure jak u nocnego ptaka. Wiedziałem już przedtem, że to histeryczka; myślałem że rąbnie mnie w głowę butelką albo coś w tym stylu. Ale nic takiego się nie stało. Ona po prostu patrzyła na mnie a ja stałem i uśmiechałem się.

— A więc — powiedziała. — Na miłość?

— Tak — rzekłem. — Dokładnie tak.

— I ty mówisz to poważnie?

— Jak najbardziej — rzekłem.

Coś jakby zapaliło się w jej oczach. Wtedy myślałem, że mi się tylko tak zdaje a dziś wiem to na pewno.

— Ty wiesz co ja robię?

— Wiem.

— I nie przeszkadza ci to?

— Pewnie, że mi przeszkadza — powiedziałem. — Ale wolno mi się w kimś kochać nawet jak coś przeszkadza. Zawsze zresztą coś przeszkadza.

— Dobrze — powiedziała.

No i poszliśmy. Poszliśmy najpierw na spacer, tą drogą która prowadzi do Jaffy — spokojną ulicą gdzie zawsze młodzi żołnierze uczą się prowadzić samochód; zjedliśmy obiad w Jaffie w takim jednym barze, w którym dają dopiero co złowione ryby, a potem wróciliśmy do Tel-Awivu i Ewa zaprowadziła mnie do jednej starej wiedzmy, u której wynajmowała na dzień pokój; tam właśnie przychodzili jej klienci. Ewa poszła do pokoju a ja z wiedzumą siedziałem w kuchni i słyszeliśmy wszystko co się dzieje za ścianą. Tak mnie urządziła; myślała widocznie, że zażartowałem sobie z niej i chciała mi dać szkołę. Niewiele się tam za tą ścianą działo, ale przyjemne to nie było. Nie.

— Co pan taki chudy — powiedziała do mnie ta wiedzma.

— Co pan ma może suchoty?

— Nie — powiedziałem.

— Pan tak wygląda. Mój brat tak wyglądał. Miał osiemnaście lat i już umarł.

— Jaka szkoda — rzekłem. — Ale pani się trzyma dobrze.

— Dobrze — zawarczała. — Mam obustronną przepuklinę.

Oni mnie chcą operować, ale ja się nie daję.

— Niech się pani nie daje — powiedziałem stanowczo.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— A dlaczego nie?

Wtedy wyszła Ewa; ten gość mył się w toalecie i parskał jak koń. Pomyślałem sobie, że jak będzie jeszcze gwizdał arię torreadora to chyba nie wytrzymam i dam mu w zęby. Ewa miała na sobie nie zapięty szlafrok i wtedy po raz pierwszy ujrzałem jej nogi. Usiadła mi na kolanach.

— No i co? — powiedziała.

— Ano nic — rzekłem. — Tak sobie gawędzimy z tą panią.

— Pocałuj mnie — powiedziała cicho; a ten gość wciąż jeszcze parskał w toalecie. Pocałowałem ją; lecz oczy jej były otwarte, cały czas otwarte i miałem takie wrażenie, jakby ktoś oglądał twarz moją przez mikroskop.

Potem przyszedł następny; znowu targowali się za ścianą; i słyszałem jak Ewa mówiła specjalnie głośno, aby i ja mógł to słyszeć. Ona proponowała mu, żeby poszedł do własnej matki a on płaczącym głosem upierał się przy dwudziestu pięciu funtach. Wreszcie się zgodzili.

— Pan to chyba nie silny — powiedziała starucha mierząc mnie pogardliwym spojrzeniem. — Chory pan chyba też, tylko pan nie chce powiedzieć. Już ja to widzę.

— Gdzie pani to widzi?

— Ano tak — powiedziała. — Po wszystkim. Z moim bratem też tak było. Nawet pan podobny.

— Ach mój Boże — powiedziałem. — To straszne. Ale wtedy nie było lekarstw.

— Co tam lekarstwa — powiedziała. — Ja mam przepuklinę, to i lekarstwa nie pomagają.

— Niech pani się zoperuje.

— Co tam operacja — zawarczała znowu. — Mam siedemdziesiąt lat. Niedługo umrę.

— Ach Boże — przeraziłem się. — Niech że pani nie mówi takich rzeczy. To straszne.

Tamci za ścianą skończyli i Ewa znów wyszła do mnie. Tym razem pocałowałem ją sam; i tym razem zamknęła już oczy. Ta starucha poszła zmienić prześcieradło i słyszałem jak wymyśla temu nieznanemu mężczyźnie, a on tymczasem łąził na rękach po pokoju szukając czegoś co mu wypadło.

— No — powiedziała Ewa. — Kochasz mnie?

— Pewnie — powiedziałem. — Jak będziesz chciała, to z tym skończysz.

— I ty możesz to wytrzymać?

— Nawet nie wiesz, ile można wytrzymać — powiedziałem. Słyszałem coś takiego poprzedniego dnia na kowbojskim filmie z Allanem Ladd'em. Ponuro wbiłem wzrok w maselniczkę stojącą na stole i jeszcze raz powtórzyłem: — Nikt nie wie, ile można wytrzymać.

Potem znów siedziałem z tą wiedzumą, a ona opowiadała mi o tym, że już przed pięcioma laty wycięli jej pół żołądka, czy nawet trzy ćwierci i że ona musi często chodzić to toalety, a goście Ewy przeszkadzają jej w tym i że „co oni tam robią”. Mógłbym jej łatwo na to odpowiedzieć; i właściwie do dzisiaj nie wiem, dlaczego jej tego nie wytłumaczyłem. A potem ten trzeci poszedł i Ewa znów wyszła. Tym razem nie chciała abym ją całował. Zaczęła płakać; zsunęła się z moich kolan i płakała leżąc na podłodze; i nigdy przedtem ani potem nie słyszałem już takiego płaczu. Tak płakaliby chyba tylko umarli, którym przyszyłoby zmartwychwstać i żyć po raz drugi. Ta stara znów zmieniła prześcieradła a Ewa wciąż jeszcze płakała leżąc nago na kamiennej posadzce. Patrzyłem na zegar; minęła godzina, potem druga. Wreszcie Ewa powiedziała do mnie:

— Nigdy nie myślałam, że będziesz mógł to wytrzymać. Nigdy.

Podniosłem ją i jakoś tam otarłem jej twarz. Ja też przedtem nigdy nie myślałem, że tyle można wytrzymać; Chryste Panie, nigdy nie myślałem, że jestem taki dzielny i że tak wiele cudzego nieszczęścia potrafię znieść.

Popatrzyłem na pustą butelkę po piwie, machnąłem kelnerowi ręką i poszedłem nad morze. Nie znalazłem tam Griszy; stary Rosjanin który miał tam kiosk powiedział mi, że Grisza poszedł już, ale jeszcze wróci. Rozebrałem się i położyłem na piasku; było gorąco, chamsin trwał już drugi dzień, fale nie podływały pod betonowe nadbrzeże — tak, jak działo się to zazwyczaj o tej porze roku. Ludzie pochowali się do domów; nikt się prawie nie kąpał — tylko ja i jeszcze paru turystów, którzy nie dawali za wygraną i leżeli bezwładnie w piekielnym słońcu przykrywszy głowy płachtami „New York Herald Tribune” i „Jewish Chronicle”. Nie lubiłem ich; byli wrzaskliwi i natarczywi; wyglądali śmiesznie w swoich ubraniach z tropiku przy ludziach urodzonych tutaj: pięknych kobietach i mężczyznach o atletycznej budowie, poważnych i skromnych, którzy pracowali ciężko, potrafili się bawić jak dzieci, i umierali w milczeniu na wszystkich granicach Izraela. Patrząc na tych i tamtych, trudno było uwierzyć, że należeli do jednego narodu. Przypuszczam że ci, urodzeni tutaj, także nie bardzo w to wierzyli i nie dziwię im się. Codziennie ginęli na granicy młodzi żołnierze; ciągle o tym czytałem i słyszałem. Wierzę w to, że jeśli by kiedyś ten naród spotkało nieszczęście, to wrogowie ich weszliby do pustego kraju: bez mężczyzn, bez kobiet i bez dzieci. Ci, urodzeni tutaj mieli poczucie determinacji i tragizmu swego losu, ale nigdy o tym od nich samych nie słyszałem; i dlatego tym ciężiej było mnie, obcemu, pętać się po tym kraju bez pracy i bez świadomości tego, że nie jestem tu potrzebny w żadnej sytuacji i okoliczności; i że nikt tu na mnie nie liczy. Gdzie indziej nie myślałbym wcale o tym.

Grisza przyszedł około trzeciej; rozebrał się i skoczył do wody — jemu jednemu chciało się pływać w taki dzień, kiedy człowiek godzinę myślał nad tym, czy warto się przewrócić z jednego boku na drugi. Nie widziałem nigdy silniejszego chłopca od Griszy: był szczupły, prawie chudy, ale jak z żelaza. Ciężko byłoby go dobić; chyba tak jak z kotem; a przecież wczoraj, pomyślałem sobie, tamten sponiewierał nas jak chciał. Grisza wyszedł z morza, błyszczący od wody, z dymiącą głową i położył się obok mnie.

— Napiłbyś się? — zapytał.

— Pewno, że bym się napił — powiedziałem. — Ale zjadłbym coś przedtem.

— To nie wchodzi niestety w rachubę — powiedział Grisza. — Mogę wykombinować od tego starego z kiosku butelkę koniaku. Ale do jedzenia tam nic nie ma. Zresztą po co ci jeść? Będziesz szybciej pijany, kiedy rąbniesz sobie na czczo. U nas, w Odessie chłopcy pili czasami wódkę z gorącą zupą, żeby się szybciej zaprawić.

— U was w Odessie — powiedziałem. — Spróbuj.

Podniósł się; ja dalej leżałem w ciepłym piasku, nawet nie spojrziałem za nim. Słyszałem tylko ich głosy. Grisza zaczynał z bardzo daleka, jak człowiek wyspecjalizowany w pożyczkach; jak wybitny artysta, który wierzy sobie i temu, że w swoim dziele będzie miał wiele do powiedzenia — eksponował temat, powoli i wytwornie.

— Gorąco dzisiaj — mówił Grisza.

— Ano, gorąco — potwierdził stary.

— Ale u nas w Odessie-mamie też i tak bywało — mówił Grisza. Bo ten stary też był z Odessy.

— Czto-że ty — oburzył się stary. — Gdzieś ty widział coś takiego? Oddechu złapać nie można.

— Pić się chce — delikatnie poddał Grisza.

— A tam, pić — powiedział stary. — Lepiej nie pić w chamsin. Wypijesz szklankę, dwie; zaczniesz — a potem skończyć nie można. Zdrowia szkoda, mówię ci.

— Dajcie butelkę, zapłacę wam w tygodniu.

— O, nie — powiedział stary. — Ty wiesz, Grisza jak to u mnie powiedziane: *sierioznyj szcrot* — *haroszaja družba*. U mnie na kredyt nic nie ma.

— Zmienili was tutaj, wuju — mówił z goryczą Grisza. — Was by już ludzie nie poznali w Odessie.

Zamknąłem oczy, przestałem słuchać; znałem zresztą ich teksty. Zawsze kończyło się na jednym: stary wybuchał straszliwymi przekleństwami i dawał Griszy na kredyt. Kląć to oni potrafili obydwoj i wypowiadali swoje teksty z namaszczeniem, z powagą, nie przerywając jeden drugiemu, niby dwaj wytrawni aktorzy w teatrze. Rosjanie mają poczucie własnej malowniczości i to jest w nich piękne.

Potem Grisza położył się koło mnie i nalał w szklanki. Stary krzyczał jeszcze z kiosku, że to grzech oszukiwać swojego ziomka a potem zamilkł. Koniak przeszedł przez moje gardło jak ogień; wdrygnąłem się, ale następna szklanka poszła już lepiej. Teraz

nie chodziło już o nic: spokój był we mnie i spokój był wokół mnie; nieruchome morze, przydymione słońce i nieruchomy cień palm z nadbrzeża; nie istniało nic poza bezwładem i udawką tej ziemi palonej słońcem i nie chronionej ani odrobiną wiatru.

— Ten chamsin może potrwać i pięć dni — powiedziałem do Griszy. — Tak mi to jakoś wygląda.

— Kiedyś było już osiem.

— No i co?

— Nic — powiedział. — Przetrzymano się. Zresztą nad morzem nie jest jeszcze tak strasznie.

— Nie — powiedziałem. — Są ludzie, którzy go podobno nie czują.

— Nie bój się, poczną — powiedział Grisza. — Pobędą tu przez parę lat, to poczną. Ja też z początku nie czułem. Z każdym tak. Do tego się człowiek nigdy nie przyzwyczaja.

— On umarł właśnie w taki dzień — rzekłem patrząc na słońce skryte poza mgłą.

— Kto?

— On.

Wypiliśmy znowu; ci poprzykrywani płachtami „New York Herald Tribune” i „Jewish Chronicle” patrzyli na nas ze zgorzaniem: nie pasowało im to do obrazu, który przywieźli tutaj w swoich sercach. Grisza zauważył to: wyszczerzywszy zęby machał do nich ręką zapraszając do butelki, ale oni udawali, iż go nie dostrzegają: leżeli na swoich leżakach biali i drętwi, niby ryby wyrzucone przyplywem, i cierpieli w słońcu.

— Pamiętasz „Małpiego kapitana”? — zapytał mnie nagle Grisza.

— Pewnie, że pamiętam — powiedziałem. — Poznaliśmy go przecież w Ejlacie.

— A jego statek pamiętasz?

— Pamiętam. To była taka spacerowa trumna, na której pojechał po małpy do Abisynii, czy gdzie tam. No więc? Co z nim?

— Nic — powiedział Grisza. — Pytałem się dzisiaj o niego. Przepadł razem ze swoim statkiem.

— A małpy? — zapytałem leniwie. — Małpy też przepadły?

Wiedziałem, że miał przywieźć te małpy ale nie mogłem sobie przypomnieć po co. Zdaje się, że dla jakichś doświadczeń czy coś w tym rodzaju. W każdym razie, było to malownicze.

— Nie wiadomo w ogóle czy dojechał — powiedział Grisza.

— Na pewno dojechał — rzekłem.

— Skąd wiesz?

— Wiem — powiedziałem. — I zabrał te małpy. Dopiero

w powrotnej drodze rozpieprzył się razem ze swoim statkiem. A teraz wiosłuje sam z powrotem. Ale nie tak bardzo sam. Ura- tował bowiem ładunek. I teraz płynie sam z małpami, bo miał za to obiecaną forszę a małpy robią mu tysiące psikusów. Ale on nie daje za wygraną. Jest z nimi sam na sam wobec wieczności. I płynie. Tylko mu się klepki poprzesuwały w mózdku i od czasu do czasu czuje jak mu ogon rośnie. Ale nie daje się losowi. Taki powinien być człowiek.

— Słuchaj — powiedział nagle Grisza. — Ty nie sprzedałeś spluwy?

— Nie.

O szóstej wracaliśmy do domu przez nasze pole; i naturalnie ten staruszek dreptał koło nas — ten, który miał siostrzeńca Billy'ego w Stanach. Opowiadał nam jak Billy zaczynał: od biedy, z niczego, nie mając na kawałek chleba a dzisiaj jest kimś, z którym każdy musi się liczyć. Billy przysłał mu swoje najnowsze zdjęcie i stary pokazał je mnie i Griszy: Billy siedział upozowany jak „Myśliciel” Rodin'a i tłusty podbródek przepływał mu fałdą między palcami. Na dworze było czterdzieści pięć stopni i pomyślałem sobie, że dużo bym dał za to, żeby w taki dzień spotkać Billy'ego i strzelić go w pysk bez żadnych wyjaśnień. Wtedy właśnie to wielkie auto przejechało tuż obok pokrywając nas rdzawym kurzem.

— To on — powiedział Grisza.

— Jesteś pewien? — zapytałem głupawo.

Nie odpowiedział mi; miał prawo mi nie odpowiadać — w piekle poznałbym ten samochód: wielki, amerykański „White” o dziesięciu kołach i jego kierowcę, który zawsze w czasie jazdy wysuwał nonszalancko nogę w sandale. Oczy Griszy zwięzły się jeszcze bardziej, twarz mu skrzepła; milczeliśmy nawet ten stary się przymknął; tylko psy szły półkolem za mną jak zwykle — najeżone, warczące cicho i nieprzerwanie, pełne sobie tylko wiadomej nienawiści.

Weszliśmy do baraku; Lena stała przy kuchni a mała Lena siedziała na łóżku trzymając w jednej ręce bułkę z kiełbasą a w drugiej tabliczkę czekolady. Grisza nic jeszcze nie powiedział; spojrzął tylko na Lenę i ona od razu zrozumiała.

— Przyniósł dziecku czekoladę — powiedziała. — I coś do zjedzenia. Miałam może nie wziąć?

Grisza podszedł do małej; delikatnie wziął z jej rąk czekoladę i bułkę. Mała Lena rozbeczała się od razu.

— Idź, przejdź się z dzieckiem powiedział do mnie.

Stałem niezdecydowany. Widziałem twarz Leny i jej błagalne spojrzenie; myślała, że wszystko zależy ode mnie.

— Idź, przejdź się z dzieckiem — powtórzył cicho Grisza. Podszedł do mnie i uderzył mnie lekko w pierś. — Przecież powinieneś wiedzieć, że nie samym chlebem człowiek żyje — powiedział. — Ty, katolik.

Popatrzyłem na niego, ale on mnie nie dostrzegał. Wziąłem małą na ręce i wyszedłem. Zeszliśmy nad morze, ale i tu także było pusto. Ta mała Lena ważyła już coś niecoś i było mi trochę ciężko i niewygodnie: postawiłem ją ostrożnie na piasku.

— No, Lena — powiedziałem. — Zrób sobie jakiś zamek z piasku. Albo dom.

— Nie chcę — powiedziała płacząco. — Chcę do domu.

— Ej, tam, do domu — powiedziałem. — Taka duża panna. Przejdziemy się trochę.

— Do domu — powtórzyła uparcie.

Nie miałem jej czym zabawić; gdybym miał forszę, to mógłbym jej przynajmniej kupić lody albo coś w tym rodzaju. Rozglądałem się bezradnie a nagle pewna myśl wpadła mi do głowy.

— Chodź, Lena — powiedziałem. — Pokażę ci psa.

— Nie chcę psa.

— Ale on jest wielki jak niedźwiedź — powiedziałem. — Jak Michajło Michajłowicz. Bo on jest naprawdę niedźwiedziem. Tylko wygląda tak trochę jak pies. Chcesz?

— Niedźwiedzia chcę — powiedziała mała Lena.

— No to chodź.

Wziąłem jej małą łapkę i poszliśmy brzegiem morza. Piasek chrząścił pod naszymi stopami; przeszliśmy obok łodzi rybackich, niedbale zabezpieczonych, i sieci porzuconych przez nich — im także było dość chamsinu. Spojrzałem na niebo; nic nie wskazywało na to, że chamsin przejdzie do jutra, złamie się — jak mówili tutejsi. Niebo było jak przydymione, ciemne i morze leżało martwe, bezszelstne, niby na zawsze pokonane. Przypomniałem sobie nagle, że kiedyś pewna kobieta powiedziała do mnie: chciałabym być jak morze, żyć wiecznie. Ona mogła tak myśleć; ona, której tu nigdy nie było.

— Daleko jeszcze? — zapytała mała Lena.

— Już blisko — powiedziałem. — Nie wstyd ci pytać? Twój tata jest lotnikiem: pomyśl ile on w życiu kilometrów przeleciał.

— Ale już nie lata — powiedziała chytrze.

— No to będzie latał.

— Kiedy?

Ścisnąłem jej rączkę.

— Sama go o to zapytaj — powiedziałem.

Znów szliśmy wśród szeregu domków, w których powinny

mieszkać lalki. Zobaczyłem go; zobaczyliśmy się nawzajem w jednej chwili. Podbiegł do mnie a właściwie skoczył potężnym susem, jakby go wystrzelono z katapulty. Mało by brakowało a przewróciłby mnie; ledwo się zdążyłem zaprzeć nogami w ziemię.

— To właśnie on — powiedziałem. — Michajło Michajłowicz.

— Jaki wielki — powiedziała.

— No pewnie — rzekłem. — To niedźwiedź. — Wziąłem w ręce jego gorący łeb i powiedziałem mu cicho: — Ty jesteś jedynym psem, który mnie lubi, co? Ty, jeden jedyny. O nie myśl, broń Boże, że jestem pijany. Wypiłem trochę z Griszą, ale to nic nie znaczy. Jak będę miał kiedyś forszę, to przyjdę tutaj i ukradnę cię. I zwiejemy stąd razem; i zostaniesz już na zawsze ze mną.

— Co ty mu mówisz? — zapytała mała Lena.

— Tak sobie trochę gadamy — powiedziałem. Usiadłem pod płotem i zapaliłem; jednego, potem drugiego. Patrzyłem jak mała Lena bawi się z Michajłem Michajłowiczem usiłując przewrócić go na ziemię, na co on się łaskawie zgadzał, i przysięgłem sobie, że go kiedyś ukradnę. I będę go taszczył ze sobą z jednego końca świata na drugi, choć bym sam nie miał co żryć: to wielkie, kudłate i gorące cielsko, które okazało mi tyle przychylności. A potem wróciliśmy do domu; Grisza siedział już pod barakiem i palił.

— No i jak Grisza — powiedziałem. — Pogodziliście się?

— Nie — powiedział.

— Noc was pogodzi.

— Może. Idź, zobacz jak tam z nią.

Wszedłem do baraku; Lena leżała na łóżku. Nigdy się między nich nie mieszałem, ale tym razem za bardzo ją skatował. Twarz jej była sina, obrzmiała. On to umiał: owijał jej włosy dookoła swojej pięści, tak, że się ruszyć z bólu nie mogła, a drugą ręką walił ją nie odzywając się przy tym ani słowem. Odwróciła się powoli ku mnie.

— I za co — powiedziała. — Za to, że wzięłam coś dla dziecka. Przecież nie dla siebie.

Stałem w milczeniu i patrzyłem na nią; w kącie poniewierała się rozdeptana tabliczka czekolady. Schyliłem się bezwiednie i podniosłem ją. Potem znów popatrzyłem na jej zapłakaną, zbitą twarz.

— Wszystko będzie dobrze, Lena — powiedziałem.

— Zbyt długo to mówisz. Ty i Grisza.

— Będzie dobrze — powiedziałem patrząc na lepką masę trzymaną w ręce. Bo już wiedziałem, że musi się tak stać. Pod-

szedłem do niej i wyciągnąłem rękę; chciałem ją pogłaskać ale rzuciła się w kąt łóżka jak pies uciekający przed kijem: bała się mnie. Więc wiedziałem już, że tak musi być. Wyszedłem przed barak i usiadłem obok Griszy. Wciąż jeszcze trzymałem tę przekłętą czekoladę w ręce i nie wiem dlaczego, głupio było mi ją wyrzucić. Człowiek czasem bywa dziwny dla samego siebie i to jest niedobrze.

— Mnie tam diabli to tego — powiedziałem. — Ale to za bardzo, Grisza. Nie wzięła przecież dla siebie. Każda matka by wzięła. A że facet się do niej przywala, to co innego. Porachujemy się jeszcze z nim. Lena to ładna kobieta, Grisza. Mnie się też podoba.

Podniósł się nagle; stanął przede mną ciemny i wysoki; twarz jego nie widziałem w mroku.

— Słuchaj serce — powiedział cicho. — Niech Lena sama je to, co dostaje od tego faceta, który się do niej od dwóch miesięcy przywala. Niech je i niech jej to pójdzie na zdrowie. Ale niech nie daje tego mojemu dziecku. To ja już wolę, żeby moje dziecko głodowało. — Milczał chwilę, potem powiedział: — Bo ja tego kraju nie opuszczę, nawet żebym miał tutaj umrzeć bez pochowania. Nie wiem jak ty: tyś nie Żyd i możesz stąd wyjechać. Ale ja jestem Żydem i tu zostanę. I codziennie będę próbował od początku, dopóki czegoś nie znajdę i nie urządzę się. I to nie chodzi o to, że jest mi ciężko, bo ciężko tu było każdemu, a jeśli nie każdemu to na pewno takim jak ja. Ale dla mnie nie ma stąd drogi, bo jeśli pójdę stąd, to już nigdy nie odpocznę i nigdy nie będę mógł sobie powiedzieć, że zrobię coś jutro. Bo to będzie już za dużo. Bo naprawdę, to jest tylko tak jak w modlitwie. Wiesz?

— Wiem — powiedziałem. — Jeden jest Bóg i jedna ziemia. — Uczułem w swojej ręce coś obrzydliwego i lepkiego. Była to czekolada; odrzuciłem ją.

— I to już wszystko — powiedział Grisza.

— Tak — powiedziałem. — To już wszystko. Ale kobiety...

— Co kobiety — przerwał mi Grisza. — Może ona myślała wtedy, kiedy wychodziła za mnie za męża, że ja Żyd i potrafię robić interesy? Co mnie to obchodzi? Ja stąd nie wyjadę.

— Nie — powiedziałem. — Nie wyjedziesz stąd, Grisza. I niedługo już coś znajdziemy. Zobaczysz.

— Pewnie — powiedział. — Pójdiesz się wykapać?

— Pójdę — rzekłem. — Co bym miał nie iść?

Rozebraliśmy się do naga i poszliśmy w morze. Nikt nas nie mógł zobaczyć; ludzie spali już lub starali się usnąć ciężko łapiąc powietrze, którego nie było, którego brakowało; tak, jakby Bóg

raz jeszcze chciał wypróbować swoją ziemię i ludzi tu żyjących. Czułem jak pot spływa po mnie, jak drażni moją skórę; i здавало mi się, że czułem go jeszcze w wodzie, kiedy płynąłem już obok Griszy: w ciemności i w wodzie nie przynoszącej ukojenia. Kończył się drugi dzień chamsinu.

Zobaczyłem go od razu; siedział pijąc to samo piwo, które ja zawsze zamawiałem u tego kelnera, który mnie tak wielbił bezinteresownie. Pił je wygodnie rozparty, ubrany w czystą, białą koszulę której rękawy ktoś mu popodwijał: starannie i z dbałością. Usiadłem koło niego a on pytał:

— Czego się napijesz?

— Piwa — powiedziałem. — To samo co ty.

— Dobrze — powiedział. I do kelnera: — Gold Star.

Wtedy coś mi strzeliło do głowy.

— Nie — powiedziałem. — Chcę sody. Sody z koniakiem.

Pozwolił mi wypić, czekał. Najgorsze to to, że go lubiłem. Nic na to nie mogłem poradzić i czułem się wstrętne. Znałem facetów, którzy przyjaźnili się gorąco z kochankami własnych żon; teraz ich rozumiałem. Tak samo i z tym; ja nawet myślę, że ze wszystkich Apostołów Judasz najbardziej kochał Chrystusa, a że Go sprzedał, to już zupełnie inna historia, ale wierzył w Niego najbardziej ze wszystkich. Najgorsze jest chyba to, że z biegiem życia dochodzi się do zupełnej prostoty; tylko że już niebardzo jest wtedy po co żyć.

— No więc? — powiedział.

— Jak to załatwimy?

— A tak właśnie.

Wyciągnął z portfela wąski, złoty zegarek z bransoletką. Położył go przed sobą na stole.

— Pójdziesz z Ewą do hotelu — powiedział. — Jak już się rozbierzecie, pošlesz ją po szklankę wody. Albo poczekasz, jak ona pójdzie...

— Wiesz co — powiedziałem. — Do mnie kiedyś jedna właścicielka pensjonatu w Berlinie powiedziała, że mężczyzna, który nie odlewa się do umywalni nic nie jest wart w jej oczach. Teraz widzę, że miała rację. Ze mną by się ten żart nie udał. Ja zawsze uważam na takie rzeczy.

— Rób tak zawsze — powiedział. — No, dalej. To wam zajmie jakąś godzinę, może półtorej. — Spojrzał na zegarek. — A do wpół do drugiej, do drugiej będziesz miał policję.

— Policję? — zdumiałem się. Powiedziałem to takim tonem, jak bym nigdy nie oczekiwał tego słowa. A zawsze wyda-

wało mi się, że mimo wszystko najciężej przychodzi w życiu udawanie idioty.

— Policję — powiedział. — Oni tam przyjdą na kontrolę a chyba policjantowi wolno wziąć do ręki torebkę prostytutki? Policjantowi, który mniej więcej wie, co zostało skradzione na jego rewirze; on to ma wszystko zapisane w swojej książeczce. Bo ten zegarek został trzy dni temu skradziony takiemu jednemu, który się poszedł zabawić z dziewczynką. No więc? Wszystko jest jasne?

— Tak — powiedziałem. Wziąłem zegarek ze stołu i chciałem go schować do kieszeni. Wyjął mi go z ręki i wytarł starannie chusteczką a potem dopiero podał mi go. Chusteczkę wsunął mi do kieszeni. Potem, do tej samej kieszeni wsunął pieniądze: nie liczyłem ich, ale było na pewno więcej jak trzysta.

— No, to tak jakbyśmy załatwili — rzekł. — Chcesz się jeszcze czegoś napić?

— Tak — powiedziałem. — Chętnie.

Chciałem zostać z nim jeszcze trochę. Miałem nadzieję, że rozmyślę się: wstanę, oddam mu z powrotem pieniądze i zegarek. Piłem swój koniak patrząc na wielkie skrzydło wentylatora kręcące się niepotrzebnie; mogłeś podsunąć rękę i nie czuć nic. To był już trzeci dzień chamsinu i po raz pierwszy od czasu jak przyjechałem tutaj czułem go porządnie: nie chciało mi się nic, ani jeść, ani spać, nie wiem nawet po co piłem ten koniak. Byłem zły na Ewę, że mam jeszcze tyle do zrobienia przed wieczorem; wieczór mimo wszystko daje złudzenie odpoczynku. Byłem wściekły na nią, że muszę podnieść się od stolika i przejść na drugą ulicę: pięćset kroków w słońcu.

Dopiero później, w hotelu, leżąc obok Ewy poczułem się trochę lepiej. Ten pobożny człowiek za ścianą, którego słyszałem przed dwoma dniami, modlił się i dzisiaj. Ja nie mogłem mówić, Ewa także nie; oddychaliśmy ciężko, niby poprzez maski a on modlił się monotonna i żarliwie, tak, jakby jemu tylko jednemu dana została siła na przetrwanie tych dni. Wszystko ucichło; nie było słycać nawet głosu dzieci, które wrzeszczały zazwyczaj od rana do wieczora; nic, tylko ten stary tam za ścianą i głos modlitwy jego; nie błaganie, nie prosba; lecz tak, jakby surowo upominał się o swoje prawa i wystawiał Bogu rachunek wszystkich krzywd jego i tych, którzy przeszli już i przyjdą. Wiedziałem, że przyszedłem tu po coś, ale po co — tego nie mogłem sobie przypomnieć: w dodatku ten stary za ścianą, mieszał mi do reszty w głowie. Było mi zresztą wszystko jedno. Nie chciałem o niczym myśleć, ani niczego sobie przypominać; tak czy inaczej, nic nie było ważne w porównaniu z tym pokojem, pu-

stym prawie pokojem bez odrobiny powietrza. Patrzyłem na dach przeciwniejszej kamienicy, na którym leżał martwy ptak; spadł tam przed dwiema minutami i nie poruszył się ani odrobine; śmierć dosięgła go w locie.

Ewa wstała nagle, określiła się prześcieradłem. Zapaliła papierosa; stojąc już w drzwiach powiedziała do mnie:

— Przyniosę ci coś do picia.

Wtedy przypomniałem sobie; z rozpaczą pomyślałem, że muszę wstać z łóżka i wrzucić do jej torebki ten przeklęty zegarek. Zatoczyłem się po pokoju, zrobiłem to i z powrotem wróciłem na łóżko. Widziałem, że chustka, którą dał mi ten pocziwiec wypadła i leży na podłodze, ale za nic w świecie nie chciało mi się wstać i podnieść jej. Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak zmęczony a w dodatku będę musiał jeszcze wstać, kiedy przyjdzie policja.

Ewa wróciła po chwili; postawiła przede mną butelkę piwa. Podniosłem ją do ust rozlewając trochę.

— Pojedziesz? — zapytała.

— Pojechać — przeraziłem się. — Dokąd?

— Ze mną. Do Jerozolimy.

— Nie — powiedziałem. — Nie mówmy więcej na ten temat. — Uniosłem się na łokciu. — Skończ z tym — powiedziałem. Z przerażeniem zobaczyłem, że Ewa poczyna się ubierać. — Wyjedziemy stąd razem — powiedziałem — ale tam, gdzie nikt nas nie zna. I dopiero tam pomyślimy, co będziemy robić dalej. — Bałem się, że odejdzie a oni jeszcze ciągle nie przychodzili: może ten idiota dał im fałszywy adres — a Ewa była już w sukience. Musiałem sobie przypomnieć teraz całą literaturę świata, wszystko co napisano o miłości; a spieszyło mi się. — Nigdy nie jest za późno — powiedziałem. — Nie, nigdy. A ja nie będę o tym myślał co było, nie będę ci niczego pamiętał. Będę zawsze myślał, że jestem twoim pierwszym. Jak zawsze wtedy, kiedy idziesz ze mną.

Odwróciła się ku mnie.

— Tak nigdy nie było — powiedziała patrząc na mnie swymi ponurymi oczami. — Zawsze już ktoś był przed tobą. I dzisiaj też. Taki miły staruszek, który musi nosić suspensorium i składa je zawsze starannie na krześle. Nie daj się okłamywać tak głupio.

Zwinąłem się: trafiła celnie. Mogła mi tego zaoszczędzić. Człowiek zawsze rozumie je wtedy, kiedy odchodzą już naprawdę. Tylko tego dnia: ale ani o minutę wcześniej. Choćbyś nawet żył z jaką przez dziesięć lat czy więcej, to i tak nic z tego; one zawsze mają w kieszeni taki drobiazg, który ci wszystko zniszczy w tej właśnie chwili; tak, że zostaniesz nagi i pusty i będziesz

musiał wszystkiego się uczyć od początku, zupełnie od początku. Już one ci potrafią wyrwać ostatnie kolorowe pióro z tyłka. Ale nie miałem czasu o tym myśleć; Ewa stała przed lustrem i zapinała sukienkę.

— Dlaczego mi o tym mówisz — powiedziałem. — Po co? — Znowu zabrakło mi słów; w dodatku ten za ścianą mówił coraz głośniej. — A przecież było nam tak dobrze — powiedziałem z goryczą zerkając przy tym na zegarek. — Powiedz, że kłamałaś — krzyknąłem prawie patrząc, że sięga pod łóżko po swoje pantofle. Była za piętnaście druga.

— Dlaczego? — powiedziała. — Bo chcę ci dać te trzysta funtów, żebyś zaczął pracować. Ale nie chcę cię więcej widzieć. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej. No więc. Dam ci pieniądze, ale należy mi się przynajmniej, żebyś wiedział skąd je mam, nie?

Milczałem.

— I potem idź sobie do diabła razem z twoim Griszą — powiedziała. — Usiadła koło mnie. — Ja nie chce żadnych pięknych wspomnień — powiedziała. — I nigdy ich nie chciałam. Ty pewnie myślisz, że ja jestem nieszczęśliwa, albo że ja cierpię, ale to nieprawda. Nie.

Urwała nagle; bałem się, że może pójdzie i nie dokończy. Przypomniałem sobie nagle jakiś film z Charles Boyer'em; ten facet miał doprowadzone do perfekcji drzenie warg. Spróbowałem tak samo.

— Wiesz — powiedziała Ewa — miałam kiedyś narzeczonego, ale nie chciałam go. Puściłam się pierwszy raz z moim nauczycielem, takim starym parszywcem, który zawsze nosił wate w uszach — zimą i latem. A potem patrzyłam jak stoi przed lustrem i chusteczką do nosa wyciera sobie szminkę, tak, żeby żona nie poznała. Więc nie mów mi już niczego więcej. Przyjdź o szóstej, dam ci pieniądze. Albo lepiej poczekać tutaj.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście poczekać tutaj: gdzie się miałem włóczyć do szóstej. Nic mi nie przychodziło do głowy i z trudem uświadamiałem sobie dlaczego: bo był to trzeci dzień chamsinu i trzeciego dnia jest najgorzej; ale to już było wszystko co wiedziałem — nie mogłem złapać tchu, nie czułem własnego serca. Coś mi się błąkało po głowie, że ktoś umierał właśnie w taki dzień; w trzeci dzień chamsinu bez powietrza i wiatru: ale kto to był? Nie znałem go, nie widziałem. Zdawało mi się, że wystarczy tylko trochę pomyśleć i będę wiedział kim on był; na pewno; ale wysiłek przerażał mnie. Tak czy inaczej ten ktoś już umarł i nikt mu nic nie mógł pomóc; któż mógłby czymkolwiek pomóc w taki dzień? Myślałem tylko, że o szóstej

przyjdzie Ewa i coś mi przyniesie. Może ona, wtedy, powie mi kim on był i dlaczego umarł. I może wtedy będzie już trochę wiatru i chłodu; i może będę potrafił znowu myśleć i wiedzieć, po co tu przyszedłem i jak się nazywam; a może nawet będzie mi się chciało jeść — pójdę wtedy na róg, do arabskiej restauracji i zamówię sobie coś, co przywróci mi siły i młodość; i wtedy właśnie oni zapakali do drzwi.

Wracałem do domu przez zachodnią dzielnicę miasta. Autobus był prawie pusty; ja tylko i paru żołnierzy, opalonych i pięknych, którzy spali zmęczeni powiedziawszy uprzednio kierowcy, aby ich zbudził kiedy będzie trzeba; głowy ich podskakiwały kiedy autobus szarpał gwałtownie — ci kierowcy mieli temperament, jakby płacono im tylko za szybkość; zęby ciepły kiedy człowiek patrzył co oni wyprawiali z tymi starymi pudłami: w tej dzielnicy tylko takie kursowały. Ja tę dzielnicę lubiłem najbardziej ze wszystkich dzielnic Tel-Avivu; pracowałem tu kiedyś, dopóki kamień szlifierski nie rozharatał mi palców prawej ręki. Znałem każdą ulicę; wszystkie warsztaty wyrabiające najdziwniejsze przedmioty z miedzi i brązu; ciemne sklepy w których można było kupić mundury armii amerykańskiej, małe knajpy w których siedzieli pobożni wraz z niepobożnymi jedząc w milczeniu i szybko, gdyż tutaj pracowali wszyscy, spieszyło się każdemu; wszyscy byli rzeczowi i pracowici: ci rzemieślnicy, szewcy, sprzedawcy pasów wojskowych z czasów pierwszej wojny światowej — znałem ich, znałem ich dobrze, niektórych nawet po imionach: Syn Niedźwiedzia, Syn Narodu, Wilk syn Wilka, Lew syn Lwa; lub kobiety — Wiośniana, Mała Kropelka Rosy; w żadnej innej stronie świata nie było tyle poezji. Więc pomyślałem sobie jadąc tym autobusem, że nie można zniszczyć narodu i języka; nikt tego nie potrafi. Nikt nie wie, jak zniszczyć nieśmiertelność jakiejś sprawy, bo czasem mieści się ona w czymś, na co nie sposób zwrócić uwagi; w czymś, koło czego przechodzi się obojętnie lub z pogardą, a co pozostaje niedotknięte i niepokonane; i w czym mieści się cała różnica pomiędzy zabiciem a pokonaniem. Ale dla nas samych jest to tajemnicą. Świat pełen jest śmieci, w których jedni ludzie drugim usiłują wyjaśnić coś, czego zrozumienie wymaga jednej tylko chwili. Wierzę, że każdemu dana jest taka chwila; i wierzę, że każdy ją zmarnował.

Czułem się już trochę lepiej; czułem, że to już ostatnie godziny chamsinu — potem, kiedy szedłem do naszego baraku poprzez pole porośnięte ostrymi chwastami a psy jak zwykle czały się gdzieś w ciemności. Gdzieś, nad morzem niebo stawało się już czystsze i jaśniejsze; wiatr mógł każdej minuty zerwać się nad

ziemią i powiać od Galilei aż do pustyni, a wtedy wszyscy ludzie leżący w ciemności zapaliliby światła i poszli kąpać się do morza: znów żywego, pełnego chłodu i pachnącego ostro; i pewnie wtedy rybackie statki poczęłyby znów nawoływać się światłami — tak, jak pierwszego dnia kiedy przyjechałem tutaj. Ale teraz jeszcze było ciężko; trwała jeszcze susza; ziemia nie daje się oszukać — szedłem więc niosąc w sobie tylko przecucie, nic poza przecuciem, a te psy cicho biegły za mną w ciemności.

Grisza siedział przed barakiem. On jeden nie skarżył się na chamsin; on wszystko potrafił wytrzymać. Przysiadłem ciężko obok niego, nagrany piasek sparzył mnie nagle w tyłek; Grisza podał mi papierosa i zapaliłem.

— Zrobiła Lena coś na kolację? — zapytałem

— Nie — powiedział.

— Nie szkodzi — rzekłem szybko. — Kupimy coś a ona już pomyśli, co z tego zrobić. Może ze dwie puszki mięsa?

— Nie — powiedział.

— Dlaczego, Grisza?

— Bo nie ma Leny — powiedział. — Zabrała małą i uciekła z tym facetem. Sami sobie musimy coś zrobić. Ale poczekajmy jeszcze; jeszcze jest za gorąco.

— Tak — powiedziałem. — Poczekamy jeszcze.

Milczeliśmy chwilę; teraz już widać było, że księżyc przecierał się zza mgieł; mogło to trwać godzinę jeszcze lub dwie, ale nie więcej.

— Jak myślisz — powiedział Grisza. — Chyba jej nie będzie źle z tym swołoczem, co?

— Nie — powiedziałem. — Na pewno nie. — Ale wściekłość poczęła mnie dławić. — Powiedziałem ci — rzekłem do Griszy — żeby sprzedać moją spluwę i koniec. Przynajmniej jadłyby przez parę dni: Lena i mała.

Odwrocił się ku mnie.

— Ja chciałem dla nich lepiej — powiedział. — Przysięgłem sobie, że jak ten chamsin minie a ja nie znajdę pracy, to zrobię z nimi i z sobą porządek. No, ale już, pojechały.

— To nic, Grisza — powiedziałem. — Jutro pójdziemy do tego faceta i on załatwi nam pracę. Mam forszę. Wiesz, te trzysta funtów.

— Ewa ci dała? — zapytał.

— Tak.

Potem weszliśmy do baraku a Grisza przyniósł butelkę koniaku obudziliśmy uprzednio właściciela sklepiku. Nie chciało nam się niczego gotować; więc piliśmy tylko ten koniak i jedliśmy pomarańcze na zakąskę. Koniak nie szedł nam do głowy, więc Grisza

poszedł jeszcze po drugą butelkę i znów musiał budzić tego gościa od sklepu; słyszałem jak sobie wymyślali, potem Grisza wrócił. Tę drugą piliśmy już pod barakiem; i wtedy, po raz pierwszy od trzech dni zobaczyłem znów światła statków rybackich na morzu.

— Patrz, Grisza — powiedziałem. — Chamsin przeszedł.

— Ale jeszcze gorąco — powiedział.

— Tak — zgodziłem się — gorąco.

— A jutro pojedziemy autobusem do miasta — powiedział cicho Grisza. — I złapiemy jakąś robotę. Jutro o szóstej piętnaście.

— Dobrze — powiedziałem. — Ale nie stąd. Z Haifskiej szosy.

— Nie, To już niepotrzebne.

— Niepotrzebne?

— Pamiętasz tego psa — powiedział. — Tego wielkiego kudłacza, który cię tak przestraszył?

— O, Boże — powiedziałem. — On mnie pyta, czy ja go pamiętam. Ja go pamiętam lepiej od własnej metryki urodzenia, Grisza.

Roześmiał się.

— No, więc rzekł. — To jest pies takiego jednego bogatego skurwego syna, który tu przyjechał ze Szwecji i przywiózł ze sobą całą kupę forsy. Ja znam tego psa. Jak zobaczyłem, że ciebie tak psy nienawidzą, to pomyślałem sobie, że jak cię ten kudłacz trochę pogryzie — ot tak sobie, bez żadnej zaczepki — to dostaniesz od tego skurwysyna całą kupę odszkodowania i pociągniemy przez parę dni. Ale akurat ten, nic do ciebie nie miał, nie? — Nie odpowiedziałem mu, więc powiedział tak, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić: — Ale tego to ja już nie mogłem wiedzieć.

— Tak — powiedziałem. — Ten akurat nic do mnie nie miał.

Nalałem sobie pełną szklanę koniaku i wypilem ją jednym haustem nie czekając na Griszę: kropelki nawet na dnie nie zostało. Byłem już pijany; czułem to i dobrze mi było z tym. Więc wypilem jeszcze raz trąciwszy się z Griszą i czułem, jak to ciepło podnosi się we mnie: wyżej i wyżej, niby płomień. Chamsin już przechodził i z powrotem mogłem myśleć; to piękne uczucie być trochę pijanym i móc myśleć. Teraz już wiedziałem, że wszystko stało się przez niego, że on jeden jest winien wszystkiemu; temu, że odeszła Lena od Griszy; temu, że Ewa wyskoczyła z okna hotelu, kiedy policjanci chcieli ją zabrać; i temu, że ja i Grisza od dwóch miesięcy chodziliśmy bez pracy. Był on winien temu,

iz żyjemy i że chamsin palił od trzech dni tę ziemię, ale teraz już przechodził — już wiatr nadciągał od morza i morze znowu poczęło pachnąć a ja mogłem myśleć i nic nie rwało się w mojej głowie jak każdego z tych trzech dni. Ale ile wycierpieł — wszyscy przez niego; i dlaczego nie zrozumiałem tego wcześniej? Wszedłem do baraku i wyciągnęłem spod łóżka mój pistolet, wsadziłem go do tylnej kieszeni spodni i wróciłem zaraz do Griszy. Nalał mi znowu; wypłem szklanekę i jeszcze jedną, aby nie zapomnieć tego, co powinienem uczynić. Zdarłem z siebie koszulę i oparłem się framugę drzwi; kurz wgryzał mi się w plecy, pot spływał ze mnie; czułem jak ze skóry mojej paruje ostry zapach koniaku ale nie przeszkadzał mi już teraz ani kurz, ani pot, gdyż wszystko stało się dla mnie jasne i pewne. Wiedziałem już, że nigdy nie opuszczę tego kraju, że zostanę tu na zawsze; i że zawsze będę kochał ten kraj; ale bałem się o tym myśleć dłużej, aby nie zapomnieć tego, co teraz wypadało mi uczynić. Raz jeszcze schyliłem się w ciemność; po omacku podniosłem moją koszulę, otarłem nią ramiona i plecy i w ciemność ją odrzuciłem.

— Poczekał trochę, Griszeńka — powiedziałem. — Zaraz wróce.

Oderwałem się od drzwi; przeszedłem przez jakąś niewidzialną ścianę gorącą; znów zabrakło mi tchu, znów serce moje przestało bić, ale nagle zerwał się świeży wiatr od morza i wszystko poruszyło się we mnie, ożyło; już teraz chamsin skończył się na dobre, jak w chwili w której umarł On i w której zaczął żyć wiecznie — ziemia odetchnęła, poruszyły się drzewa, księżyc wypłynął spoza gorącej mgły i znów zobaczyłem swój cień — skręciłem więc na prawo, przestałem błędzić w mroku i poprzez to puste pole poszedłem wprost ku drodze do Haify.

Marek HŁASKO

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHGONA COURT"

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Archiwum polityczne

Na ruinach "przedmurza"

Pan — nazwijmy go Uljanow — jest jedynym białym Rosjaninem jakiego znam. Spotykamy się raczej dość rzadko u wspólnych znajomych. Ale kiedyś stary pan Uljanow, który na ogół jest małoomny — wypowiedział opinię wartą przytoczenia:

„Na czym Polacy na emigracji opierają swe nadzieje, że z nie-komunistyczną Rosją Polska lepiej ułoży swe stosunki niż z komunistyczną Rosją? Nigdy nie mieliście z Rosją tak dobrych stosunków jak obecnie. W Warszawie nie ma ani policji rosyjskiej ani generał-gubernatora. Kto wam powiedział, że dyktatura wojskowa, czy rządy prawicowe z odrodzoną cerkwią i prawosławiem uprawiałyby w stosunku do Polski równie liberalną politykę jak Chruszczow? Komunizm zmodernizował i w pewnej mierze ucywilizował imperializm rosyjski. Jeżeli nie będzie komunizmu to będzie imperializm plus nacjonalizm. Imperializm plus wojsko, policja, cerkiew i panslawizm. Upadek komunizmu w Rosji oznaczałby dla was katastrofę”.

Z punktu widzenia czystej logiki teoria pana Uljanowa jest trudna do zacepienia. P. Uljanow natomiast nie zna skrótów myślowych jakimi posługują się polscy emigranci. Mówiąc o „upadku komunizmu” — polski emigrant nie ma na myśli upadku komunizmu jako doktryny, tylko upadek Związku Sowieckiego jako mocarstwa. Sympatyczny p. Uljanow odpowiedziałby w tym miejscu, że pobicie siłą Związku Sowieckiego nie jest propozycją realną, gdyż ewentualny zwycięzca nie podniósłby się z tego zwycięstwa.

Rozmowa z p. Uljanowem przypomina mi zawsze wypowiedź pewnego rodaka z kraju, który dłuższą prywatną dyskusję zakończył następującym stwierdzeniem:

„Z polskiego punktu widzenia w stosunku do Rosji realistyczne i logiczne są tylko dwie koncepcje. Albo Związek Sowiecki trzeba pobić i powalić — jak głoszą emigracyjni „niezlomni” —

albo w oparciu o obecną sytuację należy budować lojalistyczną „orientację wschodnią” jak doradca Stefan Kisielewski. Dla większości z nas żadne z tych rozwiązań nie jest pociągające i tym należy tłumaczyć fakt, że Polacy do „kwestii rosyjskiej” odwracają się plecami. To jest dopust boży, jak garb. Ponieważ garbu nie można operować, trzeba nauczyć się z nim żyć — ale im mniej się o nim mówi tym lepiej. Garbatemu nie należy wytykać i przypominać, że jest garbusiem. Ten błąd popełnił Kisielewski a seria jego reportaży z Sowietów — jak sam przyznaje w prywatnych rozmowach — zaszkodziła mu jako popularnemu felietoniście”.

I to jest nasz punkt startu. Ponieważ zamierzam popełnić ten sam błąd co Stefan Kisielewski i napisać o „kwestii rosyjskiej” bardzo niepopularny artykuł — niech mi wolno będzie poprzedzić go krótkim marginesem.

Hostowiec we wstępie do swojej książki „Eseje dla Kassandra” — zauważył, że „proza nie czerpie siły z magii, lecz z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk”. Osobiście sądzę, że powyższe określenie w większej mierze odnosi się do publicystyki niż do prozy literackiej. Niewątpliwie bowiem autorka „Gości Berling” — by sięgnąć po przykład wymowny — wiele czerpała z poetyckiej magii mimo, że pisała prozą.

Publicystyka nie ma innego celu prócz jasności myśli porządkującej chaos zjawisk. Albowiem tylko tą drogą można zarówno porządkować problemy jak je odkrywać. Publicysta w przeciwieństwie do powieściopisarza nie tworzy, lecz odkrywa rzecz istniejącą choć często nieznaną. Dlatego nie ma nic śmieszniejszego jak zarzucać publicyście, że popada ze sobą w sprzeczność. Wszyscy odkrywcy, dopóki są odkrywcami, popadają ze sobą w sprzeczność. Nasz wczorajszy błąd stanowi sprzeczność w porównaniu z dzisiejszym poprawnym rozwiązaniem. A dzisiejsze poprawne rozwiązanie wyda się sprzeczne z jutrzejszym, jeszcze lepszym rozwiązaniem. To jest mechanika postępu, która obowiązuje tak w analizie chemicznej jak i w analizie publicystycznej. Dotyczy to oczywiście tylko publicystyki a-dogmatycznej, opartej na zasadzie *free enquiry*, wolnej od partyjnych czy ideologicznych cenzur i ograniczeń.

Polacy przywykli do ideologicznych, partyjnych, mafijnych i historyczno-tradycyjnych publicystyk. W tego typu publicystyce obrona założonej tezy czy programu góruje nad analizą i swobodnym badaniem. Jeżeli dany publicysta całe życie wierny jest co do joty Dmowskiemu — są małe szanse by popadł w sprzeczność. Ale są jeszcze mniejsze szanse, by napisał coś oryginalnego i interesującego.

Publicyści emigracyjni, zwłaszcza średniego pokolenia, którzy w znacznej mierze uformowali się zagranicą — winni wzbogacić polskie piśmiennictwo polityczne wytwarzając nowy typ publicysty, który odpowiadałby angielskiemu i amerykańskiemu określeniu *political analyst*. Analityk nie uznaje ani tabu

ani „rewirów wydzielonych”. Jego wnioski nie są nigdy nieomylnymi wytycznymi i utrzymują swą moc dopóki ktoś inny — lub sam autor — nie wykaże ich błędności.

A teraz wróćmy do naszego „garbu” — czyli kwestii rosyjskiej.

Wstępna i podstawowa analiza stosunków polsko-rosyjskich musi obiektywnego obserwatora doprowadzić do następujących wniosków.

Nie my jesteśmy zwycięzcami w sytuacji jaka powstała po drugiej wojnie światowej, tylko Rosjanie.

Poprawa — choćby najpownniejsza w stosunkach polsko-rosyjskich jest daleko bardziej potrzebna nam niż Rosjanom.

Jeżeli powyższe wnioski są słuszne to należy zadać pytanie: czy istnieją po naszej stronie możliwości działania celem poprawy stosunków polsko-rosyjskich?

W moim przekonaniu istnieją takie możliwości, ale wymagałoby to zasadniczej zmiany naszej perspektywy w jakiej od pokoleń rozpatrujemy problem rosyjski.

Jest rzeczą charakterystyczną, że współcześni Polacy nie mają żadnej wizji rozwiązania kwestii rosyjskiej. Nie można nazwać wizją czy koncepcją wyczekiwania wojny atomowej — tym bardziej jeżeli wiadomo, że Amerykanie bombardowały punkty strategiczne i w Polsce. Nasz kraj stanowi przedpole Związku Sowieckiego i w razie wojny atomowej nie moglibyśmy liczyć na żadne względy czy to od Amerykanów czy to od Rosjan.

Nie można również nazwać wizją czy koncepcją, lojalizmu reprezentowanego przez „Znak”.

„Orientacje” wojenna i lojalistyczna reprezentują bardzo mały procent opinii polskiej tak w kraju jak i zagranicą. 80, a może 90% Polaków zadawała się tradycyjną niechęcią w stosunku do Rosji, nie odczuwając żadnej potrzeby zrewidowania tego zagadnienia. W podświadomości każdego Polaka zakorzenione jest głębokie poczucie krzywdy i wskutek tego normalną reakcją wydaje się odruch: „pierwszy krok na drodze do pojednania winni uczynić Rosjanie”.

W polityce pierwszy krok robi ta strona, w której bezpośrednio interesie leży to pierwsze posunięcie ku poprawie.

Są realisci, którzy głoszą, że nie potrzebna jest żadna wizja czy koncepcja, bo czas i korzystniejsza od obecnej koniunktura historyczna nasuną rozwiązanie.

Trzeba mieć wizję rozwiązania, do którego się zmierza. Polityka bez wizji nie są żadnymi realistami, a tylko nieodpowiednimi ludźmi na nieodpowiednich stanowiskach. Dobra polityka jest kompromisem pomiędzy wizją a możliwościami. Jeżeli nie ma wizji, możliwości są niedostrzeżone i niewykorzystane. Tym się różni polityka imaginatywna od polityki będącej ciągiem przypadkowych rozwiązań.

Przynajmniej większości katastrof w historii był nie brak

realizmu, ale brak wizji. Realisci są wszędzie w nadmiarze — czego zwykle nie dostaje, to ludzi z wizją.

Ale wizja i koncepcja również nie wyczerpują problemu. W moim przekonaniu, obecnie żaden rząd w Warszawie — obojętne — prawicowy, lewicowy, demokratyczny czy komunistyczny — nie miałby możliwości realizowania i rozbudowy prawdziwej polskiej polityki rosyjskiej. Bo w ostatecznym rozrachunku, polityki o historycznym znaczeniu nie robi żaden rząd, a robi ją naród. Najbardziej imaginatywna koncepcja nie zda się na nic, jeżeli padnie na ugor niechęci, niezrozumienia i powszechnej obojętności.

Polacy byliby najszcześliwsi gdyby mogli zapomnieć, że Rosja istnieje na świecie. W odniesieniu do stosunków polsko-rosyjskich najchętniej wróciliby do sytuacji sprzed 1939 r. Wówczas katedra rusycystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim miała pięciu słuchaczy, a znakomity rusycysta prof. Wacław Lednicki przeniósł się do Brukseli, bo Belgowie wykazywali znacznie większe zainteresowanie literaturą rosyjską niż Polacy. Rosja była poza chińskim murem, którego pilnował KOP i przeciętny obywatel nie był w ogóle świadom jej sąsiedztwa. Była krajem z ponurej anegdoty, barbarzyńsko-egzotycznym, którym interesowała się „dwójka” i nikt poza tym. Na granicy polsko-sowieckiej kończyła się nie tylko Europa, ale cywilizowany świat białego człowieka.

Polityka między sąsiedzkimi narodami nie wyczerpuje się w paktach i traktatach. W gruncie rzeczy daleko ważniejsze jest oddziaływanie jednostek — pod warunkiem, że tych jednostek oddziaływujących na różnych polach są nie setki lecz tysiące i dziesiątki tysięcy.

Krytyczny Czytelnik oświadczy w tym miejscu, że nie można oddziaływać na sowiecką Rosję, że najpierw trzeba obalić komunizm itp. itd.

To tylko w części jest prawdą. Bo gdyby Rosja miała dziś rząd prawicowy — być może nasz stosunek do Moskwy byłby jeszcze bardziej wrogi niż obecnie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Rosja musi się zmienić. Ale nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że i my musimy się zmienić. Tezą tego artykułu jest pogląd, że jednym z elementów warunkujących przemianę Rosji — jest przemiana polskiego „klimatu” w stosunku do Rosji. W tym wypadku chodzi o przemianę ogólnonarodowego „trendu” w odniesieniu do naszego wschodniego sąsiada.

W Polskiej skali i warunkach zmiana owego „trendu” równałaby się przemianie tradycyjnego rysu charakteru narodowego. Czy mamy prawo oczekiwać od Niemców rzetelnych przemian w charakterze narodowym, jeżeli sami nie podejmujemy prób w tym kierunku?

To są kwestie związane ze stopniem dojrzałości politycznej — bo zmiany „trendu” wypływać muszą nie z emocji, lecz

przeciwnie z trzeźwego uświadomienia sobie konieczności przemiany.

Ale przede wszystkim winniśmy zrewidować nasz tradycyjny stosunek do Zachodu, bo tylko wówczas będziemy mogli zrewidować nasz stosunek do Wschodu.

Polacy są narodem zachodnim i jak długo trwać mają jako indywidualny naród muszą pozostać zachodnimi Europejczykami. Ale zachodniość można pojmować rozmaicie.

Polacy swój patriotyzm zachodni pojmują defensywnie. To jest klasyczna psychologia „przedmurza”. Zadaniem „przedmurza” — jak sama nazwa wskazuje — nie jest oddziaływać, lecz bronić. „Przedmurze”, które wywodzi się od słowa „mur” implikuje izolację i stan permanentnej wojny defensywnej. Ilekroć artykułów — przed wojną, w czasie wojny i po wojnie — ukazało się w prasie polskiej na temat obrony „najwyższych wartości cywilizacji zachodniej”. Zawsze chodzi tylko o obronę — nigdy o oddziaływanie.

Psychologia „przedmurza” jest cenna w czasie wojny, ale jest wręcz zębna w czasie pokoju. Ponieważ w czasie pokoju owa psychologia zamiast uaktywniać nasz patriotyzm zachodni — czyni go biernym i to biernym aż po granice sprzeczne z interesem narodowym.

Wyobraźmy sobie co by się działo, gdyby od jutra konsulaty Stanów Zjednoczonych w Polsce zaczęły wydawać wize migracyjne bez żadnych ograniczeń. Gdyby w ślad za Amerykanami poszli Kanadyjczycy, Brytyjczycy i Francuzi. Jednym słowem gdyby drzwi od owego Zachodu otwarły się przed narodem polskim na oścież.

Dziś mamy około 300 polskich uczonych w Ameryce. Po takim otwarciu wrót w kilka lat mielibyśmy nie 300 ale 3.000 polskich uczonych i specjalistów w Stanach Zjednoczonych. Do Rosji oczywiście nie pojechałby nikt.

I znowu krytyczny Czytelnik powie, że dziś do Sowietów nie można itd.

Po pierwsze można i do Sowietów. A po drugie gdyby nawet w Rosji były inne rządy niż p. Chruszczowa, polski uczonec czy specjalista mając do wyboru stanowisko w Leningradzie lub w Harvardzie oczywiście wybrałby Harvard.

Zachodni patriotyzm Polaków wyraża się nieprzepartym ciągiem na Zachód. To jest „trend” jakże często sprzeczny z linią podstawowych interesów narodowych. Zachowaliśmy bowiem psychologię „przedmurza” przestawszy być „przedmurzem”.

Polska przynależy dziś do bloku wschodniego i ani politycznie ani geopolitycznie „przedmurzem” nie jest.

W tym miejscu padną ważne słowa: Chrześcijaństwo — tysiąc lat kultury polskiej. To wszystko prawda. Ale o ile do roku 1939 byliśmy ostatnim fortem cywilizacji łacińskiej

wysuniętym na Wschód — o tyle dziś jesteśmy najbardziej łacińsko-zachodnim krajem w bloku wschodnim.

W epokach przyspieszonego pulsu historycznego świadomości narodowa nie nadąża za zmianami dokonywującymi się na naszych oczach. Nawyki myślowe i reakcje emocjonalne uwarunkowane tradycją pokoleń obumierają wolno i boleśnie.

Musimy porzucić defensywną psychologię „przedmurza” nie tylko dla tego, że owa psychologia nie ma dziś pokrycia w faktach. Przede wszystkim musimy ją porzucić dlatego, że owym fikcyjnym „przedmurzem” nie obronimy naszej zachodniości.

Zadanie, któremu należy sprostać nie stanowi nic nowego. To zadanie nie narodziło się ani w Teheranie ani w Jajcie. Odziedziczyliśmy je w spadku po pierwszej Rzeczypospolitej.

Polska w granicach z roku 1772, jako państwo żywe i obecne w świadomości swoich obywateli, zaczęła się rozpywać dopiero po powstaniach. Polska w swoich wschodnich granicach z 1939 r. jest żywa w świadomości społeczeństwa emigracyjnego i wszystkie mapy wydane zagranicą obejmują Lwów i Wilno.

Po upadku pierwszej Rzeczypospolitej były powstania. U zarania drugiej Rzeczypospolitej była wyprawa kijowska. Później mieliśmy dwadzieścia lat przygotowań i znów pakt Mołotow-Ribbentrop. I wreszcie zakończone klęską Powstanie Warszawskie które zamyka sekwens walk pokoleń. Można powiedzieć, że Powstanie Warszawskie stanowiło ostatni zryw naszej tradycyjnej polityki wschodniej — bo choć militarnie wymierzone było przeciwko Niemcom, politycznie skierowane było przeciwko Rosji. I tak oto barykady warszawskie były ostatnim historycznym fragmentem „przedmurza”.

Powyższy schemat rozwiązania „kwestii rosyjskiej” — powtarzany niemal przez dwa stulecia — „nie pracuje” — jakby powiedział Anglik. Nie pracuje i nie należy go powtarzać. To nie jest defetyzm — to jest tylko zachodnio-europejski *common sense*.

Czy jest jakaś alternatywa? Alternatywa jest, ale ponieważ idzie pod włos tradycyjnemu „trend’owi” odwracamy się od niej z niechęcią. Sądzę, że trzeba będzie jeszcze wielu lat zanim ogólne nastawienie zmieni się w tej sprawie. Zanim do świadomości jeśli nie ogółu to przynajmniej oświeconej większości przeniknie pogląd, że prawdopodobnie nie będziemy już walczyć przeciwko Rosjanom i o swoją pozycję i zachodność dobijając się nam przyjdzie innymi metodami.

Przemiana ogólnego „trend’u” w kwestii rosyjskiej winna się rozpocząć od porzucenia idei i psychologii „przedmurza”. Ideę „przedmurza” trzeba zastąpić szeroką koncepcją „pomostu”. Polska zachodnia i chrześcijańska mogłaby pełnić pozytywną i istotną rolę przesła pomiędzy Wschodem i Zachodem. To jest rola bardzo trudna. Koncepcja „prześla” w przeci-

wieństwie do „przedmurza” jest koncepcją ofensywną w sensie politycznym i kulturalnym, choć nie wojskowym.

Jeszcze raz należy podkreślić, że „kwestia rosyjska” w naszej historii nie zaczęła się od komunizmu i z komunizmem się nie skończy. Tym się różni „kwestia rosyjska” w aspekcie polskim od „kwestii rosyjskiej” w aspekcie amerykańskim. Za 15 czy 20 lat w Rosji mogą zajść ogromne zmiany, które w rezultacie przyniesie mogą odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Ani zmiany ani ewentualne odprężenie nie będą miały automatycznego wpływu na sytuację polską. W Rosji dojść może nawet — jak sądzą pewni sowietolodzy — do dwu-partyjnego systemu poprzez ewolucję i ulegalizowanie partyjnego skrzydła opozycyjnego. Może dojść do znacznego podniesienia stopy życiowej i ogólnej liberalizacji. Może... Ale w sumie oznaczać to będzie w aspekcie polskiej polityki, że nasz wschodni sąsiad stanie się jeszcze potężniejszym mocarstwem niż był do tej pory.

Jakie jest wyjście? Musimy *od wewnątrz* osiągnąć to — czegośmy nie zdołali osiągnąć *od zewnątrz*. Musimy się stać drożdżami przyspieszającymi proces przemian w Rosji. Musimy nasz bierny konsumpcyjny patriotyzm zachodni uaktywnić, a sami zwrócić się twarzą ku Wschodowi.

Autentyczna zachodność nie polega na tym, by wykorzystać pierwszą okazję dającą możliwość osiedlenia się w Ameryce. Zachodność polega na tym, by kulturę zachodnią eksportować na Wschód.

Polska książka, wydana w Polsce Ludowej, w porównaniu z literaturą sowiecką w większości wypadkach jest książką zachodnią. Organizacja rolnictwa w PRL w porównaniu z kółkożnictwem sowieckim jest systemem zachodnim. Teatr, muzyka, malarstwo, filozofia — nie wyłączając filozofii marksistowskiej w pewnych jej aspektach — w porównaniu z Sowietami reprezentują kulturę zachodnią.

Leżąc to wszystko odbywa się we wstydlivej izolacji. Ponieważ „trend” społeczeństwa nie uległ zmianie — nikomu absolutnie nic nie zależy na eksportowaniu polskiej zachodności gdziekolwiek. Stosunki polsko-rosyjskie to Gomułka-Chruszczow. A poza tym byle cicho, byle polska wieś spokojna...

Jak wynika z danych ogłoszonych w „Przeglądzie Kulturalnym” — 75% eksportowanych książek w języku polskim kupują czytelnicy w Związku Sowieckim i w Czechosłowacji.

Zainteresowanie polską książką w Związku Sowieckim jest bardzo duże i eksport polskich książek do Rosji mógłby być wielokrotnie większy. Ale dosłownie nikomu na tym nic nie zależy. Tylko tego typu ogólnym nastawieniem wytłumaczyć można fakt, że polska książka w Związku Sowieckim jest kilkakrotnie droższa od książki sowieckiej, a dwa razy droższa od książki importowanej z Czechosłowacji lub z Niemiec wschodnich. Jest rzeczą charakterystyczną i pocieszającą, że mimo

absurdalnie wysokich cen polska książka znajduje w Sowietach nabywców.

Wydawać by się mogło, że leży w najoczywistszym naszym interesie by Rosjanie i inne narody Związku Sowieckiego czytały polskie książki w możliwie jak największych ilościach. W tej dziedzinie Rosjanie mają wiele do odrobienia i kto jak kto, ale rząd PRL winien im w tym dopomóc. Książka polska winna być w Związku Sowieckim tańsza od wszystkich innych książek importowanych z zagranicy. Mamy w Rosji setki tysięcy Polaków — zruszczonych i nie w pełni zruszczonych — którzy poprzez polską książkę może odnowiliby swe więzy z polszczyzną.

W Polsce Ludowej panuje niemal powszechnie ta sama psychologia „przedmurza”, którą mieliśmy przed wojną. „Przedmurza” wprawdzie już nie ma ale psychologia została.

Gomułka nie był nigdy agentem, jak Bierut, ani nie jest międzynarodowym komunistą bez ojczyzny. Jest bardzo polski i dlatego mogą sobie, przy pewnym wysiłku, wyobrazić, że w razie katastrofalnego kryzysu zdobyłby się może na dramatyczny gest oporu. Ale przy największym wysiłku nie jestem w stanie wyobrazić sobie Gomułki inspirowanego polską ekspansją polityczno-kulturalną ku Wschodowi. Słowo tak podejrzane jak „polityczną” można by w tym wypadku opuścić, bo każdy wpływ kulturalny ma zawsze wydzźwięk polityczny.

Ale trudno winić Gomułkę. Jak zaznaczyłem już poprzednio polityki ekspansji kulturalnej, polityki wpływów pośrednich nie można robić „odgórnie”. Taka polityka musi się niejako „robić sama” — jako refleks ogólnej tendencji społeczeństwa, jako przejaw dojrzałego i głębokiego zrozumienia interesów narodowych.

Trudno powiedzieć młodemu inżynierowi z Wrocławia czy z Łodzi, który chce wyjechać na Riwierę francuską: „człowieku, spędź urlop w Rosji, która jest olbrzymią i ciekawą. Weź z sobą sporo książek, nawiąż dużo kontaktów, zjednaj sobie przyjaciół i życzliwość, taktem i rozumem staraj się ich pozyskać dla naszego sposobu myślenia”.

Trudno tak powiedzieć. A jednak wszystkie polityki wpływów pośrednich w historii realizowano takimi właśnie metodami.

Zmiana „trend'u”, porzucenie psychologii „przedmurza” — umożliwią kiedyś odpowiedź na pytanie: „jaką Rosję chciałibyśmy mieć za sąsiada”? Ponieważ wszyscy jesteśmy wychowani na tradycji „przedmurza” — odpowiedź na powyższe pytanie formułuje się samorzutnie: „jaką Rosję? — pobitą i powaloną na kolana”.

Tylko jasnowidz mógłby dać odpowiedź na pytanie czy dojdzie do wojny. Natomiast bez jasnowidztwa obiektywnie można stwierdzić, że wojna atomowa nie leży w polskim interesie nawet gdyby w finale przynieść miała powalenie Rosji na kolana.

Gdyby ktoś dziś Moskwie zaproponował przebudowę ZSSR w *Commonwealth* — innymi słowy w związek niepodległych państw i narodów — Sowiety nie cofnęłyby się przed wojną. Rosja nie dojrzała jeszcze do przemiany w tej skali.

Ale gdyby ktoś Anglikom w roku 1910 zaproponował przebudowę imperium brytyjskiego w *Commonwealth* z Indiami jako niepodległą republiką — zagroziliby również wojną.

Rosja mimo swoich sputników i wostoków jest krajem kulturalnie w wielu wypadkach zapóźnionym o pół stulecia. Przez owe 50 lat Rosja nie tylko nie zbliżyła się do Zachodu, ale całkowicie od niego odeszła.

„Pomost” pomiędzy Rosją a Zachodem musi się budować niemal od podstaw i dla tego każda choćby najmniejsza cegiełka jest wielkiej wagi.

Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy są narodami zachodnimi. Polacy i Czesi są Słowianami. Daleko-falowym celem Polaków i Czechosłowaków, jako Słowian zachodnich, winna być stopniowa ewolucja Związku Sowieckiego w kierunku „wspólnoty” niepodległych narodów.

Realści uśmiechną się z politowaniem — uczeni sowietolodzy wrzuszą pogardliwie ramionami.

Kto w pierwszych latach brał poważnie Ghandiego, proroka, dziwaka z kołowrotkiem? Ghandi byłby pozostał świętym, egzotycznym dziwakiem gdyby stał na czele izolowanej sekty. Lecz za Ghandim nie stała sekta ale solidarna opinia olbrzymich mas społecznych. I to zadecydowało o realizmie „mrzonki Ghandiego”.

Decydującym punktem w tej sprawie jest fakt, że przed nami nie ma wyboru. Jeżeli wyłączamy wojnę z naszych rozważań — to w konsekwencji musimy przyjąć wyzwanie — ponieważ nie możemy go nie przyjąć bo adres jest zbyt wyraźny.

W tym wypadku nie chodzi o „polski model”. Chodzi dosłownie o konflikt między Wschodem a Zachodem w jego najistotniejszym aspekcie.

Dostojewski pisał w swych listach o jedynym prawdziwym rosyjskim Chrystusie, który winien zatriumfować. Chruszczow mówi o jedynym prawdziwym „radzieckim” (rosyjskim) komunizmie proklamowanym z nieomylnego Kremla.

To jest nie tylko chłodny, kalkulujący imperializm. To jest również żarliwe, niemal mistyczne, poczucie misji.

U dna to nie jest konflikt między kapitalistyczną czy socjalistyczną metodą produkcji — tylko to jest konflikt pomiędzy pryncypializmem a pluralizmem.

Pluralizm zachodni w najszerszym, ale może i najgłębszym tego słowa znaczeniu ujął Toynbee w post-scriptum do swego „A Study of History”: — *There is no unique truth and there is no chosen people.* (Nie ma jedynej prawdy i nie ma wybranego narodu).

Rosjanie traktują komunizm pryncypialnie i każdą inną

doktrynę traktowaliby również pryncypialnie. To nie komunizm przekształcił ich w pryncypialistów, lecz odwrotnie, to Rosjanie marksizm przemienili w dogmatyczną pryncypialną doktrynę.

Nie może być trwałego porozumienia między Wschodem i Zachodem, między Polską a Rosją — dopóki Rosjanie nie porzucą swego pryncypializmu w ideologii, w polityce, w sposobie myślenia. Dopóki wierzyć będą — w przeciwieństwie do słów Toynbee'go — że są narodem wybranym, który posiadał jedyną prawdę.

Cena porozumienia jest niezmiernie wysoka po obu stronach. W Rosji, podobnie jak w Polsce, przemianie musiałby ulec „trend”, który w wypadku tak polskim jak i rosyjskim stanowi element składowy charakteru narodowego.

Jest naiwnością i nieporozumieniem szukanie odprężenia politycznego poprzez *appeasement* ideologiczny. Argument przeciwko wysyłaniu książki Stawara do Rosji — by sięgnąć po bliski przykład — wywodzi się z tej fałszywej taktyki. Polityka „nie-drażnienia”, polityka szanowania i wymijania wszystkich dogmatów i pryncypializmów sowieckich — sprowadza się w gruncie rzeczy do karmienia krokodyla.

„Otwieranie okna za Zachód”, które winno być naszym celem w stosunku do Rosji — z całą pewnością idzie pod włos obecnemu kierownictwu sowieckiej partii komunistycznej. Polityka wpływów winna być robiona ostrożnie, ale nieustępliwie. Rosjanie, ponieważ są pryncypialistami, a jako komuniści przeważnie dogmatykami — nie akceptują „polskiego modelu”. Oni go tylko tolerują. Tolerancja, która nie wypływa z przekonania, lecz z taktyki — stanowi bardzo kruchy fundament sąsiedzkiego współżycia.

Pragnąc dopomóc narodom Związku Sowieckiego w wydobyciu się z izolacji musimy sami wyjść z izolatora naszych wiekowych tradycji. W naszą zbiorową świadomość musi głęboko zapasć przekonanie, że pewne uzachodnienie Rosji jest naszym historycznym zadaniem. Owo przybliżenie Rosji do Europy i Zachodu — o ile dla innych byłoby tylko korzystne — dla nas jest dosłownie niezbędne.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

POLSKO-NIEMIECKA „ZIMNA WOJNA”

Dostają listy podpisane rdzennie niemiecko brzmiącymi nazwiskami, których autorzy cytują po polsku fragmenty artykułów „Kultury”. Równ-

częściej pojawiają się w prasie niemieckiej wręcz niesamowite brednie — choćby przytoczyć dla przykładu rewelacje ogłoszone na łamach tygodnika „Aktuell”. W cytowanym artykule ks. Stanisław Radziwiłł został promowany na stałego członka sztabu redakcyjnego „Orla Białego”, a wyróżniający się skromnością Londyńczyk wylądował jako „minister informacji” w rządzie polskim w Londynie.

„Aktuell” wychodzi w Monachium — gdzie od lat mieszkają setki Polaków, z których znaczny procent mówi dobrze po niemiecku. Rzekome rewelacje można było sprawdzić, a w każdym razie uprawdopodobnić.

My mamy sowietologów, a Niemcy mają nie tylko sowietologów, ale i polonologów. Nasi sowietolodzy w 80% rekrutują się z byłych sowieckich więźniów politycznych. Niemiecy polonolodzy w 80% rekrutują się z uchodźców z ziem na wschód od Odry i Nysy.

B. uchodźcy i b. więźniowie polityczni mają dwie cechy wspólnie. Po pierwsze skłonni są mniemać, że z racji swych przeżyć nabrali intymnej znajomości kraju, który opuścili kilkanaście lat temu. Po drugie — nad ich sądami i opiniami ciąży przeżycia osobiste — często tragiczne. Tak jednym jak i drugim jest bardzo trudno zdobyć się na obiektywizm.

Ale to jeszcze nie jest cała „story”. Kiedy uchodźcy wysiedli z ewakuacyjnych pociągów wszyscy mówili o powrocie. Po paru latach znakomita większość uchodźców znalazła pracę, osiedliła się i ustabilizowała. Ale pewien procent z uchodźstwa uczynił sobie zawód i źródło utrzymania. To są redaktorzy pism, biuletynów, agencji ziolkowskich — zawodowi polonolodzy w różnych instytutach wschodnich, działacze subwencionowanych organizacji itd.

Z zawodowymi polonologami nie ma dyskusji, gdyż oni bronią nie tylko racji politycznej, ale i kawałka chleba.

Zabawne jest pomyśleć, że po obu stronach barykady ową polsko-niemiecką „zimną wojnę” prowadzą tylko zawodowcy — ludzie, którzy z tej wojny uczynili sobie fach i źródło utrzymania.

Polska Agencja Zachodnia wydaje codzienny biuletyn poświęcony rewizjonistycznej propagandzie ziolkowskiej. Powtarzam: codzienny biuletyn — jak z placu boju.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie oraz wyrównanie stosunków polsko-niemieckich pozbawiłoby setki osób — po obu stronach granicy — kawałka chleba i stanowisk o szumnie brzmiących tytułach. Ci panowie (tak Niemcy jak i Polacy) nie wypracują oczywiście nigdy żadnego porozumienia, bo to nie leży w ich interesie. Trudno wymagać od ludzi, by podcinali gałąź, na której wiszą komfortowo od wielu lat.

Wielu naszych sowietologów — jak wiemy — uporczywie broni poglądu, że w Sowietach nie zaszły i nie zachodzą żadne zmiany. Ze zmianami trzeba być ostrożnym, bo Sowiety jak raz zaczną się zmieniać, mogą w końcu zmienić się gruntownie i co wówczas robić będą zawodowi sowietolodzy?

Z analogicznych przyczyn zawodowi polonolodzy ziolkowscy wykazują zrozumiałą ostrożność w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Owa granica stanowi uniwersalny kamień probierczy. O tym, czy dany Polak jest antykomunistyczny czy prokomunistyczny — decydują nie jego pro- czy antymarksistowskie przekonania — ale stosunek do granicy na Odrze i Nysie.

„Ost-West-Kurier” z 4.3. br. zamieścił ogromny artykuł pt. „Eine Koalition zerbricht”. Cóż to za koalicja uległa rozbiciu? Koalicja, która obejmowała „Tygodnik Powszechny” i „Kulturę”. Do takich wniosków doszedł p. Carl Gustaf Ströhm przeczytawszy i streściwszy na łamach „Ost-West-Kurier” moją „Wizytę u Luboniów” oraz list Stefana Kisielewskiego do Redaktora „Kultury”.

Polskiego Czytelnika nie ma powodu zapewniać, że pomiędzy „Tygodnikiem Powszechnym” a „Kulturą” nigdy żadnej koalicji czy sojuszu nie było. Natomiast jeżeli chodzi o granice na Odrze i Nysie poglądy „Kultury” i Stefana Kisielewskiego były i są identyczne.

„Zimna Wojna” prowadzona przez Agencję Zachodnią z jednej strony a rewizjonistyczną prasę i instytucje z drugiej strony — nie przyniesie nigdy żadnych pozytywnych rezultatów. Nie jest ani celem ani założeniem tych organizacji, po obu stronach granicy, dążyć do odprężenia i porozumienia.

A jednak leży w naszym bezpośrednim interesie poprawa klimatu polsko-niemieckiego. Przekłady z literatury polskiej krajowej i emigracyjnej na język niemiecki odgrywają niewątpliwie bardzo ważną rolę. Ale emigracja nie wyzyskuje wszystkich swoich możliwości.

Od czasu do czasu pojawiają się w Londynie redaktorzy pism rewizjonistycznych i różni specjaliści od Europy Wschodniej. Panowie ci szukają kontaktu z polską emigracją, konferują z emigracyjnymi politykami i czytają uważnie naszą prasę.

Konferowanie z tymi panami jest całkowicie bezcelowe. Reprezentują oni bowiem szowinistyczne skrzydło opinii niemieckiej i oczekują od nas nie porozumienia, lecz kapitulacji. Nie uznają oni granicy na Odrze i Nysie nawet wówczas, gdy uzna ją legalny rząd niemiecki.

Nie może być nawet porównania pomiędzy polskim frontem opinii w sprawie granicy na Odrze i Nysie a niemieckim frontem opinii w tej samej sprawie. Polska opinia w odniesieniu do tego problemu jest całkowicie jednolita.

Natomiast niemiecka opinia publiczna — ku chwale Niemiec — jest podzielona. Prasa ziomkowska nie reprezentuje w tym istotnym przedmiocie ani wszystkich Niemców ani — co ważniejsze — najwybitniejszych Niemców.

Tzw. Memorandum z Tybingi, którego autorzy domagają się uznania granicy na Odrze i Nysie podpisało ośmiu Niemców, których zaliczyć należy do najwybitniejszych współcześnie żyjących przedstawicieli niemieckiego narodu. Pisaliśmy o tym szerzej w poprzednim numerze „Kultury”.

Autorzy memorandum z Tybingi nie są bynajmniej odosobnionymi pionierami. Na tych łamach odnotowałem już wystąpienia w tej sprawie prof. Karl Jaspersa oraz prof. Golo Manna.

Jaspers — heilderberski filozof (wykładający obecnie w Bazylei) — w cyklu artykułów ogłoszonych na łamach „Die Zeit” wystąpił twardo i jasno za uznaniem granicy na Odrze i Nysie i normalizacją stosunków pomiędzy Polską a Niemcami. Artykuły powyższe ukazały się w ub. roku w wydaniu książkowym.

Do analogicznych wniosków doszedł znakomity historyk niemiecki prof. Golo Mann, syn Tomasza Manna.

Redakcja hamburskiego „Die Zeit”, na którego łamach ukazywały się artykuły Jaspersa i Manna — nie zaopatruje w bezpłatne egzemplarze emi-

gracyjnych polityków i publicystów. Natomiast na biurku każdego z nas piętrzą się wydawnictwa rewizjonistyczne i ziomkowskie rozsyłane szeroko i darmowo. Ci, którzy nie śledzą dokładnie wachlarza prasy niemieckiej mogą dojść do mylnego wniosku na temat reprezentatywności prasy, którą otrzymują. Darmo jest tylko propaganda — prasę z prawdziwego zdarzenia trzeba kupować.

Należy jeszcze raz podkreślić z naciskiem, że o ile polska opinia w sprawie granicy na Odrze i Nysie jest całkowicie jednolita — o tyle po stronie niemieckiej opinia społeczna jest podzielona. Byłoby nie do pomyślenia w polskich warunkach — by powiedzmy dla przykładu — prof. Tytus Komarnicki lub prof. M. Kukiel wystąpili na łamach prasy z artykułem domagającym się zwrotu naszych ziem zachodnich Niemcom. Czy z tego należy wnosić, że jesteśmy większymi i bardziej zdyscyplinowanymi nacjonalistami niż Niemcy? Nacjonalizmu nie brakuje ani nam ani Niemcom — niestety. Ale owa jednolita solidarność w sprawie granicy na Odrze i Nysie wpływa przede wszystkim z poczucia słuszności.

Czytając w „Europäische Begegnung” obszerną dyskusję wywołaną do brze napisanym i umiarkowanym artykułem Armina Drossa — jak również polemiki z głośnym artykułem w „Der Spiegel” („Das grosse Tabu”) — nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wielu Niemców myli dwa zasadnicze pojęcia — odpowiedzialności i konsekwencji.

Weźmy przykład skrajny. Niemcy urodzeni po roku 1945 z całą pewnością nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez hitlerowców. Ale od historii własnego narodu i od konsekwencji błędów popełnionych w przeszłości można się odciąć tylko poprzez wynarodowienie. Trzeba przestać być Niemcem. Nie było bowiem dwóch narodów — hitlerowskiego i niemieckiego był tylko jeden naród niemiecki, którego Hitler był parlamentarnie i legalnie wybranym kanclerzem. Hitlera i jego Trzeciej Rzeczy nie można wymazać z niemieckiej historii — można natomiast częściowo zadość uczynić krzywdom, które popełnił. Oddarcie od Polski niemal po 20 latach ziem zachodnich — ewakuacje i wędrowki ludów z tym związane — stanowiłyby dodanie jeszcze jednej krzywdy i jeszcze jednej zbrodni do tego oceanu krzywd i zbrodni, które popełnili hitlerowcy w Polsce między 1939 a 1945 rokiem. Jeżeli ktoś tego nie rozumie — niczego nie rozumie i szkoda z nim dyskutować. Ale są Niemcy, którzy to rozumieją i to Niemcy niepomniernie wybitniejsi niż ci, którzy fabrykują rewizjonistyczne tygodniczki.

Polska prasa emigracyjna ponieważ jest zasypywana rewizjonistyczną literaturą — traci wiele cennego czasu i miejsca na polemiki z Niemcami, z którymi dyskutować nie warto i z którymi dyskutować nie ma sensu. Zostawmy to Agencji Zachodniej bo ona z tego żyje.

Najsukceszniejszą metodą oddziaływania jest akcja od wewnątrz, a nie od zewnątrz. Należy przez to rozumieć artykuły pisane do prasy niemieckiej i książki polskich autorów wydawane przez firmy niemieckie.

W Niemczech zachodnich ukazuje się sporo przekładów polskich książek nie wyluczając książek Biblioteki „Kultury”. To jest bardzo korzystne. Mimo, że Niemcy są naszymi najbliższymi sąsiadami często przychodzi im trudniej zrozumieć polski „mind” niż Rosjanom. Takie książki jak „Znie-

wolony Umysł" czy „Rodzinna Europa” Miłosza umożliwiają niemieckiemu czytelnikowi zapoznanie się z mechaniką polskich odrębności.

Ale istnieje jeszcze dziedzina polityczna. Z dziesiątków prac i książek na temat stosunków polsko-niemieckich autorów polskich — wydaje mi się, że tylko moja książka ukazała się nakładem firmy niemieckiej. Wnioskuje z tego, że nasi publicyści, historycy, pisarze polityczni — nie uważają za celowe pisanie dla Niemców i publikowanie swych prac w Niemczech. Uważają natomiast za niezbędne przekonywanie przekonanych, tzn. Polaków.

Nie jest prawdą, że domy wydawnicze zachodnio-niemieckie nie chcą wydawać kontrowersyjnych — z ich punktu widzenia — książek politycznych autorów polskich. Prawdą natomiast jest, że tych książek nie ma.

Polska prasa krajowa w stosunku do NRF uprawia „zimną wojnę”. W ustroju totalnym linia dyktowana jest „odgórnie” i nie ma miejsca ani na indywidualne oceny ani na indywidualne polityczne inicjatywy.

Emigracja znajduje się pod stałym ostrzałem prasy i instytucji rewizjonistycznych. Pewni panowie z tych kół nie tracą nadziei, że anty-komunizm stanie się z czasem platformą porozumienia polsko-niemieckiego. Jest wysoce charakterystyczne, że choć o mojej książce ukazało się kilkadziesiąt recenzji — prasa ziomkowska skwitowała ją milczeniem. Rewizjonistów interesuje propaganda — nie rzeczowa dyskusja.

Wieści rozpowszechniane przez prasę krajową i anonimowe pamflety, że na emigracji tworzy się pro-niemiecka orientacja polityczna — w mojej ocenie pozbawione są podstaw. Dopóki NRF nie uzna granicy na Odrze i Nysie o żadnej pro-niemieckiej orientacji nie może być mowy. Mogą być indywidualne „wyskoki”, ale „wyskoki” nie tworzą orientacji.

Schemat z „minionego okresu” — w myśl którego antykomunizm jest identyczny z prohitleryzmem — pokutuje jeszcze w wielu redakcjach pism krajowych, m.in. w „Polityce”. Trudno jest skompromitować emigrację oskarżając ją o antykomunizm w oczach społeczeństwa, w którym komuniści i ich sympatycy stanowią wręcz znikomą mniejszość. Perspektywy skompromitowania emigracji byłyby niepomierne korzystniejsze, gdyby udało się udowodnić, że Polacy zagranicą gotowi są dla antykomunizmu odebrać Polsce Ludowej ziemię nad Odrą i Nysą. To jest ów idealny wzorzec propagandy Bierutowej, po który sięgnął p. K. Koźniewski rozpracowując na łamach „Polityki” tajemniczy, anonimowy pamflet, który pół roku temu krążył po polskim Londynie. Pewni ludzie dobrze „poinformowani” — wśród nich „spece” z Agencji Zachodniej — autorstwo owego pamfletu przypisywali niżej podpisanemu. Przyznaję, że ubodło mnie to do żywego, bo pamflet napisany jest haniebną polszczyzną.

Ale to wszystko jest margines. Problem, któremu poświęcona jest niniejsza notatka — należałoby ująć następująco. Klasycy Bierutowej propagandy — do których zaliczam p. Koźniewskiego — twierdzą (dopóki Moskwa nie zadekretuje inaczej), że nie istnieją uczciwi i rozsądni Niemcy. Dla tych panów „dobry” Niemiec jest zawsze w cudzysłowach. To jest oczywisty hitleryzm *à rebours*.

W rzeczywistości istnieje wielu dobrych i rozsądnych Niemców. Dramat natomiast polega na tym, że interesują się nami tylko rewizjoniści natomiast rozsądni i godni szacunku Niemcy nie interesują się nami zupełnie.

Ale my nimi winniśmy się interesować zamiast tracić czas na wieczne polemiki z rewizjonistami.

Czy sprawiedliwi z Tybingi, którzy w czasach masowej „zdrady klerków”, w czasach nietowarowego w dziejach oportunistów i tchórzostwa intelektualistów — wykazali maksimum cywilnej odwagi i charakteru przeciwstawiając się otwarcie nacjonalistycznemu tabu — czy tych ośmiu Niemców godnych najgłębszego szacunku, otrzymało jakiś wyraz sympatii i uznania ze strony polskiej?

Nikt się nimi nie interesuje ponieważ nie mają oni funduszków propagandowych i nie zasypują nas tygodnikami i broszurami. Nie interesuje się nimi oczywiście Zachodnia Agencja Prasowa, bo interesują ją tylko Niemcy, których można nienawidzić, a nie ci, których należy szanować.

Emigracja jest w defensywie mimo, że znajdujemy się w znacznie korzystniejszej pozycji niż rewizjoniści niemieccy. My nie musimy budować przyczółka w Niemczech — bo wielu wybitnych Niemców podziela nasz punkt widzenia w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Rewizjonizm nie pokonamy na łamach prasy emigracyjnej. Rewizjonizm należy zwalczać na łamach prasy niemieckiej oraz publikacjami pisanymi dla Niemców przez autorów polskich. To jest droga trudna, ale wydaje mi się jedynie skuteczna. Ponieważ, w przeciwieństwie do Zachodniej Agencji Prasowej naszym celem nie jest „zimna wojna”, lecz porozumienie.

Z CENZORAMI CZY PRZECIWKO CENZOROM?

Pewien procent Polaków na emigracji uwierzył „Luboniom” i innym kapitulacyjnym duchom, że nie należy wysyłać do kraju książek polskich wydawanych zagranicą.

Trzeba wyjaśnić dwa punkty:

Punkt pierwszy. Nie jest prawdą, że wysyłając jedną książkę na jeden adres naraża się odbiorcę na szykany czy nieprzyjemności. Wysyłający ryzykuje, że przesyłka gdzieś utknie. Ale w wielu wypadkach — książka dochodzi.

Co innego jest wysłać komuś jedną książkę a co innego jest wysłać 50 książek. Nikogo nie namawiamy do wysyłania więcej niż jednej książki na jeden adres. Jedna książka nie stanowi podstawy do oskarżenia o rozpowszechnianie „zakazanej literatury”. Rozpowszechnianie oznacza kolportaż. By kolportować daną książkę czy czasopismo trzeba dysponować nie jednym egzemplarzem, lecz przynajmniej kilkoma.

Punkt drugi. Trzeba uczciwie odpowiedzieć na pytanie: W jakim celu pozostaliśmy zagranicą? Jeżeli pozostaliśmy zagranicą nie tylko dlatego, że na obczyźnie można się urządzać wygodniej niż w Polsce Ludowej — to musimy wykazać się przed sobą i innymi, że istotnie tak jest. Najprościej załatwić tę sprawę ogólnikami i frazesami. Ale nie każdy to lubi i nie każdemu to wystarcza.

Zasadniczym argumentem, który przemawia za słusznością naszej decyzji pozostania zagranicą jest fakt, że na Zachodzie możemy podejmować istotne prace, które w Polsce Ludowej nie mogłyby być dokonane. Wśród

tych istotnych prac na czoło nie wybijają się ani wybory emigracyjne, ani akademie czy kongresy, lecz nieskrępowana twórczość kulturalna.

Nie mam nic przeciwko Skarbowi Narodowemu, Kombatantom czy jakiegokolwiek innej instytucji emigracyjnej. Ale za 50 lat jeżeli ktoś powie: „emigracja polska na Zachodzie” — to będzie miał na myśli nie wyblakłe akta Skarbu Narodowego, nie spory i rozłamy obumarłych partii — lecz dzieła wydane przez nas na obczyźnie. Na sicie Historii zatrzymują się tylko rzeczy zasadnicze — wszystko inne splywa do zlewu niepamięci.

Czy się jest emigrantem politycznym czy się nim nie jest — to nie jest kwestia takiej czy innej legitymacji. To zależy od odpowiedzi na pytanie: czy się bierze udział w walce o wolność myśli — innymi słowy czy się jest po stronie cenzorów czy przeciwko nim. Rozstałem się ze Stefanem Kisielewskim dopiero w chwili, kiedy stanął otwarcie po stronie cenzorów.

Chciałbym by Czytelnicy „Kultury” opowiedzieli się czynnie przeciwko cenzorom — by przynajmniej raz na dwa miesiące wysyłali do kraju choćby jedną książkę. Bo choć wydajemy książki dla Polaków bez względu na ich miejsce zamieszkania, stacją docelową wszystkich naszych poczynań jest kraj. I by dotrzeć do owej stacji potrzebna jest Wasza pomoc i aktywne poparcie.

OSOBLIWOŚCI NASZE I CUDZE

I

„Tygodnik Demokratyczny” przedrukował wspomnienia gen. Sławoja Składkowskiego, które ukazały się w „Kulturze”. „Tyg. Demokratyczny” drukując owe wspomnienia w szeregu odcinków nie podał źródła pochodzenia tekstu. Po ukazaniu się pierwszych odcinków redaktor „Kultury” napisał list do redakcji „Tyg. Demokratycznego” — domagając się zaznaczenia, że przedruku dokonano z „Kultury” lub zaprzestania publikacji dalszej części wspomnień. Na powyższy list „Kultura” nie otrzymała odpowiedzi a „Tyg. Demokratyczny” spokojnie przedrukował całość wspomnień gen. Składkowskiego, opatrując je niewybrednymi podtytułami.

Kilka tygodni temu odwiedził nas pewien znajomy z Polski, który przed wyjazdem przypadkowo spotkał się z redaktorem „Tyg. Demokratycznego”. Redaktor owego szczególnie „demokratycznego” organu powiedział naszemu znajomemu, że dostał list z „Kultury”, który go bardzo ubawił... Przygotowując pierwszy odcinek wspomnień gen. Składkowskiego redaktor „Tyg. Demokratycznego” — według relacji naszego znajomego — zamieścił notę z zaznaczeniem, że przedruku dokonano z „Kultury”. Cenzura skreśliła notę. Wobec czego całość wydrukowano bez powołania się na źródło. Oczywiście redaktorowi „Tyg. Demokratycznego” nie przyszło nawet na myśl, że jeżeli nie można podać źródła to należy zrezygnować z przedruku. Mógł wreszcie napisać list i przeprosić redakcję „Kultury”. Ale to również nie przyszło mu do głowy.

Na papierze Polska Ludowa należy do wszystkich możliwych międzynarodowych konwencji. W praktyce obowiązuje jednak prawo dżungli. Wszystko dosłownie zależy od widzimisię danego kacyka-cenzora i prawa strachu.

„Trybuna Ludu”, która jest nieco ważniejsza od „Tyg. Demokratycznego” — omawiając wspomnienia płk. Mitkiewicza, które ukazały się w „Kulturze” zacytowała źródło.

Ktoś powie, że to są drobiazgi. Tak, to są drobiazgi, ale jakże wymowne!

II

Alan M. Williams na łamach „Die Welt” i „Figaro Littéraire” opisuje swą wizytę w Związku Pisarzy Sowieckich w Moskwie. Panuje tam wielkie zaniepokojenie z powodu światowego rozgłosu książek Abrama Tertzta.

Pani E.S. Romanowa — przewodnicząca komitetu zagranicznego cytowanego Związku oświadczyła Williams’owi: „Uważamy, że to wszystko są fałszerstwa. Z treści tych książek wynika, że nie są napisane przez obywatela sowieckiego. Wiemy również, w którym kraju fabrykuje się te fałszerstwa”.

P. Romanowa nie przekonała ani Williams’a ani nikogo. Bo właśnie z treści książek Terca wynika, że mógł je napisać tylko obywatel sowiecki.

III

Panuje obecnie moda zarzucania publicystom i redaktorom, że popadają w sprzeczności. Gdybym zestawiał co pisał o mojej osobie Stefan Kisielewski w swojej książce „Opowiadania i Podróże” z tym co wypisuje na mój temat obecnie — okazałoby się, że to już nie są sprzeczności, ale absolutne przeciwieństwa.

Ale niewątpliwie rekord w manii wyszukiwania sprzeczności pobili Silva, który w „Wiadomościach” (8.4. br.) — zestawiał zdanie wyjęte z rosyjskiego numeru „Kultury” z fragmentem artykułu w „Buncie Młodych” „tegoż Jerzego Giedroycia”.

Fakt, że pomiędzy artykułem w „Buncie Młodych”, a rosyjskim numerem „Kultury” upłynęło dokładnie ćwierć wieku dla Silvy jest bez znaczenia. W czasie tych dwudziestu pięciu lat odbyła się druga wojna światowa, utraciliśmy niepodległość, wynaleziono bombę atomową, wdarto się w przestrzeń kosmiczną, — ale to oczywiście w niczym nie usprawiedliwia redaktora jeżeli dziś drukuje inne artykuły niż 25 lat temu.

IV

Związkowi Sowieckiemu jak dotąd nie powiodło się rozbudować stosunków handlowych z krajami kontynentu afrykańskiego. Eksport do całego „bloku wschodniego” wyraża się cyfrą £ 110 milionów — co stanowi mniej niż 5% eksportu afrykańskiego.

Ale w całym obozie „państw socjalistycznych” powstają towarzystwa przyjaźni z ludami Afryki. W Warszawie istnieje m.in. Tow. Przyjaźni Polsko-Ghaneńskiej. Pierwszy transport darów z Warszawy, który przybył do

Accra składał się z używanych zimowych ubrań oraz czapek z klapami na uszy...

Ale i w tej dziedzinie rekord należy do Rosjan.

Kilka miesięcy temu zawiął do portu Conakry sowiecki transport zawierający kilka tysięcy „bidetów”, których nikt nigdy nie zamawiał. Lecz i to jeszcze nie był rekord. Rekord egzotyczności w handlu z Afryką ustanowili Rosjanie w ubiegłym roku, gdy spokojnie wyładowali w porcie Conakry potężny... pług śnieżny. (Powyższe dane zaczerpnięto z Collin Legum „Russia's Failure in Africa”).

LONDYŃCZYK

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Tozab House
LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd
36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Sąsiedzi

Kijów o „Antologii”

W lecie ubiegłego roku, w Kijowie ukazała się książka O.R. Mazurkiewycza, poświęcona literackiej działalności emigracji — zjawisko jak dotąd bodajże niesłychane (1). Były poszczególne artykuły w prasie, ale książek na ten temat — o ile wiemy — nie było.

Stosunkowo największą ilość stron w tej książce autor przeznaczył na omówienie antologii Jurija Ławrynenki, pod tytułem „Rozstrzelane Odrodzenie”. Obejmuje ona utwory oraz literackie sylwetki pisarzy sowieckiej Ukrainy z drugiego dziesięciolecia b. wieku, pisarzy, którzy poddani zostali represjom i zakazom podczas pogromu i ludobójstwa, przeprowadzonego przez Moskwę na Ukrainie w latach trzydziestych. Od tej antologii Mazurkiewicz zaczyna, powraca do niej niejednokrotnie w dalszym tekście i wreszcie na zakończenie poświęca jej całe trzydzieści stron polemiki. Omawia ją z wyjątkową dokładnością bibliograficzną (2), ale nie odważa się wymienić nazwy antologii: „Rozstrzelane Odrodzenie”; te dwa słowa stanowią dla niego t a b u .

Podobnie jak inni sowieccy autorzy, Mazurkiewicz zaprzecza zarówno zjawisku literackiego odrodzenia w dwudziestych latach, jak i późniejszemu jego zniszczeniu. Główne jego zadanie polega na zlikwidowaniu wszelkich śladów po tych dwóch historycznych zjawiskach. Oto czemu Mazurkiewicz gniewa się na Ławrynenkę za umieszczenie w antologii utworów z lat dwudziestych, zamiast panegirycznej pisaniny na cześć Stalina z następnego dziesię-

(1) O.R. Mazurkiewicz. *Zagraniczni fałszerze ukraińskiej literatury*. Kijów. Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej, 1961, 192 str.

(2) Wydawcę antologii określono w następujących słowach: „Przygotowana została do druku staraniem kontrewolucyjnego polskiego wydawnictwa „Kultura” i wydana pod firmą „Instytutu Literackiego”, o czym świadczy znak wydawniczy, a na odwrocie strony „Copyright by „Kultura”, Paris 1959”. (str. 35).

ciolecia. „Jakże pragnęliby zagraniczni fałszerze — pisze Mazurkiewicz — wykreślić z literatury sowieckiej trzy ostatnie dziesięciolecia, wskrzęsić dekadencję i modernizm...” (str. 157).

Polemizować z tymi zarzutami Mazurkiewicz nikt już obecnie nie zechce, gdyż po XX-ym Zjeździe KPRS stały się one anachronizmem. Obecnie już i w Moskwie i w Kijowie pisze się i mówi o eksterminacji pisarzy i o tandetnej wartości pisaniny epoki stalinowskiej. Co prawda, utwory, zakazane za czasów Stalina, w dalszym ciągu nie docierają do czytelnika.

Emigracyjnych pisarzy Mazurkiewicz nazywa zdrajcami, zaś o autorze antologii „Rozstrzelane Odrodzenie” pisze co następuje:

„Na przykład fakt, że jednocześnie w Nowym Yorku i w Paryżu pojawiły się historyczno-literackie omówienia pióra zdrajcy J. Ławrynenki, wręcz sprzeczne z tym, co pisał on niegdyś (na ten sam temat) w Charkowie i w Kijowie, wyjaśnia się sam przez się bardzo łatwo: przystosowując się do warunków, kameleon szybko zmieniają kolor skóry!” (str. 48).

Mazurkiewicz przemilcza, że swego czasu Ławrynenko pisywał w prasie emigracyjnej, że jeszcze jako student wydał w Charkowie, w latach 1929-30, książki o Tycynie, Błakitym i Czumaku. Książka o Tycynie, mimo, że odpowiednio „przeredagowana” przez politycznych redaktorów, została dołączona do sądowej sprawy Ławrynenki, który też zapłacił za nią ośmioma latami więzienia, zesłaniem i łagrem na Tajmyrze. Rzecz jasna, nawet w roku 1929-ym nie było na Ukrainie całkowitej swobody słowa. Aby powiedzieć całą prawdę, trzeba było uciekać na emigrację. Wysuwając ten obłudny zarzut, Mazurkiewicz jedynie wyjaśnił, dlaczego prawie jedna trzecia część wszystkich pisarzy ukraińskich znajduje się obecnie na emigracji.

Zahaczając o działalność emigracyjną, Mazurkiewicz cofa się o całe dziesiątki lat, cytując mnóstwo nazwisk i wydawnictw, zaczynając od Dymitra Doncowa, Jewhena Małaniuka, Jurija Darahana i Jurija Łypy, a kończąc na najmłodszych pisarzach z tak zwanej „nowojorkińskiej grupy”. Specjalnie ostro napada na „Encyklopedię Ukraińską” (artykuły Mykoły Hłobenki-Ohoblina), na wydawnictwa UWAN i SSZA, a zwłaszcza na Dymitra Czyżewskiego.

Niemal na każdej stronie „Zagranicznych fałszerzy” napotkamy błędy rzeczowe i umyślne przekręcenia faktów. Jeśli zaś chodzi o przyjęty ton, jest to po prostu zbiór potajanek. Oto kilka przykładów: „super-bandydata”, „ludojad”, „wrog ludu”, „zadzumione myszy”, „mistrzowie skrwawionego pióra”, „tępy wyrodek”, „mameluk” itd. Zaś profesora Jurija Szewieljowa-Szerecha autor nazywa... rasistą! Należy stwierdzić, że w Moskwie polemik z emigracją w ten sposób już się nie prowadzi — to smutny przywilej kolonialnych „peryferij” moskiewskiego imperium, dowód, do jakiego stopnia są one poniżane.

Książka Mazurkiewicza wydana została w nakładzie wcale wysokim, bo liczącym dziesięć tysięcy egzemplarzy. To sporo, jeśli porównać z nakładami innych kijowskich wydań z dziedziny studiów literackich. I mimo to, nie puszczono jej zagranicę. Przeznaczona jest wyłącznie na wewnętrzny użytek. To całkiem zrozumiałe: samej tylko antologii „Rozstrzelane Odrodzenie” przedostało się przez żelazną kurtynę na Ukrainę kilkaset egzemplarzy.



Ale łamanie żelaznej kurtyny odbywa się również w przeciwnym kierunku. Właśnie teraz emigracja ukraińska miała okazję zapoznać się z utworami literackimi, które ukazały się ostatnio na Ukrainie. Bohdan Krawciw, dobrze zorientowany w ukraińskich procesach literackich w kraju, pisze o „rewolucji poetyckiej”, która tam nastąpiła w roku 1961-ym.

„Wraz z nadejściem roku 1961-ym, na naszych oczach zaczął odbywać się prawdziwy przewrót w poezji ukraińskiej w Sowieciech... Młoda poezja wyrwała się spod lodowej góry soc-realizmu żywym i rwącym strumieniem... Jest ona całkiem nowoczesna, przypomina najlepsze wzory modernistycznej poezji ukraińskiej lat dwudziestych, czy też tego samego okresu w Polsce, Niemczech, Francji i innych krajach Zachodu”.

„Podnoszą sztandar nowej poezji nie tylko jednostki. Dziś występuje już cała kohorta: oprócz Liny Kostenko i Mykoły Binhranowskiego, Mykoła Synhaiwskyj, Wołodymir Pidpałyj, Iwan Dracz, Witalij Korotycz, Jewhen Hucalo, Mykoła Kłymenko. Są to przeważnie najmłodszy, urodzeni i wychowani w warunkach sowieckiego systemu, a niektórzy z nich pochodzą nawet z komсомolskich szeregów. W swoich wystąpieniach nie ograniczają się do odnawiania formy poetyckiej. Zaczynają odważnie pokazywać tragiczne strony współczesnej rzeczywistości, mówić otwarcie o tym, co dotychczas stanowiło tabu, za co dotychczas reżym surowo karał, a nawet niszczył”.

Na powstanie tej nowej poezji złożyło się sporo elementów i bodźców, przede wszystkim rozszerzenie i pogłębienie wykształcenia, znajomość z piśmiennictwem krajów tak zwanej „ludowej demokracji”, a także krajów zachodnich... i wreszcie wpływ poetyckich poszukiwań zniszczonych przez bolszewicką władzę twórców i kierunków z dwudziestych i trzydziestych lat...”.

„...wystąpienia tych młodych poetów spotykają się z gorącym przyjęciem w najszerszych kołach ukraińskiej młodzieży. Wszystko to doprowadziło do niebywałego od dawna zjawiska: młoda poezja na Ukrainie znajduje się obecnie nie tylko na przelomie, ale w ofensywie i w pochodzie”.

„Sytuacja ta doprowadziła do obszernej literackiej dyskusji, która odbyła się w Kijowie, 10-go listopada 1961 roku, podczas obrad sekcji krytyki i poezji Związku Pisarzy Ukrainy. Dotyczyła ona głównie poezji młodych”.

Dyskusja wyszła poza narady sekcji, przedostając się do prasy i docierając do społeczeństwa.

„Zarówno wystąpienia młodych poetów — kończy swe rewelacyjne i dobrze udokumentowane omówienie Bohdan Krawciw — jak szeroki odgłos, z jakim spotykają się one w szerokich kołach społeczeństwa ukraińskiego, a

zwłaszcza wśród młodzieży (nowe zbiory wierszy rozchodzą się natychmiast, znacznie szybciej niż książki starszych poetów, i są omawiane z ożywieniem), świadczą, że we współczesnej poezji ukraińskiej powstał ferment, rozpoczynający proces, który w konsekwencji może mieć decydujący wpływ nie tylko na oblicze nowej ukraińskiej literatury, ale i na duchowość ukraińską. To, co w roku 1961 stało się na odcinku poezji, można określić jako początek prawdziwej rewolucji” (3).

Jak widzimy z omówienia Krawciwa, współczesna młodzież poetycka na Ukrainie odnowiła zerwany związek z piśmiennictwem, które po dziś dzień pozostaje zakazane. Jeżeli antologia „Rozstrzelane Odrodzenie”, która zaczęła przedostawać się przez żelazną kurtynę w końcu 1959 roku, w jakimś, choćby najmniejszym stopniu przyczyniła się do opisanych przez Krawciwa zjawisk, staje się zrozumiałe, dlaczego właśnie antologia ta przepełniła „czarę cierpliwości” moskiewskich władców i spowodowała wydanie książki Mazurkiewycza, „Zagraniczni fałszerze”. Niezwykłe to wydawnictwo, przeznaczone na wewnętrzny użytek, ukazało się w księgarniach Ukrainy właśnie w chwili największego natężenia poetyckiego wybuchu roku 1961.

Ostatnio prasa kijowska ruszyła już do ostrego ataku przeciw poetyckiej młodzieży, co zdaje się świadczyć, że Centralny Komitet Partii postanowił przystąpić do likwidacji niebezpiecznego zjawiska.

J. Ł.

Początki literatury ukraińskiej

W Ukraińskim Instytucie Literatury w Monachium ukazał się przedruk cennej pracy znanego historyka literatury Mikołaja Zerowa pt. Nowe ukraińskie piśmiennictwo (1).

Na pięknie wydaną książką składają się cztery rozdziały poświęcone początkom literatury ukraińskiej od Kotlarewskiego do Kwitki-Osnowianenki oraz cztery, mniejsze lecz niemniej ciekawe, studia wiążące się z omawianym okresem.

Korzystając z uprzywilejowanej pozycji literatury o większym zasięgu kulturalnym, czytelnik polski odplaca zazwyczaj młodszemu sąsiadowi

(3) Bohdan Krawciw, „Wielka Niedźwiedzica i gończe psy. O nowej poezji ukraińskiej w URSS”. „Współczesność”, 1962, nr 2, patrz str. 26-27, 38, 49.

(1) Mikołaj Zerow: *Nowe ukraińskie piśmiennictwo*, Muenchen, 1960.

ukraińskiemu tym samym „szlachetnym *désintéressement*”, z jakim spotyka się nasze piśmiennictwo ze strony czytelnika zachodniego. Jest rzeczą znaną, że początki ukraińskiej literatury pięknej sięgają zaledwie końca 18 wieku, ściślej biorąc 1798 r. Rok urodzin Adama Mickiewicza stanowi zarazem datę druku początkowych części „Eneidy trawestowanej” Kotlarewskiego, powszechnie uważanej za pierwsze ukraińskie dzieło literackie. Z tego faktu młodości kulturalnej wyciąga się zazwyczaj fałszywe wnioski, odnosząc się z nieukrywaną wyższością do piśmiennictwa bez dłuższej tradycji. Nie zapominajmy jednak, że nieistniejąca prawie poprzednio literatura rosyjska w ciągu wieku wystrzeliła geniuszami Puszkina, Tołstoją i Dostojewskiego; podobnie potężne talenty Szewczenki i Franki, nie mówiąc o innych, zapowiadają duże, istotne możliwości rozwojowe literatury ukraińskiej.

Doskonały pedagog, jakim był Mikołaj Zerow, przystępując do analizy początków piśmiennictwa ukraińskiego nakreślił na użytek swych słuchaczy jego główne linie rozwojowe. Tak więc po okresie 1798-1830, reprezentującym zmierzch klasycyzmu, dostrzega on rozkwit romantyzmu w latach 1820-1860. Od tej daty rozciąga się — zdaniem jego — triumf naturalizmu, podczas gdy od 1890 dochodzi do głosu neoromantyzm czy neorealizm.

Studium Zerowa zajmuje się wyłącznie dwoma pierwszymi okresami. Poświęciwszy cały rozdział „Eneidzie” Kotlarewskiego i jego naśladowcom w poezji (m. in. przekład „Antygony” Sofoklesa przez Niszczynskiego porównany z rosyjskim, pióra Tadeusza Zielińskiego), analizuje on dokładnie ową tendencję schyłkowego klasycyzmu, który w swoistym baroku odtwarza odległy świat Wergiliusza na obraz i podobieństwo Kozacczyny. Innym objawem upodobania w przeszłości klasycznej jest dzieło Hułak-Artemowskiego i Borowikowskiego, dwóch naśladowców Krasickiego w dziedzinie bajki. Jeśli idzie o prozę omawianego okresu, pozostaje ona również pod silnym wpływem świadomej trawestacji czy nawet parodii utworów klasycznych; łatwo ją dostrzec w najlepszych opowiadaniach Kwitki. W ten sposób pisarze, nie mający jeszcze dość sił do samodzielnego lotu, w nacechowanych humorem lub ironią wariacjach na tematy opracowane wcześniej przez innych, sprawdzają swe możliwości twórcze.

Fakt, że Zerow pozbawiony tzw. „fałszywego wstydu”, analizuje dogłębnie osiągnięcia lecz także i wady podobnej literatury stanowi jego pierwszą rzetelną zasługę. Drugorzędne lub nawet trzeciorzędne utwory, najczęściej mające jedynie wartość historyczną, dostarczają idealnej okazji, by wykazać znajomość innych literatur. I rzeczywiście na każdym kroku spostrzega się niecodzienne odczytanie w utworach rosyjskich i polskich, tę szeroką skalę porównawczą, która pozwala mu na zachowanie perspektywy i umiaru przy nieraz surowej lecz zawsze obiektywnej, ocenie własnej literatury.

Powyższe zalety książki Zerowa sprawiają, że, obserwując jego stosunek do analizowanej twórczości, można się dużo nauczyć. Szczególnie absolutny brak szowinizmu jest dziś cechą tak rzadką, iż należy z uznaniem podkreślić ten charakterystyczny rys ukraińskiego uczonego.

Zygmunt MARKIEWICZ

Książki

Owoc pracowitego żywota

„Dzieje Porozbiorowe Polski” Prof. Mariana Kukieła, pomyślane jako *podręcznik uniwersytecki*, dają więcej niż to zapowiedziano w skromnej przedmowie autora — są bowiem próbą syntezy rozległych badań nad historią Polski XIX i początku XX wieku, których wynikiem były liczne opracowania monograficzne, na większą skalę zapoczątkowane przez Szymona Askenazego. Askenazy stworzył swoją szkołę z liczną plejadą uczniów, którym potężną swoją indywidualnością narzucił swoją metodę a nawet swój swoisty styl. Wśród tych uczniów Kukiel był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych i rola jego w badaniach nad historią XIX wieku była niepoślednia. Przed wojną dał szereg wnikliwych badań nad epoką napoleońską i historią wojen polskich, a po wojnie, dzięki tak szczęśliwemu dla badań, jego zupełnemu oderwaniu się od bieżącej polityki, już więc w wieku więcej niż dojrzałym, Marian Kukiel stworzył może największe swoje dzieła i studia, z których praca o Czartoryskim, owoc długoletnich poszukiwań, a również przyczynki do historii tajnych związków i ich roli w historii nowoczesnej Polski, należą do najbardziej wartościowych.

„Dzieje Porozbiorowe” wyszły więc spod pióra jednego z najwybitniejszych epigonów Szkoły historycznej Askenazego. Odbiło się to nie tylko na metodzie badawczej, ale również i na stylu, który może niejednemu wydawać się zbyt retoryczny, ale który również pociąga ciepłem uczucia patriotycznego. Jest to tym bardziej zrozumiałe że autor pisze przede wszystkim dla młodzieży, dla przedstawicieli tego pokolenia, które znów przeżyło okres klęski i skłonne jest raczej do krytycyzmu niż do entuzjazmu. W okresie kiedy w kraju zwalczą się „bohater-szczyzną”, w epoce w której środek ciężkości przenosi się na

Marian Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowe 1795-1921*, wyd. B. Świderski, Londyn, 1961, cena 48/- lub 7 dol.

zmagania między gigantami, uzbrojonymi w środki techniczne, niedostępne dla mniejszych narodów, Kukiel który stał u kolebki polskiego ruchu zbrojnego, występuje jako przedstawiciel tego pokolenia, które przeżyło swój „sen o szpadzie”, o ile bliższy epoce napoleońskiej, której jest szczególnym znawcą, niż naszych czasów, w których maszyna przewyższa największy wysiłek indywidualny czy zbiorowy.

Już więc w swym zasadniczym ujęciu „Dzieje Porozbiorowe” są jakby zamknięciem pewnej epoki, pewnego rodzaju testamentem schodzącego już z widowni pokolenia. Pisał je człowiek u schyłku swego życia (niech mu Bóg uzyczy najdłuższych jeszcze lat!), życia, w ciągu którego z mniejszym lub większym powodzeniem, występował również jako aktor, a choć to życie nie oszczędziło mu zawodów i dużo goryczy, pisał swą pracę „bez żółci”, odnosząc się nieraz bardzo po rycersku do swych przeciwników, co jak na Polaka jest wielkim osiągnięciem. Może to uczynić jedynie człowiek, w którym wygasły już namiętności i dla którego sprawa polska jest sprawą nadrzędną, ponad „potępieńcze swary” rodaków. Prawdopodobnie dlatego, choć nie pomija stron ciemnych naszej historii, bo historia nie może być *Image d'Epinal*, stara się znaleźć usprawiedliwienie nawet dla pewnych wypaczeń, o ile to tylko jest możliwe, nie kwestionując, z wyjątkiem jawnej zdrady, dobrej woli i szlachetności pobudek. W rezultacie ogólny obraz wychodzi może czasem zbyt różowo i jest zbyt wyidealizowany, choć, zgodnie ze swą metodą ściśle naukową, autor nie odchodzi od źródeł, jedynie w doborze barw ma wyraźną skłonność do wyszukiwania jaśniejszych. Jest więc w tym niewątpliwie pewne założenie pedagogiczne, ale to samo można powiedzieć o całej szkole Askenazego. Powstawała ona w okresie, kiedy historia miała za zadanie przebudzanie świadomości narodowej i przewyższenie pesymizmu, który zaszczerpia szkoła krakowska i kiedy praca historyka była służbą dla narodu.

Ten fakt że prof. Kukiel napisał szereg cennych i odkrywczych monografii historycznych, że jego specjalnością były: historia wojen polskich, epoka napoleońska, działalność Czartoryskiego, a ostatnio i Lelewela oraz rola tajnych związków węglańskich i wolno-mularskich, zwłaszcza w naszych zrywach powstańczych, nie mógł nie pozostać bez wpływu na sam układ książki. Te rozdziały, które oparte są na jego uprzednich badaniach monograficznych są też najbardziej wyczerpujące, a już opisy operacji wojennych, bardzo precyzyjne i wykazujące głęboką wiedzę wojskową autora, należą do najbardziej barwnych fragmentów książki, przemawiających do wyobraźni jak piękne obrazy batalistyczne. Po raz pierwszy, w ramach takiego podręcznika, czytelnik otrzymuje pełny obraz naszego wysiłku zbrojnego, od insurekcji kościuszkowskiej do zwycięskiej wojny roku 1920.

Działalność największego naszego statysty w XIX wieku,

ks. Adama Czartoryskiego, występuje po raz pierwszy, w ramach tak szerokiego opracowania, z należytą wyrazistością. Działalność ta objęła więcej niż pół wieku, choć były w niej dłuższe przerwy, spowodowane załamywaniem się jego polityki. Autor wykorzystał tu w pełni nie tylko wyniki swych własnych prac nad Czartoryskim, ale również rozległe studia nad polityką Hotelu Lambert, zapoczątkowane na większą skalę przez Marcelego Handelsmana i jego uczniów, a w kraju również prof. Wereszycykiego. Choć dużo tu jeszcze pozostaje do zbadań, zwłaszcza w archiwach francuskich i angielskich i studiów nad tą epoką nie można uważać za zamknięte, prof. Kukiel dał syntezę tych wszystkich prac, opartą na doskonałej znajomości dotychczas wyzyskanych źródeł (nie darmo był on w okresie po-majowym bibliotekarzem Biblioteki Czartoryskich w Krakowie). Postać ks. Adama występuje u Kukieła bardzo żywo, widać jak mu jest ona bliska; jest to portret „bez cieni”, choć autor zdaje sobie sprawę z tragizmu bezwzględnych wysiłków księcia Adama, które streszczały się w słowach: „Chcę aby prawa Polski były wypisane na murach wszystkich parlamentów Europy”.

Zarówno wysiłki księcia Adama na emigracji — (z jego rozległymi stosunkami z czynnikami miarodajnymi Zachodu nie mogą być porównane stosunki żadnego odłamu następných emigracji, nie wyłączając naszej), jak i zabiegi polskiego obozu radykalnego związania sprawy polskiej z dążeniami ludów Europy do wolności, nie mogły, w danych warunkach historycznych, dać żadnego innego wyniku, jak chwilowe odruchy gabinetów zachodnich i opinii publicznej, bo mocarstwa rozbiorcze były związane, jak żelazną obręczą, solidarnością w ciągłe żywej sprawie polskiej i obawą o utratę swoich nabytków. Sprawa polska służyła więc tylko dla dywersji, co szczególnie można powiedzieć o polityce francuskiej, na którą tak zawsze liczyli Polacy, zafascynowani legendą napoleońską. Jest zasługą Kukieła że tę rolę Francji niejednokrotnie uwypuklił, a reasumując można powiedzieć że słuszne były słowa Thiersa po katastrofie 1870 roku: „Przed czterdziestu laty już mówiłem i powtarzam z trybuny parlamentarnej, że rachuby na dawną Polskę są w stosunku do niej nielojalnością a w stosunku do nas samych wielkim oszustwem. My sami gubiliśmy Polskę od lat czterdziestu nie chcąc jej podtrzymać, a z Rosji zrobiliśmy sobie nieprzejednanego wroga”. Jak to Kukiel słusznie dowodzi, jedyne szanse odzyskania niepodległości miała Polska przy boku Francji za czasów Napoleona, ale klęska 1812 roku rachuby te zniweczyła. Nadzieje na „Napoleonka” poczciwego Rzeckiego z „Lalki” były zrozumiałe u tego weterana, ale podobne iluzje, podtrzymywane przez Hotel Lambert już po śmierci księcia Adama, miały tragicznie zaciążyć nad beznadziejną walką w roku 1863.

Chcąc dać możliwie pełny obraz życia narodu w ciągu całego

okresu, prof. Kukiel nie ogranicza się do historii politycznej, ale daje również przekrój życia gospodarczego i stosunków społecznych, a nawet zajmuje się twórczością literacką i naukową. Uważam to w zasadzie za usprawiedliwione. Podobnie postępuje G.M. Trevelyan w swojej klasycznej „History of England”, choć kładzie nacisk raczej na stosunki gospodarcze i społeczne. Bez tego historia żadnego narodu nie jest pełna. Jednostronne, niewątpliwie, ale pod wielu względami odkrywcze badania w kraju nad historią gospodarczą i socjalną Polski, przyniosły w ostatnich czasach dużo cennego materiału i do pewnego stopnia przywróciły równowagę w studiach historycznych nad Polską XIX wieku. Kukiel włącza też literaturę i sztukę, jak również rozwój różnych gałęzi nauk, ze szczególnym, rzecz prosta, uwzględnieniem nauki historii. Specjaliści mogą mieć pewne obiekcje co do potraktowania poszczególnych działów, które — należy to przyznać — nie jest równomierne. Mogą mu zarzucić, że kieruje się raczej swymi własnymi upodobaniami intelektualnymi. Nie wątpliwie zadanie tak postawione przerasta, przy rozwoju poszczególnych dyscyplin naukowych, siły jednego specjalisty. Jednakże prof. Kukiel może się zasłaniać tym, że przy wyborze, który zawsze jest dowolny w tak wielkim skrócie, kierował się kryterium wpływu życia intelektualnego na ogólne życie narodu, na jego związanie z ogólnym nurtem myśli ludzkiej, a jeśli chodzi o literaturę, wpływ jej na naszą umysłowość i nawet na życie polityczne był niewspółmiernie większy niż w jakimkolwiek innym kraju. Nie darmo Wyspiański wołał: „Poezjo precz, ty jesteś tyranem”. Wpływ romantyzmu na polski czyn zbrojny nie mógł więc być pominięty.

Osobiście wolałbym, aby „dzieje porozbiorowe” zamykały się rokiem 1914 albo 11 listopada 1918 (albo żeby te ostatnie rozdziały, poświęcone najnowszej historii polskiej, były potraktowane znacznie obszerniej), choć stracilibyśmy przez to opis walk legionowych i wojny 1920 roku. Ciekawość, zwłaszcza młodego czytelnika, zaostza się w miarę tego jak przybliży się data, tym bardziej, że może mieć niepełny, albo tendencyjnie przedstawiony, obraz wypadków, przekazany w tradycji ustnej. 50 stron poświęconych okresowi zrastania się Rzeczypospolitej, cztery strony dla sprawy polskiej na Konferencji Pokojowej w Wersalu, to trochę za mało. Autor poświęcił zresztą gros swego opowiadania zabiegom polskim, dając bardzo ułamkowy obraz ogólnej sytuacji międzynarodowej. Prawda, że literatura jest tu ogromna i że najnowsza historia to osobna gałąź wiedzy a dużo spraw jest jeszcze spornych i niewyjaśnionych. Autor bardzo dyplomatycznie prześlizguje się nad sprawami drażliwymi a państwa zachodnie wyraźnie oszczędza, może dlatego że uważa poruszanie tego tematu za drażliwe wobec kraju. Są też pewne ustępy, co do których mam zastrzeżenia, a wymienię tylko kilka z nich. Mówiąc o zajęciu Wilna przez wojska niemieckie, podaje słowa odezwy gubernatora wojskowego v. Pflaile o Wilnie, jako

„o perle Korony Polskiej”, choć to był tylko drobny i przemijający epizod. Czy nie należałoby raczej powiedzieć o całej polityce „Ober-Ostu” w prowincjach zabranych, kierowanej przez Ludendorfa, o zabiegach Erzberga, mających na celu zjednanie Litwinów, o całym szeregu aktów wyraźnie wrogich, a zmierzających do poróżnienia Polaków z ludami, z którymi łączyły ich węzły historii. Wiemy dobrze jak to obciążało państwo polskie w następnym okresie, właśnie w okresie zrastania się Rzpltej. Mało i ułamkowo powiedziano też o planach aneksyjnych niemieckich, choć autor powołuje się na znakomitą pracę Wernera Conzego, „Polnische Nation und deutsche Politik”, uzupełnioną przez inną pracę, też wyszłą spod pióra historyka niemieckiego, Immanuela Geissa, „Der Polnische Grenzstreifen, 1914-1918”, wydaną w roku 1960.

Nie mogę też przyjąć twierdzenia, że po manifeście Tymczasowego Rządu Rosyjskiego z dnia 30 marca 1917 roku: „państwa sprzymierzone... traktowały Polskę jako przyszłego partnera w stosunkach międzynarodowych”, bo przede wszystkim nigdy, nawet w Wersalu, nie traktowały Polski, jako partnera, a tylko jako stronę, jako państwo o ograniczonych interesach, a w każdym razie przełomowym momentem był traktat Brzeski. Do tego czasu dążenia do pokoju kompromisowego z państwami centralnymi były bardzo silne i dawały powód do daleko idącego niepokoju. Bo przecież dopiero deklaracja wersalska była wspólnym oświadczeniem sprzymierzonych, wiążącym je na przyszłość. Ale przedtem była nie tylko deklaracja Wilsona z dnia 8 stycznia (14 punktów) ale i deklaracja Lloyd George'a, o parę dni wcześniejsza, ale w skutkach niemniej ważna, bo wyraźnie zacieśniająca przyszłe granice Polski do terytorium etnograficznego (*genuinely Polish elements*). A również i XII Artykuł 14 punktów Wilsona zawierał pewne cofnięcie się ze stanowiska zajętego przez niego w mowie z dnia 22 stycznia 1917 roku, bo nie znajdujemy w nim słowa *united* a poza tym on również stawał na stanowisku etnograficznym (*the territories inhabited by indisputably Polish population*).

Autor podaje za Dmowskim twierdzenie, że wysunął on wobec Lansinga postulat pozostania wojsk niemieckich na okupowanych przez nie terytoriach dawnej Rosji, choć twierdzenie to nie znajduje żadnego potwierdzenia w aktach państw zachodnich.

Oszczędzając wyraźnie państwa zachodnie Kukiel nie przedstawia w pełny sposób polityki „faktów dokonanych” na wschodzie przez Piłsudskiego, które wywoływały tak gwałtowne sprzeciw na konferencji pokojowej i w łonie Rady Najwyższej.

Podnieść muszę natomiast, że pierwszy raz w sposób tak jasny przedstawił prof. Kukiel wkład do wojny 1920 roku niewielkich ale bitnych sił ukraińskich Petlury. O samym układzie z Petlurą nie wiele i nawet nie jest podana jego data. Z drugiej strony twierdzenie, że jesienią 1919 roku „Polska stała wo-

bec możliwości niezwłocznego zawarcia pokoju na linii zbliżonej do ówczesnej linii frontu, więc korzystniejszej od późniejszej ryskiej” nie jest ściśle, ponieważ w grę wchodziła tylko linia rozejmowa, a rokowania pokojowe — czego Piłsudski się obawiał — odbywałyby się przy rozpętaniu wielkiej akcji propagandowej na Zachodzie przeciw imperializmowi polskiemu i miały służyć do wewnętrznego rozkładu społeczeństwa polskiego. Teza że wtenczas Polska mogła zawrzeć korzystniejszy pokój, była tezą sowiecką po traktacie Ryskim, bo trzeba było przekonać naród rosyjski, że w gruncie rzeczy wojnę Sowiety wygrały. Teza ta, która nieraz służyła przeciwnikom Naczelnika Państwa była, między innymi, bezkrytycznie przyjęta przez generała Szeptyckiego w jego książce „Front Litewsko-Białoruski”.

Autor wydaje mi się przypisywać zbyt wielką rolę Delegacji Rady Najwyższej, która pod przewodnictwem Lorda d'Abernona i z udziałem generała Weyganda, przybyła do Polski przed bitwą nad Wisłą. Delegacja ta miała przede wszystkim na celu doprowadzenie do skutku rozejmu z Sowiecami a poza cennym udziałem wojskowych francuskich, nie wypełniła głównego, z polskiego punktu widzenia, zadania, jakim było otwarcie portu gdańskiego dla tranzytu broni i amunicji. Nastąpiło to dopiero po bitwie warszawskiej, tak jak dopiero po bitwie nad Wisłą przyszła pomoc materiałowa. Wydaje mi się dość dziwne, że autor ani słowem nie wspomina o roli jaką odegrał Sir Reginald Tower w Gdańsku (nazwisko Towera nigdzie nie występuje). Również jeśli chodzi o zagadnienie śląskie nie wyzyskano i nie podano nigdzie obszernej literatury, dotyczącej powstań śląskich i dyplomatycznego tła decyzji podziału G. Śląska. O Konwencji Górnośląskiej, która tak miała ograniczyć suwerenność polską, powiedziano jedynie „zastrzeżono na lat 15 łączność gospodarczą obu podzielonych części Górnego Śląska”.

Nie chciałbym nie potrzebnie mnożyć moich krytycznych uwag pod adresem ostatnich rozdziałów pracy prof. Kukiela. Zdobył się on na wysiłek olbrzymi będący podsumowaniem dziesiątek lat studiów, dał wspaniały obraz wysiłków czy to zbrojnych czy intelektualnych narodu polskiego na przestrzeni stulecia, przepełnił wszystko swym patriotycznym uczuciem i troską o zachowanie duszy narodowej. Niewielu uczonym przypadło w udziale zebrać dojrzały owoc całego życia w tak wszechstronnej syntezie, jak to miało miejsce w tym wypadku. Będąc nieraz świadkiem żarliwego oddania autora sprawom publicznym, a mając niejednokrotnie w ciągu tych powojennych lat zaszczyt bliższej z nim współpracy, nie mogę nie uchylić czoła przed tym jego ogromnym wysiłkiem, który wzbogaca naszą literaturę historyczną, a w ręce młodego pokolenie oddaje poważny podręcznik, mający „wprostowywać co spaczone czy przeinaczone, a co okaleczone dopełniać”.

Wrześniowa obrona Warszawy

W dziejach kampanii wrześniowej obrona Warszawy jest fragmentem, przemawiającym niechybnie najsilniej do naszych uczuć. Dlatego też — w dużej mierze — ma najbogatsze odbicie w literaturze. Wobec tego bogactwa opisów, pamiętnikarskich i historyczno-badawczych — bogactwa, narosłego w ciągu dwudziestu z górą lat, — trudno się spodziewać nowych, „rewelacyjnych stwierdzeń” od kogoś, kto dziś — z wielkim opóźnieniem — dorzuca tu swoją cegielkę. Ale i takie opóźnione „cegiełki” mają swoją bezsporną wartość, bo — jak słusznie pisał w swojej książce o obronie Warszawy płk. Marian Porwit: nie ma „obiektywnie prawdziwego obrazu” walki; przebieg jej jest „w oczach każdego z uczestników inny”, „uwarunkowany jego wiadomościami, przeżyciami i osobistym wkładem” w tę walkę.

Pod tym kątem też patrzeć trzeba na wydaną ostatnio, niewielką książkę płk. Tadeusza Tomaszewskiego (1). Na wstępie — stwierdzenie w formie zarzutu: nie ma w książce najkrótszej bodaj wzmianki, kiedy i w jakich warunkach została napisana. Brak ten nie jest sprawą drobnej wagi: inaczej bowiem podchodzimy do relacji, napisanej w ogniu walki, lub wnet po niej, gdy wspomnienia są żywe, świeże, silne, — inaczej zaś do wspomnień, utrwalanych po upływie kilku lub kilkunastu lat. Z treści książki płk. Tomaszewskiego domyślać się tylko możemy, iż napisał ją w rok czy dwa po wypadkach, zapewne jeszcze w obozie jenieckim w Niemczech. Dziś po upływie około dwudziestu lat, ogłasza swe wspomnienia, nie wprowadzając do pierwotnej redakcji żadnych uzupełnień czy poprawek, nawet tam, gdzie jego wrażenia, spostrzeżenia, wnioski, zostały zdezawuowane przez upływ czasu i przez narosłą literaturę. W tym sensie wyjątkiem nie jest. Myślę że już dawno należałoby publicznie podnieść sprawę, z którą tu, na emigracji, spotykamy się tak często. Większość autorów pisząc i ogłaszając swe wspomnienia czy przyczynki, nie zadaje sobie trudu by przeczytać, czy bodaj pobieżnie przejrzeć to, co napisali i opublikowali inni. Zasklepanie się w ciasnym obrębie swoich własnych tylko przeżyć i doświadczeń, opieranie się tylko na swojej własnej pamięci, traktowanie swoich spostrzeżeń, wrażeń i wniosków jako sądów nieomylnych, daje szkodliwy balast, staje się mimowoli zaśmiecaniem naszej najnowszej historii.

(1) Tadeusz Tomaszewski: „Byłem szefem sztabu obrony Warszawy w r. 1939”. Nakładem Księgarni Orbis, Londyn, 1962, stron 92, portret autora, 5 wkładek z ilustracjami, jedna mapa, dwa rysunki w tekście i okładka Artura Hosowicza.

Takie zarzuty wywołuje też książka płk. Tomaszewskiego. Weźmy kilka przykładów:

Płk. Tomaszewski dziwi się, iż zadanie zorganizowania obrony Warszawy powierzone zostało w dniu 3 września generałowi Walerianowi Czumie. Jak to? Czuma — „komendant straży granicznej” — został „zaszczycony tym zadaniem”? Dziwi się też, że początkowo oddano gen. Czumie do dyspozycji siły nikłe. Jeszcze mocniej się dziwi, iż szef Sztabu Głównego, gen. Wacław Stachiewicz, 7 września, a potem jeszcze w nocy z 8 na 9 września dawał wyraz niepokoju, czy gen. Czuma „odpowie swemu zadaniu”, czy „da sobie radę”? Wniosek z tego wyłaniać się ma prosty. Bo jakżeż to? Wyznaczać komendanta straży granicznej na dowódcę obrony Stolicy, a później wahać się, szarpać, „łamać sobie głowę”, czy ten „dowódca obrony” zadanie swe „potrafi wykonać”?!

Całą tę sprawę płk. Tomaszewski ująłby i przedstawił inaczej, gdyby przed oddaniem swej książki do druku przejrzał wydane w Londynie „Polskie Siły Zbrojne”, gdzie — w części drugiej tomu pierwszego, na str. 346-347 i 594-600 stwierdzono — chyba autorytatywnie — jak gruntownej zmianie, między 3 a 6/7 września uległa sytuacja na frontach, a w związku z tym — i zadania „dowództwa obrony” Stolicy. 3-go września zadania były skromne: zabezpieczyć tylko mosty przed ewentualnym zagonem pancerno-motorowym Niemców; siły oddane do dyspozycji były nikłe, to prawda, ale skromne zadanie większych nie wymagało; Czuma zaś miał za sobą ładną kartę bojową na Syberii w r. 1919/1920, w Polsce dowodził dywizją, na parę lat przed wojną został, ze względów zdrowotnych, „komendantem straży granicznej” — za mało miał kwalifikacji na dowódcę armii np., ale nieskomplikowane zadanie obrony mostów warszawskich mógł wykonać dobrze. Gdy jednak po 6 września zadania „dowództwa obrony Warszawy” zostały wielokrotnie powiększone — mógł szef Sztabu, gen. Stachiewicz, mieć zrozumię i uzasadnione obawy, czy energiczny, jak się okazało, ale schorowany „komendant straży granicznej” udźwignie ten nowy, zwielokrotniony ciężar.

Powierzchność w obserwacji i pośpiech we wnioskowaniu ujawnia się o wiele jaskrawiej w tych fragmentach, gdzie płk Tomaszewski omawia postępowanie dowódcy korpusu warszawskiego, generała Trojanowskiego: nie szczeni tu określił zbyt mocnych („błąd organizacyjny”, „nonsens”), nie cofa się przed zarzutem ucieczki z zagrożonego przez niemieckie bomby pałacu Mostowskich do „niepokażnej willi” na Saskiej Kępie, ukrywania się tu, wywołania „panicznej ewakuacji” i po dwóch dniach — wędrówki dalszej, z Saskiej Kępy ku granicy węgierskiej. Ale gdyby płk Tomaszewski, przed drukiem swej książki zajrzał do wspomnianych już tu „Polskich Sił Zbrojnych” (tom pierwszy, część druga, na str. 595) — to sam stwierdzić by mógł, jak słabo się orientował w sprawie, o której sędzi tak

kategorycznie. Bo według „Polskich Sił Zbrojnych” gen. Trojanowski i jego sztab byli „ogromnie przeciążeni różnorodnymi zadaniami”, dowództwo korpusu warszawskiego bowiem „spełniało zawsze jeszcze funkcje wojskowego dowództwa terytorialnego, podległego ministrowi spraw wojskowych, i w tym charakterze przeprowadzało mobilizację”, ponadto — jako delegatura kwatermistrzostwa Naczelnego Wodza — miało w tymże czasie „zaopatrywać cztery armie („Modlin”, „Pomorze”, „Prusy” i „Poznań”), wreszcie — miało, z ramienia naczelnego kwatermistrza, ewakuować zasoby Naczelnego Dowództwa w głąb kraju. W ramach tak olbrzymich i tak odpowiedzialnych zadań sztabu korpusu warszawskiego sprawa „zaimprovizowanego odcinka”, nieskomplikowanego problemu obrony tylko mostów warszawskich przed możliwym zagonem pancernym Niemców spadała na poziom drobnego szczegółu, i chyba tylko w oczach płk. Tomaszewskiego wyrastać mogła na zagadnienie największe i najważniejsze ze wszystkich, jakie w tych dniach istniały. A zarzut „ucieczki” z „zagrożonego bombardowaniem” pałacu Mostowskich na bezpieczniejszą Saską Kępe? W „Polskich Siłach Zbrojnych” na str. 599 czytamy: 6 września gen. Trojanowski został zawiadomiony, że „jego funkcja delegata kwatermistrzowskiego N.W. wygasa; delegatem dla armii na zachodzie i północy będzie dowódca O.K.IX.”, gen. Trojanowski jednak „ma jeszcze tylko zapewnić zaopatrzenie tych armii przez kilka dni, aż do zmontowania nowej delegatury”; 6 września wieczorem gen. Trojanowski „wydał rozkaz ewakuacji D.O.K. (Warszawa) do Lwowa, z tym, że w Warszawie pozostanie na kilka dni niewielki rzut tyłowy, z dowódcą i szefem sztabu”. „Rano 7 września gros D.O.K. wyjechało z Warszawy do Lwowa... pozostała w Warszawie część przeniosła się na Saską Kępę”... Gen. Trojanowski „wyjechał 7 czy 8 września z Warszawy do Siennicy, a później dalej na wschód”.

Weźmy inny jeszcze przykład połączenia zbyt wąskiego pola widzenia z krewkością reakcji uczuciowych. Chodzi o problem pomocy ze strony obłożonej Warszawy dla zmagającej się nad Bzurą armii gen. Kutrzeby. Literatura na ten temat jest — od dawna — obfita. Pisał o tym nie tylko gen. Rómmel („Za honor i ojczyznę”) — „Polskie Siły Zbrojne” (w tonie pierwszym, część trzecia) poświęciły tej sprawie bardzo dużo uwagi, obficie i wielostronnie cytując dokumenty. Nawet ułamkowe ich wyzyskanie wymagałoby miejsca więcej, niż mam dla całej tej recenzji. Z konieczności więc ograniczę się do krótkiego stwierdzenia, że Warszawa była jednak zagrożona od północnego wschodu, że 13 września rozpoczęła się, co prawda wnet przerwana, bitwa na wschodnim przedpolu Stolicy. Sytuacja na wschodnim brzegu Wisły i sprawa zabezpieczenia stolicy od wschodu — oto co było i niechybnie powinno być główną troską dowództwa „armii Warszawa”; nie brakuje tu nawet stwierdzenia, że dla Wodza Naczelnego, dążącego do skupienia

i zorganizowania sił do dalszych działań, wzmocnienie sytuacji strategicznej na północnym wschodzie było „nierównie ważniejsze, niż działanie na korzyść armii zachodnich”. Mimo to w sztabie „armii Warszawa” zastanawiano się nad możliwością i potrzebą ofensywnego wystąpienia w kierunku zachodnim, z pomocą dla walczących nad Bzurą. Dodajmy, że Wódz Naczelnny rozkazem swoim odebrał „armii Warszawa” poważną część jej sił, zwłaszcza całą kawalerię, co — jak to stwierdzają „Polskie Siły Zbrojne” — przekreślało wszelkie, zresztą nieskrystalizowane jeszcze „plany interwencji bądź to na zachodnim, bądź to na wschodnim brzegu Wisły”. Stwierdźmy jeszcze, że gen. Małachowski otrzymał od gen. Rómmela rozkaz wykonania „demonstracji” z Modlina w kierunku na Sochaczew, że równocześnie wykonano silny wypad na Okęcie. Wreszcie — płk. Porwit miał wykonać wypad na Błonie-Pruszków, dla „współdziałania z gen. Bortnowskim”, otrzymując w tym celu 7 batalionów z silną artylerią; rozkaz ten, wydany przez gen. Czumę, został cofnięty na żądanie gen. Rómmela, który uważał to za „wielki nonsens”, gdyż nie wolno było, według niego, „wyciągać batalionów z pierwszej linii obronnej”, bo cóż by się stało z obroną, gdyby obsada jej na tym odcinku odeszła o 20 km. naprzód? Gen. Czuma oczywiście dostosował się do tego żądania. Płk Porwit w książce swojej („Obrona Warszawy”), opisując ostatnie przygotowania do tego wielkiego wypadu, pisze: „Wezwano mnie do gen. Czumy”, który „rozpoczął od pytania, jak oceniam siły obrony po moim wyjściu; odpowiedziałem, że będą słabsze, ale podkreślałem, że obecność mego zgrupowania na przedpolu będzie zabezpieczać zachodnie przedmoście”; generał Czuma jednak oświadczył, że „odwołuję wypad”. Porwit stwierdza dalej, iż później się dowiedział, że odwołanie spowodował gen. Rómmel, sądząc, że Porwit „ogoloci pozycje na przestrzeni 10 km” i że „na tejże przestrzeni będzie nacierał”. Ten więc wielki wypad odwołano, postanowiono jednak wykonać i wykonano wypad, niefortunny w przebiegu, siłami trzech tylko batalionów pod dowództwem płk. Okulickiego.

Tak ta sprawa wygląda w największym oczywiście skrócie. Zajrzyjmy jednak do paru jeszcze świadectw. Gen. Kutrzeba, najbardziej tu zainteresowany, w książce swej („Bitwa nad Bzurą”) stwierdza, że zamiar silnego uderzenia ośmioma batalionami „z załogi Warszawy w kierunku Babic” nie został zrealizowany, gdyż „na skutek zagrożenia na innych frontach” — uderzenie „zostało odwołane”. Później, opisując swoją pierwszą rozmowę z gen. Rómmlem, wnet po przedarciu się do Warszawy, pisze bez żalu, raczej z wielkim uznaniem: „Przyjeżdżałem jako dowódca pobitej armii... spodziewałem się niezadowolona dowódcy Warszawy, zmuszonego do przyjęcia na siebie troski o byt materialny kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, zgłodniałych i wyczerpanych do ostatka; spotkałem się z przy-

jęciem rycerskim, godnym i wyrozumiałym. Ani cienia niezadowolonia, ani cienia egoizmu, wybitna chęć najszybszej pomocy materialnej". Płk Porwit, patrzący na gen. Rómmla bez nadmiernego entuzjazmu, w pierwszym spotkaniu z przybyłym do Warszawy gen. Kutrzebą, zameldował mu: „niestety na operacje w obszarze Warszawy ani gen. Czuma, a tym więcej ja, wpływu nie mieliśmy, że nawet będący w toku realizacji mój wymarsz w stronę Bzury w dniu 17 września został w ostatniej chwili odwołany". Porwit nie przytacza tu żadnej odpowiedzi gen. Kutrzeby, od siebie jednak stwierdza natychmiast: „Zabiorą głos inni uczestnicy tych wydarzeń", a z czasem „bezstronny historyk rozstrzygnie, po czyjej stronie słuszność rozumowania operacyjnego i prawdziwość osądu".

Ale płk Tomaszewski czekać nie chciał. Wylicza więc skrupulatnie, że w dniu 14 września na załogę Warszawy składały się 42 baony piechoty, 17-18 dyonów artylerii, 14 plutonów „boforsów", kompania czołgów i około 100 dział przeciwpancernych; po takim wyliczeniu stwierdza, ile wymagałaby „pełna obsada" obu warszawskich przedmości i z głębokim przekonaniem dowodzi, że reszta, to znaczy: 18 baonów piechoty, 12 dyonów artylerii, 8 plutonów „boforsów" i kompania czołgów stanowiły w danym momencie siłę dla obrony Warszawy zbędną, a więc, że można było użyć jej do „akcji na zachód". Z goryczą opisuje dalej, jak to dowództwo obrony Warszawy przedstawiało gen. Rómmłowi trzy kolejne projekty „ruchu zaczepnego na zachód" ku „ginącej samotnie armii Poznań"; w każdym z tych projektów redukowano siłę tego „ruchu": z 18-tu na 12-cie, potem na 7 batalionów, skończyło się zaś wszystko na słabej wyprawie trzech tylko batalionów. Dlaczego tak się stało? Dlatego — dowodzi płk Tomaszewski — że „woli nie było". Szafuje przy tym nader hojnie jeśli nie zarzutami, to co najmniej gorzkimi pretensjami do wszystkich prawie: generał Rómmel i „jego doradcy" — „psychicznie biorąc, byli już kapitulantami"; na jednej w tej sprawie odpraw „gen. Zulauf nie wykazywał zapału", płk. Lawicz „nie mógł czy nie chciał dezawuować swego dowódcy", gen. Czuma „milczał", płk Pragłowski „nie orientował się" w O. de B... Takie zarzuty-pretensje łączy płk Tomaszewski z patetycznymi okrzykami: „Nie wolno nam było być biernymi!", trzeba było iść w kierunku „huku dział nad Bzurą!"... „Kiedy ginęła samotnie armia Poznań, wzywając nas na pomoc" — w Warszawie było tyle sił, trwających w bezczynności! „Ruch ku zachodowi" miałyby „niezwykłą moralną podniętę", mógłby dać w skutku szereg „lokalnych cudów", mógłby dodać do „wieńca sławy bohater-skiej obrony" — jeszcze „o wiele wspanialszy wawrzyn bohaterskiego ducha ofensywnego"!... Ten pęd w kierunku pomocniczego uderzenia dla Kutrzeby, grające tu tak silnie poczucie żołnierskiego koleżeństwa i wyrastających stąd obowiązków moralnych brzmi — owszem — pięknie i szlachetnie, brzmi

jednak w ramach zwięzłego pola widzenia, upartego zapatrzenia się w koncepcję własną, przymykania oczu lub w ogóle niedostrzegania tego, co stanowiło ówczesny łańcuch przyczyn i skutków.

Przykład czwarty wreszcie i już ostatni, choć narzucałoby się sporo innych. Chodzi o krzywdę, jaką — na pewno mimo woli — wyrządza płk Tomaszewski prezydentowi Warszawy, Stefanowi Starzyńskiemu. Przede wszystkim zarzut nie tylko pomyłki w dacie, ale i zbyt już uproszczonego przedstawienia sprawy nominacji prezydenta na komisarza cywilnego przy dowództwie obrony Warszawy. Bo płk Tomaszewski, zbytnio ufając swojej tylko pamięci i nie zadając sobie i tutaj trudu zajrzenia do innych świadectw, pisze, iż od spotkanego przypadkowo płk. J. Kowalewskiego, „b. szefa Ozonu", dowiedział się o „obecności (w Warszawie) prezydenta Starzyńskiego, który jako major rezerwy został powołany do służby w wojsku":

„Kowalewski podsuwa mi myśl, by Starzyńskiego mianować Komisarzem Cywilnym Warszawy"... „przez Kowalewskiego załatwiamy sprawę przydziału Starzyńskiego, dość, że 5 września melduje się w Dowództwie Obrony Warszawy major rezerwy Starzyński i z rąk generała (Czumi) otrzymuje nominację na Komisarza Cywilnego".

W rzeczywistości — było zgoła inaczej. Zajrzyjmy do ogłoszonej relacji Henryka Pawłowicza („Komisariat Cywilny przy Dowództwie Obrony" w warszawskim wydawnictwie „materiałów i studiów" do „Najnowszych Dziejów Polski", tom piąty). Pawłowicz, przed r. 1939 dyrektor Zarządu Miejskiego, później wiceprezydent, a więc jeden z najbliższych współpracowników Starzyńskiego, stwierdza, że po opuszczeniu Warszawy przez rząd i organy administracji publicznej, a więc dopiero 6 września, Starzyński „decyduje się ratować sytuację" i „nie mając ku temu żadnych uprawnień formalnych, postanawia przejąć pełnię władzy cywilnej w mieście, i zaprowadzić w nim ład i porządek oraz wesprzeć poczynania obronne gen. Czumi". Wydał też Starzyński niezbędne zarządzenia dla zmontowania administracji publicznej i zorganizowania Straży Obywatelskiej. Dopiero 8 września te samorzutne działania prezydenta zostały zalegalizowane, w wyniku rozmowy z Czumą. Starzyński, stając się Komisarzem Cywilnym, funkcję prezydenta Stolicy przekazał dotychczasowemu wiceprezydentowi Pohoskiemu. Tegoż dnia, 8 września, ukazało się rozlepione na murach „obwieszczenie", przedrukowane po kilku dniach w nr. pierwszym „Dziennika Urzędowego Komisarza Cywilnego przy Dowództwie Obrony Warszawy", a głoszące, że podpisany pod nim „St. Starzyński, major", został rozkazem gen. Czumi z 8 września mianowany Komisarzem, i że „obejmując władzę" — „podporządkowuje sobie wszystkie lokalne urzędy cywilne" oraz „wzywa wszystkich obywateli Stolicy, aby zgod-

nie z wezwaniami, ogłoszonymi przez radio, stanęli z powrotem na swoich posterunkach”.

Uproszczenia w przedstawieniu tej sprawy i trzydniowa omyłka w dacie nie jest jednak tutaj grzechem najcięższym. Bo oto na końcowych stronach swej książki płk Tomaszewski jak najbardziej, a więc i krzywdząco dla Starzyńskiego opisuje jego rzekome wahania i jego rzekome „postanowienie” ukrycia się przed Niemcami zawczasu, przed ich wkroczeniem do Warszawy.

„Przyszedł do mnie — pisze płk. Tomaszewski — popołudniu, z prośbą, bym mu ułatwił dostanie się do jego prywatnego mieszkania... gdzieś na zachodnim odcinku, w obrębie pozycji. Wyjaśnia mi przy tym, że pragnie zabrać pewne dokumenty i trochę rzeczy, postanowił bowiem ukryć się i zależnie od potrzeby pozostać pod ziemią, bądź wyjechać zagranicę. Wystawiam mu potrzebną przepustkę, daję przewodnika”...

Wszystko to brzmi wręcz nieprawdopodobnie. — Znany całej Warszawie i uwielbiany przez nią Prezydent miałby szukać pomocy u płk. Tomaszewskiego? Miałby z przepustką w rękę legitymować się komuś w drodze do swego mieszkania? Ale czytamy dalej:

„W międzyczasie — pisze płk. Tomaszewski — zjawia się u mnie gen. Kutrzeba i informuje mnie, że dla omówienia szeregu zagadnień natury gospodarczej i technicznej miasta i ludności, Niemcy zażądali przysłania przedstawicieli miasta na dzień następny. Czekam więc na powrót prez. Starzyńskiego, by z nim to omówić... zjawia się już późną nocą. Informuję go o tej sprawie, lecz nie otrzymuję odpowiedzi. Widzę wyraźnie, jak głęboko zastanawia się nad tym problemem, jak rozważa, jak się waha, co ma zrobić, kogo ma wysłać czy sam ma jechać”... I gdy tak „stoimy, trwając w milczeniu, wchodzi gen. Kutrzeba, a zobaczywszy Starzyńskiego, powtarza mu jeszcze raz to, co ja mu już podałem, a widząc głęboką zadumę i jakby wahanie, dodaje dosłownie: „Ten burmistrz, który prowadził swoje miasto przez cały czas walki, ten burmistrz, który okazał się bohaterem i żołnierzem, nie może być nieobecny, gdy miasto jego przechodzi pod obcą władzę”... „Kości padły! — kończy płk Tomaszewski — „los Starzyńskiego został zdecydowany!”...

Wręcz zdumiewającą jest łatwość, z jaką płk Tomaszewski rzuca na papier opis tak sprzeczny z prawdą historyczną i tak krzywdzący! Zaglądam do książki gen. Kutrzeby — nie ma u niego żadnej o tym wzmianki, choć co prawda w ogóle nie ma opisu rokowań z Niemcami o kapitulację Stolicy. Mam jednak oddaną mi do dyspozycji, a napisaną w r. 1943, za świeżej więc pamięci, obszerną relację gen. Michała Tokarzewskiego, twórcy pierwszych zawiązków armii podziemnej w Polsce, który stwierdza, że 27 września zwrócił się do prez. Starzyńskiego z apelem o „przejdźcie do pracy podziemnej”... „Starzyński odmówił, motywując, że „przez swój wojenny związek z Warszawą” — „musi pozostać jawnie na swoim stanowisku”. Ówczesny adiutant gen. Tokarzewskiego kapitan Emil Kumor w swoich ogłoszonych drukiem „Początkach konspiracji” opi-

suje moment, kiedy wraz z gen. Tokarzewskim przybył do prezydenta Starzyńskiego; Tokarzewski zwracał się z prośbą o „przystąpienie” do tworzących się załóżków Podziemia wojskowego: „Będziecie — mówił Starzyńskiemu — bardzo pomocni w tej początkowej ciężkiej pracy, oddacie dla dobra sprawy nieocenione usługi”. Starzyński po namyśle odpowiedział: „Dziękuję wam z całego serca. Decyzja moja nie jest prosta i łatwa, doszedłem jednak do wniosku, że tego zrobić mi nie wolno. Tak długo, jak mi pozwolą Niemcy, nie opuszczę ludu Warszawy i będę dla niego pracował”. W wielu innych relacjach powtarza się wymowny szczegół: gdy Starzyński był już przez Niemców aresztowany i osadzony na Pawiaku, należąca do straży więziennej, wtedy jeszcze polskiej, Irena Wirszyłło, zawiadomiła go, że wszystko jest przygotowane do tej ucieczki; apelowała, że „każda chwila opóźnienia może być zgubą” i usłyszała w odpowiedzi na to: „Zostaję... Wytrwam do końca!”.

Świadectwo o takiej właśnie postawie Starzyńskiego mógłbym przytoczyć więcej.

Mimo wszystko jednak nie chciałbym wywołać i zostawić wrażenia, że w książce płk. Tomaszewskiego widzę same tylko grzechy, same nieściłości i uproszczenia. Niejeden jej fragment ma wartość bezsporną. Napisana jest żywo i barwnie — na pewno nie znudzi nikogo. Szkoda tylko, że i nad tymi jej wartościami ciąży zbyt już jaskrawy podział w ocenie spraw i ludzi. Z postaci z najwyższych szczebli ma autor gorący sentyment dla marszałka Śmigłego-Rydza; do wszystkich innych ustosunkowany jest mniej lub bardziej krytycznie. W słowach uznania, często bardzo gorącego, hojny jest tylko dla swoich najbliższych współpracowników, dla wykonawców swoich rozkazów, lub dla myślących tak samo, jak on.

Czyżby po jego tylko stronie były błaski i racje słuszne, a gdzie indziej — same tylko cienie i błędy?

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI

Thomas Merton o Pasternaku

Nowa książka Tomasza Mertona „Disputed Questions” (1) — „Zagadnienia sporne” — jest niespodzianką dla czytelników

(1) Thomas Merton: *Disputed Questions*, wyd. Hollis and Carter, Londyn 1961. Str. 297.

głośnego amerykańskiego pisarza religijnego i mnicha-trapisty. Nigdy jeszcze Merton nie zajął się tak bezpośrednio sprawami od których huczą parlamenty i kongresy, redakcje i radiostacje, szumne i dumne ośrodki życia politycznego, świątynie akcji, świat daleki i obcy dla pokornych mieszkańców cichego klasztoru kontemplacyjnego. Naczelne miejsce w „Zagadnieniach spornych” zajmuje obszerny szkic „Sprawa Pasternaka”. Warto się przyjrzeć, jak tę sprawę tak bardzo „światową”, bo porzuciła cały świat, widzi człowiek, który życie światowe porzucił, oderwał się od problemów chwili, a teraz do nich wraca spojrzeniem z dystansu, *sub specie aeternitatis*.

I.

Merton należał do tego sporego grona ludzi na Zachodzie, którzy korespondowali z Pasternakiem. Zadziwia wiadomość, że korespondencję tę nawiązał jeszcze przed wydaniem „Doktora Żiwago”, na długo przed nagrodą Nobla, a więc wtedy, gdy nazwisko milczącego rosyjskiego poety nic nie mówiło większości jego dzisiejszych czytelników. Widać komunia pokrewnych dusz nie kieruje się rozkładem normalnej komunikacji z jej sygnałami rozgłosu i sensacji. Pasternak czytał w rękopisie pierwszą część szkicu Mertona i wyraził dla niej uznanie. Drugiej, jako bardziej politycznej, Merton mu nie posyłał pamiętając o „tym trzecim” nieproszonym uczestniku wymiany myśli: o cenzorze.

Punktem wyjścia szkicu Mertona jest ubolewanie, że z osoby i dzieła Pasternaka zrobiono sensację polityczną, która przysłoniła ich głębokie, duchowe znaczenie. Zaczęły Sowiety i ich odpowiedzialność za to jest tak oczywista, że wystarczy ją skwitować kilkoma ironicznymi zdaniami, jak to robi Merton pisząc:

„Można się było spodziewać, że urzędnicze sfery sowieckie zareagują z pewną dozą hysterii na przyznanie nagrody. Ponieważ marksiści myślą wyłącznie politycznymi kategoriami, musiała to być histeria polityczna. Ogłoszenie książki było niecnym atakiem na rewolucję. Nagroda — jawnym zamachem na Związek Sowiecki. Wszystko razem — reakcyjną intrygą, uknutą na Wall Street. Pasternak — niepoprawnym reliktem burżuazyjnej przeszłości, któremu jakimś cudem pozwolono przeżyć i zatruwać przeczyste powietrze nowego sowieckiego świata. Kapitalistyczne wilki wykorzystały okazję, aby z wyciem żądać sowieckiej krwi...”

Sowiety — zauważa Merton w innym miejscu — usiłują nadać polityczny charakter wszystkiemu, co nie po ich myśli, włącznie ze szkodami, jakie przymrozek wyrządza w sadach Ukrainy. Toteż nadmierne podkreślanie na Zachodzie politycznego znaczenia sprawy Pasternaka było wodą na sowiecki młyn. Część odpowiedzialności za przyćmienie najgłębszego sensu życia i twórczości Pasternaka spada więc i na Zachód.

„Nie było też całkowitą niespodzianką” (pisze Merton), „że nasza strona pochwyliła rzuconą piłkę i skwapliwie przyłączyła się do rozgrywki. Dla zachodnich dziennikarzy Pasternak stał się z miejsca męczennikiem, symbolem demokracji w walce o prawa z czerwoną tyranią, jeszcze jednym dowodem arbitralnej przewrotności dyktatury sowieckiej. Oczywiście, była w tym część prawdy. Ale prawdę tę skrzywiono kładąc na nią polityczny nacisk, którego u Pasternaka nie ma, bo „Doktor Żiwago” nie jest w żadnym sensie obroną zachodniej demokracji lub politycznego i gospodarczego ustroju panującego u nas. Wolność, której Pasternak broni, jest wolnością ducha, który jest niemal tak samo martwy na Zachodzie jak za żelazną kurtyną”.

Rodzimych neutralistów uczuciowych, którym zawiedzione nadzieje każą w Zachodzie i Wschodzie widzieć kocioł i garnek nawzajem sobie przyganiające, trzeba w tym miejscu poprosić, aby się wstrzymali z okrzykiem triumfu. Duch, o którym pisze Merton, nie jest patetycznym określeniem życia umysłowego czy kulturalnego. O tym życiu na Zachodzie można wydać nie jeden surowy sąd, ale nie ten, że zamarło lub że nawet grozi mu zamarcie. „Duch” w przytoczonym zdaniu jest pojęciem religijnym. A w małym słówku „niemal”, którym Merton obwarowuje sąd o jego martwocie, mieści się zasadnicza różnica pomiędzy kryzysem duchowym na Zachodzie a totalnym wytrzebieniem duchowości, przynajmniej na powierzchni świata sowieckiego. Odrodzony duchowo, religijnie, Zachód pozostanie Zachodem, będzie nawet bardziej sobą. Odrodzona duchowo Rosja mogłaby zachować przydomek „sowiecka” chyba tylko jako pamiątkę historyczną, wypraną z treści. Merton jest *par excellence* człowiekiem Zachodu, gdy krytykuje swoją stronę, Pasternak i jego bohater doktor Żiwago nie są w żadnym sensie „sowieckimi ludźmi”.

„Jurij Żiwago” — pisze Merton — „jest pod każdym względem całkowitym przeciwieństwem nowego sowieckiego człowieka”. Wzorowy komunista jest „skrzyżowaniem bobra z wilkiem”, istotą doskonale skolektywizowaną, wyżywającą się bez reszty w „socjalistycznym budownictwie”, stadną, drapieżną, bezwzględną w walce. Żiwago jest człowiekiem, żywym człowiekiem, jak to podkreśla jego znaczące nazwisko, nie automatem, nie robotem. W jego działaniu nie ma bezdusznej precyzji nakręconego mechanizmu, nieludzkiej sprawności i wydajności. Jest człowiekiem po ludzku chwiejnym, po ludzku błędącym, ma ludzkie uczucia, idzie za spontanicznym, wewnętrznym, swoim własnym natchnieniem, motorami jego postępowania są miłość, litość, zachwyty. Jego posłuszeństwo impulsom wydaje się czasami aż niemądre, ale jest w nim głęboka mądrość, którą Merton wydobywa na jaw serią retorycznych pytań:

„Czyż musi się być zawsze rozsądnym? Czy musi się zawsze mieć nadętą etyczne uzasadnienie dla każdego czynu? Czy trzeba koniecznie bać się samorzutności? Nie robić nigdy nic, czego nie nakazuje jakiś program, jakaś taka czy inna forma obowiązku?”

Spontaniczności nie utożsamia Pasternak z wolnością, jak to robią niektórzy zachodni pisarze — zastrzega się tu Merton. Wolność duchowa jest czymś wyższym. Ale tylko samorzutne poszukiwanie własnej, osobistej prawdy, nie żadne wytyczne, może do niej doprowadzić. Tego rodzaju wnioski właśnie stały się kamieniem obrazy, to one ściągnęły na pisarza gromy i uniemożliwiły wydanie „Żiwaga” w Sowietach. Krytyczne uwagi o rewolucji i ustroju mógł skreślić ołówek cenzora, nie mógł jednak przekreślić ducha książki.

Pasternak — przypomina Merton — nie był nigdy „kontrrewolucjonistą” czy zwolennikiem kapitalizmu. Najczarniejszym charakterem powieści jest Komarowski, przedstawiciel bogatej klasy rządzącej w przedrewolucyjnej Rosji, który zresztą i po rewolucji wypływa na wierzch, dalej wpływowy i potężny. Pasternak do rewolucji odniósł się początkowo z nadzieją, niezbyt daleką nawet od entuzjazmu. Ale — streszczam dalej Merton — traktował ją zawsze jako wybuch ślepych sił, które mogą w końcu przynieść coś dobrego. Nie przyniosły. Góra urodziła w męce mysz. Tego sądu właśnie komuniści nie mogą mu darować. Nienawiścią do Pasternaka potępiają się sami. Bo gdyby komunizm osiągnął to, czym się chęłpi, Pasternak nie byłby dla niego groźny.

2.

„Żiwago nie przeciwstawia komunizmowi jakiejś obrony zachodniej demokracji, jakiejś politycznej platformy dla pewnego rodzaju liberalizmu, ani tym bardziej jakiegos traktatu wypowiadającego się za ujętą w określone formy religią. Przeciwstawia komunizmowi samo życie...”

Idąc za tą myślą Merton, na naiwne, belferskie, a przecież nie dające się obejść pytanie, co jest „tezą” czy „ideą” powieści Pasternaka, można odpowiedzieć dwoma słowami dekalogu: „Nie zabijaj”. Najpierw dosłownie: nie zabijaj fizycznie, nie odbieraj życia. Nie dręcz, nie znęcaj się. Nie zabijaj wolności i godności osoby ludzkiej, stworzonej na podobieństwo Boże. Życie jest konkretne. Nie zabijaj go abstrakcjami, choćby najszlachetniejszymi, jak „dobro ogółu”, „sprawiedliwość społeczna”, „ojczyzna”... Życie jest indywidualne. Nie przyniataj jednostki masą, organizacją, kolektywem. Życie jest aktualne, to znaczy toczy się teraz, dziś, w teraźniejszości. Nie zabijaj go bezdusznymi fantazjami przyszłego szczęśliwego życia w komunizmie czy innym izmie. Życie jest ważniejsze od teorii. Nie zabijaj go doktrynami. Życie jest płynne, zmienne, samorzutne, w dużym stopniu nieobliczalne. Nie zabijaj go sztywnymi systemami, nie tamuj planami polityków i ekonomistów, pojmowanymi jako nienaruszalna świętość, nie morduj tyranią sztucznych form, stereotypów i sloganów. Nie zabijaj twórczości, wyobraźni, intuicji, kontemplacji, spontaniczności i samodziel-

ności, szczerości i bezpośredniości, indywidualnego sumienia i wierności samemu sobie. Nie zabijaj poezji i religii.

Merton bardzo trafnie wskazuje, dlaczego jest niemal niepodobieństwem określić stanowisko Pasternaka. Bo — pisze — tak jak samo życie, Pasternak nie stoi w miejscu, nie ma „stanowiska”. Jak wszystko co żywe, rusza się, rozwija, posuwa. Jest to ruch w określonym kierunku. Nie na zachód od Rosji, ale ku przyszłości. Pasternak „sięga wzrokiem poza sztywny, zamrożony monolit społeczeństwa sowieckiego” i „poza bardziej pomieszaną, płynną i ścierającą się formę, które składają się na świat zachodni”. Na tym dalekim widnokręgu widzi — wolność. Nie tę mityczną „wolność”, która ma rzekomo nastać po „związnięciu państwa” w urzeczywistnionym komunizmie. Ani tę chaotyczną nieodpowiedzialność, która zachodniego człowieka „oddaje w niewolę gospodarczych, społecznych i psychologicznych sił”. Wolność synów Bożych, związanych, jeśli można tu jeszcze mówić o więzach, jednym tylko prawem: miłości.

Nie jest też Pasternak — podkreśla Merton — człowiekiem zbuntowanym, rebeliantem przeciw istnjącemu porządkowi swego kraju i swojej epoki. „Buntownik jest to człowiek, który chce własny autorytet i władzę wstawić w miejsce autorytetu i władzy kogoś innego”. Nie w tym jest najgłębsze znaczenie dzieła i sprawy Pasternaka, że *odmawia* on dostosowania się do „nowego ładu” sowieckiego, że odmawia konformizmu. On po prostu „nie umie być konformistą, bo jest na to z łaski Bożej zbyt żywy”. Jest w nim ta uczciwość i prawość, ta szczerość wolnej i twórczej osobowości, to ciepło osobistej ludzkości i ta szczodrość, „których coraz to bardziej na próżno szukamy u wyobcowanych, masowych ludzi naszego przeorganizowanego świata”. Jest „prawdziwym człowiekiem zabłąkanym w oszalałym świecie”.

Pasternak — stwierdza Merton — nie nadaje się również do eksploatacji na korzyść wiary chrześcijańskiej. „Doktor Żiwago” jest książką głęboko religijną i stanowczo chrześcijańską, ale ta religijność nie daje się wtłoczyć w żadne teologiczne formuły. Kto by tego próbował — zauważa Merton — stawałby na tym samym poziomie co Związek pisarzy sowieckich. Pasternak nie mówi o religii nic, czego sam nie odkrył. Ortodoksyjny chrześcijanin, który jak ryba w wodzie żyje w prądzie swej tradycji, może nieraz mówić o tym, czego sam dobrze nie wie, nie przemyślał, nie przeżył. Pasternak mówi tylko to, co wielkim wysiłkiem zdobył w samotnym obcowaniu z Biblią, której egzemplarz ze śladami częstego używania budził w mieszkaniu poety zaciekawienie odwiedzających go dziennikarzy.

Merton widzi w Pasternaku „najprostszy chrystianizm duszy chrześcijańskiej z natury — *anima naturaliter christiana* — duszy, która samodzielnie odkryła chrześcijaństwo”. Stąd pewna, w dobrym znaczeniu, pierwotność tego chrześcijaństwa,

dalekiego od sztywnych dogmatycznych formuł, nierozbudowanego, ograniczonego do szkieletu najistotniejszych prawd. Są prawdziwie chrześcijańskie elementy w tym, co nazwać można filozofią książki Pasternaka, jego religijne znaczenie polega jednak na czym innym: na tym, że jako człowiek i twórca stał on się w naszych powszechnie zmaterializowanych czasach głośnym symbolem uduchowienia.

3.

„Doktor Żiwago” — zauważa w jednym miejscu swego szkicu Merton — „jest jedną z tych niezmiernie poczytnych książek, które się nie cieszą prawdziwą poczytnością. Kupiło tę powieść więcej ludzi niż potrafiło przeczytać ją z pełnym zrozumieniem”.

Dla takich ludzi „zrozumieć” znaczy: wpakować w znajome ramy i opatrzyć jaskrawymi nalepkami. Pasternak jednak nie daje się załatwić etykietkami w rodzaju: „chrześcijanin”, „komunista”, „antykomunista”, „liberał”, „reakcjonista”, „personalista”, „romantyk”... Oczywiście, jedne nalepki, jak „chrześcijanin” i „personalista”, pasują do niego lepiej niż inne, jak „komunista” lub „reakcjonista”. Ale jak każdy prawdziwy artysta Pasternak nie mówi „my”, nie przemawia w imieniu żadnej grupy, obozu czy bloku, wyraża siebie samego, swoją najgłębszą prawdę. Jeśli dla wygody czytelnika i tej prawdzie trzeba nalepić etykietkę, wypisałbym na niej: „życie i miłość”. Życie przeciwstawione teoriom i doktrynom, tyranii sztucznych form i systemów, miłość przeciwstawiona nienawiści, okrucieństwu czy choćby tylko obojętności.

„Miłość” — pisze Merton — „jest sprawą nie państw, nie organizacji, nie instytucyj, lecz osób”. Nie jest więc zbyt dziwne, że doraźnym skutkiem „Doktora Żiwago”, tej głęboko osobistej pochwały życia i miłości, była przedwczesna, może i przyspieszona, śmierć jej autora, poprzedzona wybuchem okrutnej nienawiści ze strony państwa sowieckiego, jego instytucyj i organizacji. Merton szeroko omawia wściekłą nagonkę na pisarza, nie szczędząc przy tym gorzkich wyrzutów tym grupom na Zachodzie, dla których wielkie wydarzenie literackie było tylko sensacją polityczną. Ważniejsze jednak jest to co mówi o głębszych, dalej sięgających skutkach dzieła i sprawy Pasternaka; o ich wpływie na młodą inteligencję sowiecką:

„But NKWD nie zdołał nigdy zadeptać ogników niezależnej myśli w Rosji i mogą one w każdej chwili buchnąć jasnym płomieniem. Przypominają się rewolucjoniści sprzed wieku. Jest jednak pewna znamienna różnica: opór współczesnej młodzieży rosyjskiej jest jak dotąd głównie nie-polityczny. Nie jest to opór rewolucyjny w dziewiętnastowiecznym sensie. Jest to opór moralny i osobisty. Nawet gdy spotykamy się z protestem przeciw faryzeuszostwu i obskurantyzmowi sowieckiej propagandy i cenzury, nie jest to protest ludzi, którzy chcą obalić reżym. Ten protest

jest wyjątkowo wolny od wszelkich usiłowań wywierania jakiegoś politycznego nacisku. Ta właśnie jakaś szczególna czystość owego protestu, niezabarwionego żadną tendencją polityczną, robi na nas największe wrażenie, bo jest to opór ludzi, którzy mają dość, po uszy, wszystkiego, co trąci polityką. To jest najbardziej znamienne w ich proteście i to jest kluczem do sprawy Pasternaka”.

Taki właśnie ponad-polityczny, osobisty i moralny charakter miał opór i protest Pasternaka. Wrogowie jego wyłazili ze skóry, aby dowieść, że stary poeta jest przeżytkiem, że nie go nie łączy z Rosją dnia dzisiejszego. Merton sądzi, że Pasternak przemówił w imieniu Rosji jutrzejszej. Okazał się duchowo młodszy, bardziej zapatrzony w przyszłość od zjadale szczekających na niego komsomolców. Nie tylko dziełem, ale i życiem swoim dał wzór, który nadchodzące pokolenia mogą powtórzyć na szerszą skalę. Stał się symbolem wolnego człowieka w zniewolonym społeczeństwie, symbolem uduchowienia w kraju, gdzie oficjalnie króluje materializm. Postacią na miarę Gandhiego.

Mówi się często na Zachodzie — pisze w związku z tym Merton — że tak zwany „bierny opór”, wolna od nienawiści i gwałtu, lecz i od kompromisów z sumieniem, walka o prawdę i wolność jest możliwa tylko z takim wdrożonym do praworządności i rycerskości przeciwnikiem, jakim byli Anglicy w Indiach. Czterdziestoletnia wewnętrzna emigracja Pasternaka, jego nieugięta postawa podczas całej tragicznej sprawy wydania i nagrodzenia jego dzieła, fakt, że z podniesionym czołem przeżył on stalinowskie czystki — wszystko to rzuca cień poważnej wątpliwości na to przekonanie. Pasternak dał przykład, odosobniony, ale doniosły i niebezpieczny dla tyranii totalistycznej.

W pewnym sensie niebezpieczny także dla świata pozasowieckiego. Świat ten — przypomina nam Merton — w innym stopniu i w innych postaciach cierpi na niejedną podobną, choć nie galopującą chorobę: materializm, obłudę, przerost organizacji kosztem osoby ludzkiej, konformizm, negowanie Boga lub, co może jeszcze gorsze, wzywanie Jego imienia nadaremno przy uroczystych tylko okazjach. Dla wrażliwszych ludzi świata zachodniego książka i sprawa Pasternaka były wstrząsem głębszym od przemijającej sensacji. Nie mogą oni uciec od pytania: Czy dość jest podziwiać cudzą odwagę, gdy się samemu grzęźnie w różnych wygodnych konformizmach, gdy się nie jest zdolnym do rewolucji miłości? „Doktor Żiwago” — kończy Merton swój szkic — „to niebezpieczna książka”. „Zbójcka książka”, jakby rzekł Mickiewicz. Włamuje się do obrośniętych tuszczem serc, aby powiedzieć im gorzką prawdę, tak wyrażoną przez Mertona:

„Od dwudziestu wieków nazywamy się chrześcijanami nie zaczynając nawet rozumieć dziesiątej części Ewangelii”.

Pokolenie katastrofy

W pewnej fazie tzw. „ustawiania” literatury, całej naszej przeszłości kulturalnej, politrukowi wydawało się, że jedne jej gałęzie można włączyć do własnego drzewa genealogicznego, inne usunąć w cień, żeby nie naruszały symetrii sztucznie skonstruowanego schematu, jeszcze inne po prostu odciąć, odrzucić, uznać za niebyłe. Do tej ostatniej kategorii należało 20-lecie niepodległości. Jak się nieraz zdarza, arbitralny i barbarzyński zabieg wywołał skutek odwrotny. Wiele wskazuje na to, że zainteresowanie bezpośrednimi antecedencjami jest większe niżby może było bez tego zabiegu. Wymowny dowód stanowi książka Wiesława Szymańskiego: „Ballady przed burzą”.

Gdyby nie podtytuł, można by myśleć, że jest to zbiór utworów poetyckich, a nie szkiców literackich. Liryczny symbol zawarty w nazwaniu książki wywodzi się zapewne w prostej linii od wiersza Czechowicza „Ballada z tamtej strony”. Żywiot liryczny nie ogranicza się do tytułu, ale przenika całą książkę Szymańskiego. Ma on żywy stosunek uczuciowy do jej tematu, do osób i dzieł, do całości zjawiska, które go obchodzi, a które można by określić terminem: poetyckie pokolenie katastrofy.

Jeśli by ta zawartość wyczerpywała treść tomu Szymańskiego, mielibyśmy do czynienia z przeciętnym typem krytyki lirycznej, krytyki spowiadającej się wzruszonym głosem z doznanych wzruszeń. Ale autor „Ballad przed burzą” zdradza na każdym kroku skrętny wysiłek poznania obchodzącego go zakresu spraw i ludzi. Dotarł do listów znajdujących się w rękach prywatnych, do pism oficjalnych, nawet rachunków drukarskich, wczytał się we współczesne czasopiśmiennictwo, poznał „literaturę przedmiotu” (zna pośmiertne eseje Bolesława Micińskiego wydane przez Polski Instytut Literacki; nie dotarło do niego wspomnienie Miłosza o Czechowiczu, „Kultura”, nr 7-8-81-2 z 1954 r. i szkic krytyczny Pietrkiewicza o tym poecie, „The Slavonic and East European Review” nr 89 z 1959 r.). Jego pedanteria jest wzruszająca, gdy sięga aż do słynnych odpowiedzi-pouczeń, których Kaden udzielał początkującym pisarzom w redagowanym przez siebie dodatku literackim do „Głosu Prawdy” i „Gazety Polskiej”. Ten liryk poczyna sobie jak historyk literatury. Książka liryczna jest jednocześnie książką źródłową.

Te dwa składniki nie zawsze harmonizują ze sobą. Niekiedy jak w szkicu o Sebyle, mamy do czynienia z „montażem listowym”, z konstrukcją materiałową. Niekiedy jak w rzeczy o Micińskim powstaje coś w rodzaju opowieści biograficznej, miejscami wyraźnie beletryzowanej (zdradza się w tym wyraźny wpływ „Portretu Kanta” Micińskiego nie najszcześliwiej przejęty, doprowadzony prawie do karykatury). Czasem materiał źródłowy

jest podawany zbyt surowo i mechanicznie. Czasem opar liryczny jest nieprzenikalny a może ma sens ochronny: Szymański nie odważa się wykrztusić, że Sebyła figuruje na liście katyńskiej. Ale w jednym i drugim szkicu, w kilku partiach innych szkiców, udaje mu się osiągnąć pełną równowagę elementów składowych, połączyć osobisty stosunek do tematu z rzeczowością i przejrzystością.

Książka składa się z pięciu esejów: o Sebyle, Micińskim, Uniłowskim, Flukowskim i Czechowiczu. Esej o Sebyle jest jednocześnie zarysem historii grupy poetyckiej „Kwadryga” i pisma o tej nazwie, esej o Czechowiczu zawiera nie tylko jego sylwetkę, ale i sylwetki innych pisarzy, po raz pierwszy wydobywa na jaw krąg ludzi, napięć, dążeń, który się wokół niego wytworzył. Po drodze oświetla Szymański kilka innych środowisk: grupę poetycką działającą w Lublinie, grupę wyznawców Hoene-Wrońskiego, wydającą pismo „Zet”. Rozsiewa mnóstwo szczegółów z dziedziny obyczajowości literackiej (sobotnie „mykwy kwadrygantów”, sympozjony poezji, muzyki i piosenki, słynny „pokój na Dobrej 9”, zebrania u Czechowicza), podaje wiele interesujących danych o zarobkach pisarzy, opiece społecznej nad nimi itp. Cała książka oddaje po raz pierwszy w tej mierze sprawiedliwość poecie i krytykowi Stefanowi Napierskiemu, który nie należał do żadnej kapliczki, ale był wszędzie obecny, najwrażliwiej reagował na przemiany w Polsce („kto jak kto — pisze Szymański w jakimś miejscu — ale Napierski na pewno wiedział co się działo tego wieczoru”). Zwraca uwagę wyraźnie koniunkturalne pominięcie Łobodowskiego wśród lubliniaków: jest on wspomniany jako alkoholik a nie jako speciem poetycki, przeciw jeden z najwybitniejszych. Podobnie wyakcentowano oddziaływanie S.I. Witkiewicza na Micińskiego, pominięto niemiejszy wpływ J. Stempiewskiego (Hostowca).

W sumie rozważania Szymańskiego wydobywają na światło ruch literacki, który zaczął się pod koniec drugiego dziesiątka lat niepodległości, był dziełem pokolenia o dziesięć lat młodszego od generacji „Skamandrytów”. Przynależność do „pół-pokolenia”, jeśli można użyć takiego terminu (za pełny obrót generacyjny zwykle uważa się 30 lat), jest z natury rzeczy pozycją tragiczną, jest czymś na co w przestrzeni kulturalnej jakby „nie ma miejsca”: dopiero co skończyła się walka innych „młodych” ze „starymi”, „młodzi” jeszcze się nie zestarzelili, dopiero okopują się na zdobytych stanowiskach, są w pełni sił, możliwości twórczych i wpływu.

Szymański trafnie od samego tytułu wskazuje inny rys tragiczny tego pokolenia czy „pół-pokolenia” — przecucie katastrofy ogólnej i przecucie własnej zagłady. Rejestr jest rzeczywiście przerażający. Otwiera go Bronisław Ludwik Michalski, który w r. 1935 popełnił samobójstwo skacząc do Wisły; Uniłowski zmarł dwa lata później w 28-ym roku życia; Czechowicz zginął od bomby w Lublinie; Sebyła padł od kuli w Katyniu; Miciń-

skiego zabiła gruźlica we Francji w r. 1943; Władysław Podstawa przepadł w Oświęcimiu; Artura Rzeczycę zamordowali hitlerowcy.

Już ten los nakazywałby zabezpieczyć tej formacji miejsce w pamięci zbiorowej. Ale Szymański wymownie i na ogół przekonująco wyznacza jej miejsce w przemianach poezji polskiej. Kwadryga zaczęła swoją działalność pod znakiem ataku na pozycje Skamandra, z hasłem „poezji uspołecznionej”. To drugie hasło było mętne, ale doprowadziło do wykrystalizowania pojęcia „poezji proletariackiej”. W obrębie Kwadrygi Stefan Flukowski tworzył ogniwo łączące z awangardą krakowską. Czechowicz i ludzie z jego orbity wyszli zarówno poza poetykę Skamandra jak i poetykę awangardy; w ich imieniu i dla nich Ludwik Fryde (również ofiara wojny) próbował formułować teorię o „poezji czystej”. O Czechowiczu i kilku innych stwierdza Szymański: „Wszyscy oni w ostatnich latach przed wojną męczyli się jakimś nieokreślonym niepokojem i szukając może nieświadomie psychicznego odprężenia, znajdowali je w klasycyzującym wyrazie swoich doznań”. Rodowód poetycki Miłosza kryje się chyba w tej atmosferze i w tej postawie.

Celne i otwarte na dzień dzisiejszy jest wpisanie twórczości Uniłowskiego i Piętaka, „jednego z najciekawszych twórców dwudziestolecia”, w tor rozwojowy współczesnej prozy amerykańskiej. Cenne jest przypomnienie w Micińskim największego i najbardziej obiecującego talentu eseistycznego w tym czasie. Może spowoduje ono przedruk „Podróży do piekieł”, które są ciągle książką nieprzestarzałą.

Styl krytyczny Szymańskiego, jeszcze ostatecznie nie wyrobiony i miejscami nieporadny, osiąga stosunkowo pełny wyraz i przynosi istotne wyniki w dwóch studiach: o Czechowiczu, które jest najbogatsze i o Flukowskim, które jest najbardziej dojrzałe i przejrzyste. Szymański zajmuje się poezją, twórczością dramatyczną i powieściową Flukowskiego, jednego z nielicznych, który ocalał w tym pokoleniu katastrofy. Zawodzi krytyka wrażliwość w stosunku do jego prozy, zwłaszcza „Urlopu bosmanmata Jana Kłębucha”, książki z niepojętych powodów ciągle pomijanej w planach wydawniczych. Ale spojrzenie na poetę jest odkrywcze. Szymański wskazuje w nim „indywidualność o największej świadomości estetycznej w grupie Kwadrygi”. Sugestywnie odśiania w jego pierwszych tomach — „Słońce w kieracie” i „Dębem rosnę” — uderzające nowości wyrazu poetyckiego. „To nie jest Harasymowicz”, „to nie jest Białoszewski” — twierdza raz po raz — to jest Flukowski i to sprzed wojny. W świetle inteligentnej demonstracji Szymańskiego nie wydaje się przesadą twierdzenie: „Wiersz 'Kołysanka bokserka' powinien się znaleźć w każdej antologii liryki dwudziestolecia nawet gdyby miała obejmować jedynie 15 utworów”. Poza wszystkim innym ten szkic brzmi jak pośrednie oskarżenie. Flukowski należy do poetów usuwanych w cień, przemilczanych i pomijanych. Od końca woj-

ny nie wznowiono w żadnej postaci jego dawnych poezji, nie wydano ani jednego tomu nowych, które albo błakają się po czasopismach albo leżą w rękopisie.

Nad cząstkowymi walerami książki Szymańskiego, nad studiami, które zapowiadają w nim tego krytyka i — co nie mniej ważne — historyka współczesnej poezji, góruje walor ogólny. „Ballady przed burzą” wracają świadomości kulturalnej całą grupę pisarzy, całą zapomnianą i niedocenioną formację pokoleniową. Jest to pocieszające i godne pochwały że potrzebę nawiązania strzaskanego ogniwa odczuł przedstawiciel młodszej generacji pisarskiej w Polsce, że właśnie on podjął próbę wymierzenia sprawiedliwości tym, którzy przeczuli burzę i nie zdołali jej przeżyć.

Tymon TERLECKI

Polski Malte

Jest to dość osobliwe uczucie, gdy w twarzy jakiegoś nowego utworu rozpoznaje się rysy innego, znanego dawniej. To jest tak jakby się w synu spotkało przedłużone istnienie ojca. Świeżo przeżyłem taką przygodę z książką Mieczysława Jastruna „Piękna choroba” (1). Wywodzi się ona z książki Rainera Marii Rilkego „Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge”. Takie domniemanie popiera okoliczność, że Jastrun jest, obok Witolda Hulewicza i Stefana Napierskiego (obaj już nie żyją), jednym z nielicznych rilkistów polskich, znawcą i tłumaczem tego liryka światowej miary i o światowym wydzwiku. Bodaj bezpośrednio przed „Piękną chorobą” wydał przekład jego „Sonetów do Orfeusza”.

„Malte” ogłoszony w pierwszym dziesiątku lat tego stulecia (po polsku ukazał się dopiero w r. 1927 w tłumaczeniu Hulewicza) stoi jako inicjator i patron, a przynajmniej jeden z inicjatorów i patronów olbrzymiej literatury introspekcyjnej, zapuszczającej sondę w głąbie duchowe literatury autobiograficznej, traktującej własne życie pisarzy jako tworzywo literackie. Między „Maltem” a „Piękną chorobą” można wskazać wiele punktów zbliżonych: młodzi bohaterowie obu książek są artystami, poetami, obaj nachylają się nad sobą, są zaprzątyni odkrywaniem tajemnic własnej świadomości, poznawaniem siebie samych, Paryż stanowiący tło jednej, ma odpowiednik w Krakowie drugiej książki. Nawet w pojedynczych epizodach dałoby się stwierdzić może nieprzypadkową bliskość: śmierć ojca w „Piękną chorobę” kojarzy się z wstrząsającym, niezapomnianym opisem śmierci starego pana Brahe w „Maltem”.

Ale mówiąc to (a można by powiedzieć więcej) nie chciałbym wywołać wrażenia, że książka Jastruna jest tylko odbitką, późnym odbłaskiem słynnej książki Rilkego. Przeciwnie, chciałbym równie mocno jak związek historyczny podkreślić jej odrębność. Te dwa utwory należą do różnych klimatów filozoficznych, wyrażają dwie odmienne postawy wobec rzeczywistości. Ujmując rzecz w bardzo grubym skrócie można by powiedzieć, że Paweł Ostrzeń z utworu Jastruna to Malte-Laurids Brigge, który czytał Sartre'a. Nie znam innej książki polskiej, którą można by w tej mierze uznać za książkę egzystencjalistyczną.

Jej anegdota jest raczej nikła. Składa się na nią garść epizodów niezbyt wymyślnych i niezwykłych: chwianie się dorastającego chłopca między malarstwem a poezją jako wyrazem osobowości, śmierć ciotki chorej na agorafobię, zajęcie miejsca zmarłej stryjenki przez inną kobietę, stosunek do niewydarzonej siostry, stosunek do rodziców, a przede wszystkim pierwsza, szczenięca, nieszczęśliwa miłość.

Ale punkt ciężkości leży nie w anegdocie. Jastrun świadomie ją odrzuca stwierdzając, że „anedgota musi być sfalszowana dla osiągnięcia całości i ciągłości”. Chce stworzyć nie sztuczną konstrukcję, lecz wprowadzić w samo gorące pulsowanie życia. Zaprzatają go nie fakty zewnętrzne, ale ich wewnętrzne odwzorowanie, analiza i refleksja. Raz po raz mówi o „przestrzeni wewnętrznej”, o „wzroku wewnętrznym”. Świat rzeczywisty — miejsca, ludzie, wydarzenia — są tu widmami odbitymi w siatkówce psychicznej. Realnie istnieje tylko bohater, narrator. On wypełnia po brzegi siebie, świat i książkę.

Jak przez wczesne utwory Sartre'a przewijają się przez „Piękną chorobę” opisy doświadczeń egzystencjalnych, doświadczeń związanych z egzystencją, z osobniczym istnieniem w czasie i przestrzeni. Bogactwo, sugestywność, subtelność tych opisów są zdumiewające, trudne do ogarnięcia. Jastrun nagromadził ich może nawet zbyt dużo, nie dokonał wśród nich wyboru, nie usunął sprzeczności jakie między nimi zachodzą. Im bliżej końca, tym książka wydaje się coraz bardziej rozchybotana, jej kontur słabiej uchwytne, a może działa tu prawo przeżyty i znużenie czytelnika.

Łatwo u Jastruna rozpoznać pierwotne odczucie, wspólne wszystkim egzystencjalizmom i wszystkim egzystencjalistom — odczucie absolutnej, nieprzewycięzalnej samotności człowieka. Opisuje on je w taki sposób:

„Napadło mnie po raz pierwszy to straszne uczucie zgubienia, atak choroby, na którą nie ma leku, nagle utrata poczucia rzeczywistości, lęk przed przestrzenią rozchwianą jak morze w czas sztormu”.

Ataki tej choroby wracają raz po raz. Jej objawy są rozmaite. Jeden z nich stanowi poczucie zatowizowania świata, „powszechne rozbitcie, wieczny bałagan”. Innym jest poczucie niestałości, „zawrotne, szaleńcze mijanie wszystkich rzeczy i

istnień”. Jeszcze innym mieszanie się perspektyw czasowych: bez ustanku przecina się w nas przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, „wszystko trwa jednocześnie”. Nie ma osobowości, nie ma tożsamości, nie ma określonej granicami natury ludzkiej. Osobnicze istnienie jest także ciągłym ruchem bez celu, bez-ustanną przemianą:

„Jestem tu i jestem tam... — mówi bohater Jastruna — jestem w tylu postaciach i miejscach, że nie ma mnie naprawdę nigdzie i nigdy”.

W pozornej sprzeczności z takimi doznaniem pozostaje stwierdzenie, że każdy z nas jest „przestrzenią zamkniętą”. Więziennę zatrzaśnięcie w sobie odczuwamy, gdy w drzwi naszej egzystencji stuka miłość, gdy usiłujemy miłością otworzyć drzwi jakiejś innej egzystencji. Miłość nie jest tu jak, u Sartre'a, niewolą, jest doświadczeniem nieprzenikalności istnień ludzkich. To stanowi sens głównego wątku miłosnego książki Jastruna. Wyraża go on takim sugestywnym obrazem:

„Dwa równocześnie wyświetlane filmy, odtwarzające różne stany psychiczne i obrazy z życia dwojga osób związanych ze sobą w pewnej przestrzeni, w pewnym czasie”.

To wszystko odsłania podstawową prawdę egzystencjalizmu, że byt jest nicością, że nie ma on z góry założonego sensu, jest zgoła niedorzeczny. Sartre przewycięża tę prawdę aktywizmem etycznym: w absurdalnym świecie człowiek jest bezwzględnie wolny i sam sobie może nadać sens, tylko od niego, człowieka, zależy jaki będzie, czego dokona, co zrobi ze swego istnienia. Jastrun, jeśli można tak powiedzieć, jest aktywistą nie etycznym, ale estetycznym. Jego stosunek do bytu chwycie się między dwoma biegunami: odczuciem nicości i uczuciem zachwyty. Jego bohater mówi o „uleganiu zachwyty, właśnie przemocy czegoś co go przerasta i z czym nie można i nie należy walczyć”. Gdzie indziej wyznaje: „Piękno zrodzone z błażej przyczyny spadało na mnie jak gwałtowna muzyka i zabierało mnie całego”. Pozostaje to w ostrym kontraście ze słynną, Sartre'owską *la nausée*, z uczuciem mdłości, nudy i obrzydzenia.

Dla Sartre'a świadomość ludzka jest „robakiem drążącym owoc”, jest „chorobą bytu” nieświadomego i nieruchomego. Jastrun również określa życia jednostkowe jako chorobę, często posługuje się obrazami i porównaniami z zakresu choroby, ale jest to choroba piękna, urzekająca. Jego egzystencjalizm można by nazwać egzystencjalizmem estetycznym. Estetyczne widzenie świata, życia, człowieka wzbogaca się jeszcze przez zagarnięcie, przez wzięcie w posiadanie „tego wszystkiego, co się nie stało co się stać mogło lub stało się niezauważone”. „Te niezliczone oferty, — dodaje gdzie indziej — które składają nam życie... są częścią nie najmniejszą naszej egzystencji i podobnie

jak sny należą do naszej biografii". Stanowią domenę, o którą troszczy się sztuka. Bohater Jastruna w tym punkcie najbliższy utożsamienia się z nim samym, poddaje ją próbom, sądzi ją ostro, ale koniec końców potwierdza jej rację i sens.

Estetyczne widzenie świata, ujmowanie go w kategoriach artystycznych znajduje wyraz także w stylizacji orfickiej utworu. Ta stylizacja od innej strony nawiązuje do Rilkego i jego sonetów o Orfeuszu. Jastrun posługuje się mitem o greckim poecie i śpiewaku, o jego nieszczęśliwej miłości, o jego śmierci dla wyrażenia odczuć ogólnych, owych odczuć egzystencjalnych, które stanowią właściwą zawartość książki: „Świata nie ma, gdyż w każdej chwili jest rozszarpywany przez czas, nieustannie tracący przestrzeń”. Także losy swoich bohaterów stylizuje według tego mitu: Paweł Ostrzeń to Orfeusz, jego ukochana to Eurydyka — Eurydyka I, taka jaka była, Eurydyka II, taka jaka mogła być. I końcowy wydzźwięk książki jest orficki:

„Wszystkimi siłami duszy, całą władzą woli usiłuję nie obejrzeć się za siebie; idę trzymając oczy wbite w blade światelko majaczące przede mną”.

„Piękna choroba” nie jest literaturą rozrywkową. Chodzenie meandrami refleksji, nurkowanie z autorem w głębinę doznań, poranie się z intensywnością skomplikowanych treści filozoficznych nasuwa niejedną trudność. Ale jest to lektura wyjątkowo wzbogacająca.

Waga książki Jastruna leży jeszcze w czymś innym. Reprezentuje ona typ literatury uchylającej się od mechanicznie narzucanych rygorów społeczno-gospodarczych. Wszystko co się składa na tę książkę, jej bohater, jego przeżycia, wysiłek ich uświadamiania — nie są w żaden sposób „zeterminowane”, „uwarunkowane”. Można to odnieść do postawy egzystencjalizmu Sartre'owskiego, który przyznaje człowiekowi absolutną wolność i możliwość, a nawet obowiązek kształtowania swojej egzystencji według własnego wyboru na własną odpowiedzialność. Słuszniej jest widzieć w tym upomnienie się o prawo jednostki do indywidualnego życia, indywidualnego odczuwania, indywidualnego oceniania. To prawo ma granice, ale — jak mówi Jastrun — „własny byt, odrębność jedna tylko zdolna nam jest zapewnić smak i kolor życia”.

Przed wszystkim innym jednak trzeba patrzeć na jego książkę jako na dzieło sztuki. Unikając poetyzowania osiąga on poetyckość przez dążenie by słowo odkrywało nowe światy, by ściśle wyrażało stany trudno wyrażalne i dotąd rzadko lub wcale niewyrażane. Na ogół niezbyt często się zdarza, by poeci byli jednocześnie twórczymi prozatorami. Był nim Słowacki, którego Jastrun w tej chwili tak krytycznie ocenia. Był Rilke, którego „Pamiętnikom Malte-Lauridsa Brigge” zawdzięcza pierwszy bodziec do napisania ostatniej książki.

„Piękna choroba” jest piękną książką, książką poety umiającego pisać prozą. Polski Malte jest godnym potomkiem swego literackiego pierwowzoru.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- DESROCHES (Alain). *Le problème ukrainien et Simon Petlura. Le feu et la cendre*. Str. 220. (Wyd. Nouvelles Editions Latines, Paryż, 1962).
- GROCHOT Józef, ks. dr. C. S. R.). *Twoja niedzielna msza św.* Str. 96. (Nakł. Wydawnictwa Maryi Niepokalanej, La Ferté-sous-Jouarre (S.-et-M.), France).
- JACEWICZ (Alfons). *Miranda*. (Pamiętnik więźnia). Str. 143. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1962).
- KEDZIERSKI (Jerzy Zdzisław). *O blubienica. Wiersze*. Str. 47. Tom XXVII Londyńskiej Biblioteki Literackiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1962).
- Słownik Biograficzny Pracowników Książki Polskiej*. Wykaz haseł. Str. 194. Powielacz. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Oddział w Łodzi, 1962). (Redakcja i Komitet Redakcyjny proszą zainteresowanych historią książki polskiej o nadsyłanie uwag i informacji, a zwłaszcza zgłoszeń do opracowania poszczególnych życiorysów pod adresem Redakcji: Łódź ul. Matejki 34-38, Biblioteka Uniwersytecka).
- BROMKE (Adam). *The „Znak Group in Poland*. Str. 15-20 oraz 11-15. Odbitka z zeszytów January-February 1962 „East Europe”.
- Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia*. Zarys i Encyklopedia spraw polskich. T. I. Zarys. Pod redakcją prof. dra Henryka Paszkiewicza. Str. 582 plus mapy i dodatki ilustracyjne. (Wyd. Księgarnia Polska „Orbis”-Polonia, Londyn 1956 (wydawnictwo ukazywało się w zeszytach. Druk ukończono w grudniu 1961).
- BUCZEWSKI (Zenon, podharcmistrz). *Harcerstwo krajowe*. Str. 39. Powielacz. (Nakładem autora, Kitimat, B.C.-Kanada).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

- Kalendar-Almanach Ukrainśkocho Holosu na 1962 rik*. Str. 192. (Nakładem Wydawniczyj Spilki „Tryzub”, Winnipeg, 1962).
- Enciklopedia Ukrainoznawstwa*. Słownikowa Czastina. T. 3., Str. 805-1200. (Wyd. Molode Zytia.
- HLOBENKO (Mykoła). *Z literaturoznawczij spadszczyni*. Str. 246. (Nakł. Nacionalistyczne Wydawnictwo w Jewropi, Paryż. 1961).
- KNYSZ (Zinowij). *Holos z podpilia*. Rozpowid’ Kriwonosa.

- Sribna Surma. Str. 99. (Toronto, 1962).
- SZACH (Stepan). *U 150-litja urodin O. Markiana Szaszkiewycza*. 1961 rik juwileiw. Str. 143. (Wyd. Christianskij Hołos, Muenchen, 1961).
- LAZORSKYJ (Mykoła). *Hetman Kyrylo Rasumowskij*. Str. 752. (Wyd. Dniprowa Chwyla, Muenchen, 1961).
- PLEWAKO (Mykoła A.). *Statti, rozwidky i bio-bibliograficzni materialy*. Str. 807. (Wyd. Ukr. Wilna Akademia Nauk u S. Sz. A., 1961).
- HRISZENKO (Oleksa). *Moi roky w Carhrodi 1919-1920-1921*. Str. 258. (Wyd. Dniprowa Chwyla, Muenchen, 1961).
- Z žyttia i tworczosti Tarasa Szewczenka 1861-1961*. Str. 156. (Nakł. Wyd. Spilki „Tryzub”, Winnipeg, 1961).
- Szewczenkiwskij Kalendar Almanach Ukrainškoho Hołosu 1861-1961*. Str. 176. (Nakł. Wyd. Spilki „Tryzub”, Winnipeg, 1961).
- Kalendar-Almanach „Mitta” na 1962 rik*. Str. 128. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1961).
- BOHOLIUB (P.). *Indijska kultura i zachid*. Str. 63. (Wyd. Toronto, 1962).
- Kalendar „Słowo” na rik 1962*. Str. 88. (Wyd. „Wilne Słowo”, Toronto, 1962).
- DONCOW (D.). *Niezrymi skrzyżali Kobazara (Mistyka lycarstwa zaprozkowo)*. Str. 230. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, 1961).

WYDAWNICTWA BIAŁORUSKIE

- KAWYL (Michaś). *Ciażkija Dumy*. Sanety. Str. 61. (Wyd. Białoruska-Amerykanskaha Dapamagowaga Komitetu, 1961).
- Bielaruskij Prawasłauny Czasapis*. Str. 120. (Wyd. Białoruskaja Wydawieckaja Ciabrynia, Chicago, 1961).

Listy do Redakcji

Fryburg Szwajcarski, 9 kwietnia 1962

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W czasie marcowej konferencji chicagowskiej, spowodowany uwagą prof. Mosly, zająłem publicznie stanowisko w sprawie granicy niemiecko-polskiej, co z kolei spowodowało wymianę zdań z czołowym delegatem niemieckim, baronem zu Guttenberg. Wobec tego, że moja wypowiedź znalazła pewne echo w prasie, zarówno krajowej jak i emigracyjnej, i że nie dane mi było w czasie konferencji powiedzieć wszystkiego, co o tym zagadnieniu myślę, pozwalam sobie prosić Pana Redaktora o gościnę na łamach Jego poczytnego pisma dla pełniejszego sformułowania moich poglądów.

1. Wydaje mi się, że jednej rzeczy w żadnym wypadku czynić nie należy: powoływać na się rzekome „święte prawa narodu”. Sądzę mianowicie, że takich praw w ogóle nie ma i że nawet gdyby istniały, nie mogłyby być wprowadzone w życie tak długo, jak długo narody, o które chodzi, znajdują się w niewoli.

2. Sądzę natomiast, że naczelną zasadą przy jakimkolwiek regulowaniu granic powinno być poszanowanie podstawowych praw ludzi, jednostek. Jednym z tych praw jest prawo do pielęgnowania własnej kultury. Innym takim prawem jest prawo wolności od deportacji i wygnania, wyjąwszy w drodze kary za indywidualną winę. Uważam i zawsze uważałem masowe wysiedlenia za barbarzyńską zbrodnię. Wyganianie Niemców z obecnych Ziemi Zachodnich i „repatriacja” Polaków z dawnych dzielnic wschodnich Rzpltej były moim zdaniem zbrodniami. Ale za równie zbrodnicze uważałbym wysiedlenie Polaków, obecnie żyjących na Zachodzie jak i Ukraińców czy innych ludzi, którzy nawędrowali do dawnych dzielnic wschodnich Polski.

3. Sprawa granic wydaje mi się tracić na ostrości w miarę, jak zbliża się scalenie Europy. Jeśli uda się nam wprowadzić w niej taki porządek, że każdy człowiek będzie mógł wszędzie żyć w wolności i rozwijać swoją kulturę, to problem przebiegu granic stanie się rzeczą całkiem drugorzędną. Za nieuzasadnione uważam więc podniecanie się sprawą granic zarówno u Niemców, jak i u Polaków.

4. Niemniej, jestem zdania, że sprawa granicy niemiecko-polskiej jest w tej chwili psychologicznie ważna. Według mojej oceny — a śmiem twierdzić, że posiadam pod tym względem lepsze dane niż baron zu Guttenberg — fakt, że tylko Rosja spośród wielkich mocarstw uznaje obecną granicę, wiąże Polaków, wbrew ich najlepszej woli, z obozem sowieckim. Być może, że ci Polacy się myślą, że nie powinni żywić tak wielkich obaw co do postawy Niemców — choć przyznać trzeba, że Niemcy wiele uczynili w przeszłości i to niedawnej, aby takie obawy uzasadnić. W każdym razie mamy do czynienia z *faktem*, z którym się liczyć trzeba.

5. W obecnym położeniu należy, moim zdaniem, przekładać nasze interesy wspólne, europejskie, ponad dzielące nas wewnętrzne spory. Co więcej, o tych wspólnych sprawach należy myśleć kategoriami operacyjnymi. Chodzi nie o sprawy moralne, ale taktyczne. Otóż, jeśli tak jest, wyciągam z powyżej powiedzianego wniosek, że uznanie obecnej granicy na Odrze i Nysie przez mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza przez Niemcy, za celowe.

Chciałbym wreszcie uprzedzić zarzut, z którym zapewne się spotkam: że pokojowe pożycie w zjednoczonej Europie jest mrzonką, zwłaszcza z Niemcami. Jako obywatel szwajcarski, który spędził w tym kraju dwadzieścia najlepszych lat swojego życia, chciałbym przypomnieć, że to, co próbujemy urzeczywistnić na wielką skalę w Europie, zostało już z powodzeniem dokonane w mojej przybranej ojczyźnie, gdzie różnice kulturalne są nie mniejsze, ale bodaj większe niż między Niemcami a Polakami. Chodzi nie o mrzonkę, ale o realną możliwość. Aby jednak ta możliwość stała się w Europie faktem, musimy wszyscy zapomnieć wreszcie o owych „świętych prawach narodu” i tym podobnych zabobonach, musimy myśleć o *ludziach* i ich prawdziwych prawach, a w decyzjach powodować się nie sentymentami należącymi do przebrzmiałej epoki, ale rozumem. Prostem chłopkim rozumem, który uczy, że nasze wspólne położenie jest złe, że stoimy w walce o samo istnienie duchowe i że tylko roztopne prowadzenie walki może nam dać szansę przeżycia.

Łączę ukłony i wyrazy wysokiego szacunku.

J.M. BOCHEŃSKI, O.P.

Paryż, dn. 15.4.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule pt. „Historia i cenzura” (1) poddałem krytyce dwie uchwały Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie: pierwszą, ogłoszoną, zawierającą odżegnanie się Instytutu od działalności pisarskiej Wł. Pobóg-Malinowskiego i drugą, zatajoną, odmawiającą historykowi dostępu do archiwum Instytutu. Obie uchwały wydały mi się czymś niepraktykowanym w stosunkach naukowych w ogóle, a specjalnie godnym wytknięcia w warunkach emigracyjnych. O tym, że nie byłem odosobniony, może zaświadczyć artykuł pod wymownym tytułem: „Mała chwała ta uchwała”, zamieszczony w nr. 814 „Wiadomości” p. M. Grydzewskiego z 5.11.1961.

Nie wiem, czy wystąpienie zasłużonego tygodnika literackiego, jak i moje, wywołało jakieś echa w łonie władz Instytutu. Chyba tak, skoro w kwietniowym numerze „Kultury” ukazał się list do redakcji, podpisany przez p. gen. St. Skwarczyńskiego w charakterze członka Rady, a tak rozbrajający w swej świętej niewinności, że mimowoli zachęca do uśmiechu raczej, niż do traktowania sprawy na serio. Niestety, chodzi o głos autorytatywnego członka instytucji, pragnącej uchodzić za naukową.

Mój zacytowany pod każdym względem oponent zacytował od zwalczania istniejącego rzekomo na emigracji poglądu, „że p. Pobóg-Malinowski jako pisarz i historyk jest wyrazicielem opinii ogółu Piłsudczyków”. Niech

(1) *Kultura*, nr 12/170 z grudnia 1961.

mi będzie wolno zapewnić pana generała Skwarczyńskiego, że takiego poglądu nie ma, na szczęście, na emigracji. Jej poziom intelektualny jest dostatecznie wysoki, aby wykluczyć traktowanie historyka, jako wyraziciela takiej, czy innej grupy społecznej, politycznej, czy innego autoramentu, która o wartości pracy historycznej wypowiadałaby się np. w drodze poszukiwania większości przez głosowanie. Powzięcie sławetnej uchwały o odżegnaniu się od Wł. Pobóg-Malinowskiego uzasadnia p. generał tym, „że wielu członków Instytutu, a wśród nich większość członków Rady, zapatruje się krytycznie na poglądy historyczne Wł. Pobóg-Malinowskiego”. Ten właśnie argument, zaczerpnięty najwidoczniej z praktyki parlamentarnej, upoważnia do obawy, że szanowny autor listu do redakcji „Kultury” niezupełnie zdaje sobie sprawę z różnicy, zachodzącej pomiędzy instytucją naukową, a np. radą Ozonu. Gdyby nawet wszyscy członkowie Instytutu, a nie tylko większość Rady, zapatrywali się krytycznie na poglądy historyczne p. Wł. Pobóg-Malinowskiego, to Instytut, jako taki, nie miałby prawa odżegnania się publicznie od historyka, który się na niego nie powoływał, a dzieło swoje, „Najnowsza Historia Polski”, wydał w pierwszym wydaniu nakładem własnym. Aby ułatwić panu gen. Skwarczyńskiemu rozeznanie się w tym, o co chodzi, pozwolę sobie stwierdzić, że równą niewłaściwością ze strony Instytutu byłoby robienie Wł. Pobóg-Malinowskiemu publicznej reklamy, w wypadku, gdyby kwalifikowana większość Rady podzielała jego poglądy historyczne. Rola Instytutu historycznego polega na zbieraniu i opracowywaniu materiałów, oraz na udostępnianiu ich historykom i pisarzom bez względu na ich poglądy. Jest przyjęte, że instytut naukowy tego typu może wypowiadać sąd o wartości pracy historycznej tylko wtedy, gdy ma się ona ukazać pod jego auspicjami, jako wynik zamówienia, lub konkursu, słowem, kiedy bierze za nią odpowiedzialność. W związku z tym uchylam się od polemiki z p. gen. Skwarczyńskim na temat zarzutów konkretnych, jakie on wysuwa pod adresem Pobóg-Malinowskiego i nic mnie nie obchodzi, w tym kontekście, czy te zarzuty są słuszne i w jakim stopniu. Moje recenzje o każdym z trzech tomów „Najnowszej Historii Politycznej Polski” dowodzą, że jestem daleki od bezkrytycznego zachwyty tym dziełem. Pan generał Skwarczyński, jak w ogóle każdy, kto uważa, że ma w tym zakresie coś do powiedzenia, ma pełne prawo krytykowania Pobóg-Malinowskiego, jak każdego pisarza, na łamach prasy, wydawnictw periodycznych, w formie własnych relacji, lub opracowań książkowych. Instytut Józefa Piłsudskiego, jeżeli czuje się na siłach, ma prawo przeciwstawić książkom, które mu się nie podobają dzieło własne, indywidualne, lub zbiorowe. Natomiast odżegnanie się od autora niezależnego, w drodze komunikatu prasowego, jest wypadkiem odosobnionym i dotychczas w stosunkach naukowych bodaj niepraktykowanym.

Bez jakiegokolwiek złośliwej intencji, ale z troski o dobre obyczaje, zmuszony jestem postawić p. gen. Skwarczyńskiemu i większości jego kolegów z Rady, jako wzór do naśladowania, postawę Instytutu Historycznego im. Gen. Władysława Sikorskiego. We władzach tej instytucji zasiadają ludzie, których większość, nieraz nawet ze względów osobistych, posiada powody do krytycznej oceny dzieła Wł. Pobóg-Malinowskiego. Nikomu z nich jednak nie przyszło do głowy odmówienie historykowi dostępu do zbiorów archiwalnych, lub odżegnanie się od niego komunikatem prasowym. Wydaje mi się, że różnica w postawie obydwóch instytutów w tym wypadku polega po prostu na tym, że we władzach i w biurze drugiego z nich znajdują się, oprócz notabli, historycy z prawdziwego zdarzenia, umięjący rozróżnić pomiędzy osobistym prawem do krytyki, lub obrony, a odpowiedzialnością za utrzymanie naukowego i publicznego charakteru instytucji. Nie chcąc się ograniczać do samej krytyki, doradziłem Instytutowi Józefa

Piłsudskiego (we wspomnianym już artykule z grudnia 1961) wprowadzenie do zarządu chociaż jednego, autentycznego historyka. Jestem przekonany, że ten minimalny zabieg, jakiego można się spodziewać ochroniłby Instytut przed gaffami, których jego władze dopuścili się wobec Wł. Pobóg-Malinowskiego. Nie sądzę, aby władze Instytutu nie uznały z czasem słuszności tego postulatu. Miejmy nadzieję.

Na zarzuty wolno nie odpowiadać. Gdy się z nimi jednak polemizuje, to nie wypada przemilczać zarzutów najważniejszych. W moim artykule położyłem szczególny nacisk na fakcie odmówienia Wł. Pobóg-Malinowskiemu dostępu do archiwum Instytutu i na tym fakcie oparłem aluzję do cenzury. Pan generał Skwarczyński o tym najważniejszym zarzucie w ogóle nie wspomina. Niech mi wolno będzie domyślić się, że jest okrutnie zafrosowany i nie bardzo wie, jak wybrnąć z tej sprawy. Rozumiem go, bo i ja czułem się zawstydzony, choć nie jestem członkiem Instytutu londyńskiego. Jeżeli mój domysł okazałby się trafny, nie wszystko jeszcze byłoby stracone. Votum separatum Bogusława Miedzińskiego, Konrada Libickiego i Kazimierza Sawickiego powinno by odnieść skutek. Nie będę chyba nadmiernym optymistą, gdy wyrażę nadzieję, że zarząd Instytutu zawiadomi co rychlej Wł. Pobóg-Malinowskiego o udostępnieniu mu swoich zbiorów archiwalnych. Naprawa błędu nie przynosi ujmy, wręcz przeciwnie, jest dowodem poczucia odpowiedzialności. Gdybym się pomylił, trudno by mi było dziwić się, gdybym na wstępie będącej obecnie w druku biografii o Józefie Piłsudskim znalazł uwagę autora, stwierdzającą, na wieczną rzecz pamiętkę, że Instytut Józefa Piłsudskiego odmówił mu dostępu do posiadanych przez siebie źródeł i materiałów.

Pan gen. Skwarczyński wytyka mi niewłaściwość użytego pod adresem Wł. Pobóg-Malinowskiego wyrażenia: „oficjalny biograf”. Jestem człek sprawiedliwy i przyznaję się do gaffy. Oczywiście, historyk oficjalny, nadworny, to to samo, co nadworny i oficjalny poeta. Nikt by go prawdopodobnie nie czytał. Nie znaczy to, aby Wł. Pobóg-Malinowski był przygodnym, lub przypadkowym biografem Józefa Piłsudskiego. Do prac redakcyjnych nad wydaniem „Pism, mów i Rozkazów” wyznaczony był przez gen. Juliana Stachiewicza, szefa Wojskowego Biura Historycznego i plenipotentą praw autorskich Marszałka. Ta działalność miała więc charakter oficjalny. Pierwszą sugestią do opracowania biografii, której dwa tomy, doprowadzone do roku 1908, wyszły przed wojną, wysunął, po ukazaniu się „Bezdan”, gdzieś w pierwszej połowie 1933 roku, Janusz Jędrzejewicz, wówczas minister oświaty, mój szef i przyjaciel. Myśl tę podjął i zachętę nie szczędził gen. Julian Stachiewicz, otwierając przed Pobóg-Malinowskim najtajniejsze nawet źródła, do których sam tylko miał dostęp. Pierwszy tom biografii, obejmujący lata: 1867-1901 został opracowany pod jego nadzorem. Nic też dziwnego, że jemu to, jako szefowi i przyjacielowi, dedykował Pobóg-Malinowski to dzieło. Nie podobało się ono w sferach dworskich, zaniepokoiło Zyndrama-Kościńskiego, ministra spraw wewnętrznych. Ten pierwszy tom, wydrukowany jeszcze za życia gen. Stachiewicza i mający się ukazać 11 listopada 1934 roku, został obłożony aresztem i wyszedł, po przełamaniu oporów, dopiero w lutym 1935. Pobóg-Malinowski opisał te perypetie (nie wszystkie) w artykule pt.: „Skoro nie szabłą, to piórem” (2). Ma Pan rację, panie generale! Pobóg-Malinowski nie był biografem nadwornym. Posiada jednak poważne usprawiedliwienie: Józef Piłsudski nie znośił dworaków.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

(2) *Kultura*, nr 5/151 z maja 1960.

Londyn, 27.3.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Niestety nie mogę sobie pozwolić na prenumeratę „Kultury” i dopiero teraz dostałem nr 12/170 z 1961 roku.

Przeczytałem artykuł p. Mariana Romeyko z uczuciem dużego niesmaku z powodu tendencyjnego uogólniania zniekształconych faktów i osądów w nim zawartych.

Nie zamierzam polemizować z całością treści artykułu.

Trudno jednak nie przeciwstawić się takiemu uproszczeniu uogólnionego złośliwie wniosku, jak np. że „w zimie 1918-19 roku całość formującej się siły zbrojnej jeszcze przed poborem, składała się wyłącznie z członków tajnej organizacji P.O.W.”. Tego z pewnością nikt nie twierdził i nie twierdzi — byłoby to absurdem.

Pan M. Romeyko pisze dalej z ironią: „Ona to właśnie (POW) rozbroiła Niemców — wraz z Legionami — stanowiła właściwą bazę dla odradzającej się siły zbrojnej Państwa”.

I znowu przecież na pewno nikt nie twierdził, że „Owa POW” wyłącznie rozbroiła Niemców.

Ale również nikt bezstronny nie zaprzeczy, że w tym „zrywie całego narodu” (jak p. Romeyko słusznie to nazwał) — oczy wszystkich były zwrócone na rozsianych po całej Polsce legionistów i członków POW.

Od nich oczekiwano dyrektyw i podporządkowywano się ich zarządzeniom powszechnie.

W zacytowanym łaskawie przez p. M. Romeykę przykładzie 3-go Pułku Ułanów „Dzieci Warszawy” — to właśnie oficerowie tego pułku po przybyciu do Warszawy, z rozwiązanego Korpusu Dowbora, nawiązali niezwłocznie łączność z tajną organizacją POW.

Mjr 3-go Pułku Ułanów, Cyprian Bystram, z tajnego lokalu POW, wychodzi na czele peowiaków i studentów warszawskich z zadaniem opowania Zamku Królewskiego — siedziby generał-gubernatora Beselera.

4-ty szwadron tego pułku formują legionieści i peowiacy, którzy rozbroili szwadron huzarów węgierskich w Dąbrowie Górniczej.

Już w kilka dni później szwadron ten, przyczyni się walenie do rozbrajania Niemców w Sosnowcu i okolicy.

Jeździłem wtedy trochę po miasteczkach i wsiach, w dalszym zasięgu Zagłębia Dąbrowskiego z zadaniem zbierania broni po rozbrojonych Austriakach i Niemcach. Prawie wszędzie natykałem się na starych legionistów czy peowiaków jako komendantów formujących się tam samorzutnie oddziałów.

Jeżeli zaś chodzi o udział czy wkład legionistów i POW w organizacji Wojska Polskiego — to sprawa nie jest wcale taka blaha.

Wnieśli Oni bowiem poza osobistymi walorami:

1) Swe doświadczenie bojowe, 2) polskie wyszkolenie formalne i bojowe — z polskim rozkazodawstwem, komendami i nomenklaturą, 3) a nade wszystko sposób podejścia do żołnierza — analogiczny do legionowego, a tak b. odmienny od armii zaborczych i tak b. stosowny w szybko powstającym wojsku. 4) Do tego wkładu dochodzą gotowe, opracowane polskie regulaminy wojskowe.

Wszystko to razem daje niezaprzecalnie podstawę i bazę przy formowaniu i organizowaniu Wojska Polskiego.

Kwestionowanie czy bagatelizowanie roli legionistów i POW w formowaniu i organizowaniu Woj. Pols. jest taką samą niedorzecznością, jak twierdzenie, że „Armia Polska z r. 1918/1919 składała się wyłącznie z samych peowiaków”.

Całe zagadnienie udziału legionistów i peowiaków w formowaniu Armii Polskiej z r. 1918/1919 — nie jest więc wcale „legendą”.

Z należytym poważaniem

Ignacy KOWALCZEWSKI

Pretoria, 29.3.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście do Redakcji („Kultura” nr 3/173) p. Józef Baybuz przesłał swoje wspomnienia na temat „malowania płotów”. Proszę pozwolić na umieszczenie moich wspomnień na to zarządzenie „z samej Warszawy”.

Nakaz pomalowania płotu, na kolor popielaty, wydany przez ówczesnego premiera Śl. Składkowskiego, dotknął finansowo górali bardzo ciężko. Koszt pomalowania płotu, farbą olejną, kosztował kilka, czy też kilkanaście złotych. Znaleźli oni jednak sposób na to zarządzenie władzy. Użyto do tego celu wody i popiołu. Płot, pomalowany popiołem, zmieszany z wodą, wyglądał tak samo jak płot, pomalowany farbą olejną. „Panowie posterunkowi”, którzy sprawdzali zarządzenie władzy, stwierdzili, że płoty zostały należycie pomalowane. Potem wybuchła wojna i nikt już więcej chyba tych płotów nie sprawdzał.

Łączę wyrazy szacunku.

M.A. KRYSZYŃIAK

Hampstead, 12 kwietnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście p. Floriana Śmieji z dnia 13.11.61, ogłoszonym w n-rze 3/173 „Kultury” z marca 1962, panuje zdecydowane pomieszanie pojęć. Dotyczy to zarówno terminów określających całości kulturowe, jak i reguł gramatycznych.

1) Termin „Ameryka Łacińska” oznacza zespół państw Ameryki Środkowej i Południowej, w których językiem panującym jest jeden z języków łacińskich: hiszpański, portugalski lub francuski. (Słowo „państwo” obejmuje tu inne typy politycznego organizmu, od zawiśłego zupełnie, jak kolonia, do całkowicie autonomicznego). Do tego zespołu nie zalicza się stanu Quebec Kanadyjskiego Dominium.

Przez literaturę Ameryki Łacińskiej należy rozumieć piśmiennictwo powstałe na tym obszarze w czterech językach: hiszpańskim, portugalskim, francuskim i gallomurzyńskim (przede wszystkim na Haiti). Dwa pozostałe języki Półwyspu Iberyjskiego: kataloński i galicyjski, grupa językowa baskijska i język prowansalski nie zostały w tym stopniu przeschwiepane, by można mówić o ich rezultacie literackim na obszarze Ameryk.

Termin „literatura (w konkretnym kontekście: „poezja”) iberoamerykańska” wprowadziłem w 1956 dla piśmiennictwa w językach hiszpańskim i portugalskim, powstałego i powstającego głównie na obszarach Ameryki Łacińskiej.

Proponuję tutaj termin „literatura galloamerykańska” dla piśmiennictwa w języku francuskim i gallomurzyńskim, wzrosłego na terenie Quebecu i wysp Morza Karaibskiego. Tylko ten drugi zespół dalby się zaliczyć do literatury Ameryki Łacińskiej.

Uważam wprowadzenie terminu „ibero-amerykański” dla zjawisk innych niż kulturalne i etniczne za zbyteczne. Wystarcza tu bądź przymiotnik „latyno-amerykański” (nie: „latino-amerykański” czy też „łacino-amerykański”, co jest zwykłym błędem językowym) bądź też dopełniacz: „Ameryki Łacińskiej”. Brak precyzji tego terminu będzie się uwydatniał w miarę narostu lat w innym jeszcze kierunku: w jaki sposób pomieści Ameryka Łacińska czy też Ameryka Iberyjska przyszłe państwa z językiem panującym Kiczua, Ajmara, czy Guarani lub też samą indyjskość literatur w tych językach?

2) Sprawę odmiany nazwisk w językach obcych określiła uchwała Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z 21 kwietnia 1936, zatwierdzona przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w dniu 24 czerwca 1936. Twierdzenie p. Śmieji, że nazwiska obce „z wyjątkiem niektórych” nie odmieniają się, jest niecisłe: właśnie odmieniają się, z wyjątkiem niektórych.

W rzeczywistości sprawa ma się tak:

a) Nazwiska zakończone na spółgłoskę pisaną otrzymują końcówki polskie bez apostrofu, a zakończone na — e nieme — te same końcówki po apostrofie. Zatem: „z dyktatorem Perezem Jimenezem”; „poprawka Platta”; „przez Fidela Castro”.

b) Zakończone na wydzwięk -o i -u u z n a j e się za nieodmienne. Zatem: „popierają też Castro”; „między studentami-zwolennikami i przeciwnikami Castro” („między studentami pro i anty Castro” — to okrucieństwo językowe); „przez Fidela Castro”. Zresztą zmysł językowy dyktuje mi tu odmianę, podobnie jak przy „Zabiello”: Castry, Castrze, Castrę, Castrą, w Castrze, inaczej niż przy nazwiskach z przyciskiem na ostatniej sylabie, jak „Micheaux”.

c) Zakończone na wydzwięk -e odmienia się przymiotnikowo, przy czym końcówkę po spółgłosce dodaje się z apostrofem, po samogłosce — bez apostrofu. I tak: „przez przywódcę robotników Vincentego Toledano” (mianownik „Vincente”).

d) Zakończone na wydzwięk -i odmienia się także przymiotnikowo, dodając końcówkę po apostrofie. Bardzo rzadkie w hiszpańskim.

e) Zakończone na -a odmienia się jak wojewoda. Zatem: „ruch rewolucyjny Zapaty”; „prezydent Costariki” (nie: „Costa Ricci”). Jeśli chodzi o spolszczanie imion obcych według wzoru „Gete Jan Wilkołaz”, wyszło to raczej z użycia w okresie Dwudziestolecia, jakkolwiek umiarkowane spolszczanie jest tu i uzasadnione i poprawne. Tak więc „Henryka Martineza Moreno” brzmi dobrze po polsku (ale nie: „Henryka Martinez”); podobnie: „przez Franciszka Madero”, jakkolwiek w obu tych wypadkach można zachować hiszpańskie brzmienie imienia. „Jorge” czy „Jerzy Castaneda” na jedno wychodzą.

Natomiast dźwięk r- i t- w nagłosie wymagają -y a nie -i. Dlatego: „antycastrystów” a nie „anticastrystów”, jeśli ktoś upiera się zamieniać język polski na groteskę. Winno być: „przeciwników Castro”. Także przymiotnik „antycastrowskich” z nienajlepszej kuźni języka pochodzi: trzeba go zastąpić dopełniaczem lub omówieniem.

Łączę wyrazy poważania.

Jerzy NIEMOJOWSKI

Płd. Korea w marcu 1962 roku.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mieroszewski idzie zwykle na pierwszy ogień. Zanim porozcinam kartki numeru, już jego artykuł, czy kronika są przeczytane. Cenię go za niezależność i oryginalność myślenia, odwagę, logikę i metodyczność. Zdarzy się jednak, że rzetelność w rozmowaniu zawiedzie.

Kronika pt. „Wyrok” (Nr 3/173) nie jest przekonywująca. Użyte w niej argumenty są na poziomie Polski Ludowej. Jeden z nich podważa rzetelność sądów Mieroszewskiego:

„Przecież wyrokiem na Rudzińską Polska Ludowa stawia się poniżej faszystowskiej Hiszpanii”.

Jak więc było przed wyrokiem? Polska Ludowa powyżej Hiszpanii? Czy taki jest sąd autora, czy jest to jedynie demagogiczny argument, dostosowany do rodzaju propagandy władz partyjnych? Przypomina mi się frazka Łobodowskiego o Polakach: „Hiszpania to ostatnia granda — faszyzm i okrutna Miranda”. (cytuje z pamięci).

W sprawie Hiszpanii Mieroszewski przespał po prostu wiele lat; już nieraz zdarzyło mu się wygłosić podobne zdanie. Ma ono posmak demagogii i brak mu pokrycia. Jakis cież w podświadomości Mieroszewskiego, który na czas nie wypadł!

A łatwo jest dowiedzieć się prawdy. Polacy z Anglii odwiedzają Hiszpanię i po krótkim już tam pobycie mogą się przekonać o tym, jak fałszywie rzeczywistość hiszpańska przedstawiana jest zagranicą. Rzetelne wreszcie informacje i to z pierwszej ręki można uzyskać u bliskiego współpracownika „Kultury” Józefa Łobodowskiego, który zna Hiszpanię, jak zapewne nikt inny z Polaków.

Dla porównań z totalizmami komunistycznymi sugeruję na przyszłość dyktatury Duvalier, Somoza i całej plejady kacyków afrykańskich.

Naród hiszpański, jak i jego rząd odnoszą się do Polaków wyjątkowo życzliwie i z pełnym zrozumieniem. Oceńmy to!

Nie przyswajajmy tak łatwo oficjalnej frazeologii Polski Ludowej!

Z miłym pozdrowieniem.

Wiktor SKIBA

Londyn, 16 kwietnia 1962.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwolę sobie wejść w kompetencje pana Mieroszewskiego i poruszyć jedną ze spraw, na które monopol ma w zasadzie Londyńczyk (mam nadzieję, że pan Mieroszewski mi to wybaczy). Chodzi mi mianowicie o stosunek harcerstwa emigracyjnego do kraju. Dowiedziałem się ostatnio, że dwie z długoletnich instruktorek, które znam dobrze, zostały zawieszono w swych funkcjach, jako „niegodne zaufania”. Na czym polegało ich przewinienie? Okazało się, że jeździły na wakacje do Polski!

Naprawdę historia nie wymaga komentarza. Można powiedzieć tylko „ach” i pokiwać głową nad zaślepieniem „niezlomnych”, którzy tak „kochają” Polskę swoich marzeń, że nauczyli się szeryć nienawiść do Polski, która jest.

Historia ma jeszcze ciąg dalszy. Okazało się, że Naczelnictwo harcerstwa w Londynie powzięło uchwałę, zabraniającą instruktorom, pod groźbą wydalenia, wszelkich wyjazdów do Polski, choćby w celu odwiedzenia rodziny (Warto jednak nadmienić, że zgodnie z polską tradycją „kumoterstwa” uchwała ta, w praktyce, nie wszystkich dotyczy). Nie chcę w tym liście wymieniać nazwisk — zainteresowani bezpośrednio i tak wiedzą o kogo chodzi. Dla ogółu ważna jest istota zagadnienia.

Jako długoletnia i jako matka uważam, że nie powinniśmy dopuścić do odcięcia naszych dzieci od Polski, w imię jakiegokolwiek polityki „niepodległościowej”. O ile chodzi nam o utrzymanie polskości u dzieci, czy choćby o wyrobienie przyjaznego stosunku do kraju, powinniśmy za wszelką cenę nawiązać z nim kontakt. Żadna pogadanka, żadna szkółka sobotnia nie zastąpi możliwości obejrzenia Polski „na własne oczy”. I naprawdę rzeczą drugorzędną jest, jaka tam powiewa flaga i czy orzeł ma koronę, czy nie. Dzieci mogą polubić tylko Polskę istniejącą, lub nie polubią jej wcale. Polska hipotetyczna obchodzi jedynie naszych „nieśmiertelnych”, którzy od dawna utracili kontakt z rzeczywistością. Ci — niech nie jadą do Polski, nikt tam nie odczuwa ich braku. Ale inni, ale instruktorzy, a zwłaszcza dzieci?...

A w ogóle, jak można tolerować bezsensowne uchwały? Może w Londynie przydałby się „październik”?

Pod wieloma względami cieszę się, że nie pełnię żadnych funkcji i nie muszę z „niezlomnymi” się stykać. Rozpacz bowiem budzi i litość ślepy upór w bronienu nierealnych pozycji i fanatyzm w przeprowadzaniu akcji, które rzekomo mają nas bronić przed komunizmem, a naprawdę biją w nasze najbardziej żywe interesy narodowe. Czego mają się nauczyć dzieci — że są obywatelami państwa, które trzeba zniszczyć, aby je można było stworzyć?

Z poważaniem.

Danuta Irena BIENKOWSKA

DO POLSKI WYSYŁAMY
LEKARSTWA , ŻYWNOSĆ, OWOCE, PIENIĄDZE
I INNE ARTYKUŁY.

Z POLSKI IMPORTUJEMY
TOWARY CEPELII, KILIMY, LALKI, CERAMIKĘ

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, Draycott Avenue, London, S.W. 3. tel. Ken 0750

KOMUNIKAT

Wobec licznych zapytań, Komitet Wydawniczy książki Władysława Pobóg-Malinowskiego pt. „Józef Piłsudski, 1867-1935” zawiadamia, iż książka ta została już oddana do druku.

KOMUNIKAT

Polish University College Association Limited, 5, Princes Gardens, London, S.W. 7. ogłasza KONKURS na stypendium na studia uniwersyteckie w okresie 1 września 1962 do 31 sierpnia 1963. Kandydaci pochodzenia polskiego w wieku 18-30 lat mogą otrzymać warunki Regulaminu Stypendialnego w Sekretariacie P.U.C.A.L., adres jak wyżej.

Termin składania podań do dnia 30 maja 1962.

POLSKA SKŁADNICA TANIEJ KSIĄŻKI

Księgarnia Inwalidzkich Warsztatów Pracy i Usług

POLECA pełny KOMPLET Wielkiego dzieła

„NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”

WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Tom I., II. i III. Stron 1.980. Cena wraz z przesyłką \$ 20.00

Jesteśmy na rynku księgarskim JEDYNYM źródłem, dysponującym jeszcze pełnymi kompletami tego WIELKIEGO DZIEŁA. ZAPAS nasz jest ograniczony. Oddzielnie sprzedajemy Tom II — \$ 6.50 i Tom III \$ 7.50.

POSIADAMY stale na Składzie WSZYSTKIE wydawnictwa KULTURY. Przyjmujemy prenumeraty. Wysyłamy na żądanie bezpłatnie KATALOGI książek i usług. Posiadamy duży wybór książek z różnych dziedzin.

ZAMÓWIENIA wraz z należnością prosimy kierować na adres:
General Agency of Polish War Invalids „POLIN-VALCO”. Co. Inc.

2109, Robinwood Ave. TOLEDO, 2, Ohio. (USA)

Łódzki korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b	450 fr. b
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am	9 dol. am
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzye, Holon, Sokolow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/O Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; M. Król, 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; « Związkowicz », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonz-zerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y. ; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y., K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czkiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXIV

ADAM CZERNAWSKI

TOPOGRAFIA WNETRZA

POEZJE

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)



TOM LXXV

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSZE

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)



TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ

CZŁOWIEK WŚRÓD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZozOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)